

Janina Zajacówna

PODRÓŻ  
POŚLUBNA

Chciałabym zacząć od początku, ale czy to możliwe? Uśmiechasz się, pewnie, cóż łatwiejszego niż ustalić dzień, godzinę, porę, roku. A więc dzień, proszę bardzo, wtorek, koniec marca, początek kwietnia, poświęteczny tydzień, wróciłam z gór wypoczęta i opalona, i miejsca sobie znaleźć nie mogłam. To był ostatni rok studiów, wiesz przecież. W czwartek było jakieś seminarium, ostatnie ćwiczenia... Pracę magisterską oddałam do przepisywania i właściwie nie miałam nic pilnego do roboty. Łaziłam więc po mieście w poszukiwaniu butów czy swetra, chyba nic nie kupiłam, zjadłam obiad na Starówce i zdecydowałam się iść do kina. Dzień był mglisty, deszczowy, nie czuło się wiosny, raczej jesień. Przy Miodowej wsiadłam do autobusu, bo od tego łożenia rozboleły mnie nogi, no i właśnie wtedy zgubiłam obcas. Wysiadając stwierdziłam, że mam jedną nogę krótszą, zawróciłam, lecz nim zdążyłam wsiąść z powrotem do autobusu, ktoś przytrzymał mnie za ramię.

- Masz ten nieszczęsny obcas - powiedział mężczyzna o szarych oczach, ubrany w kraciatą kurtkę i w czarny aksamitny beret nasunięty głęboko na czoło. - Chodźmy! - pociągnął mnie za rękę. - Tu obok jest szewc.

Poszłam dość speszona tą głupią przygodą.

Szewc był nie w humorze i tylko dzięki nieustępliwej postawie nieznanego zdecydował się zająć przybijaniem obcasa.

- Nie wiem, doprawdy, co bym bez pana zrobiła - odważyłam się spojrzeć na nieznanego. Patrzył w okno z wyrazem znudzenia na twarzy. - Bardzo panu dziękuję - ledwie się powstrzymałam, żeby przed nim nie dygnąć, i schowałam bosą nogę za siebie, wstydząc się swoich przydużych stóp.

Mężczyzna skinął głową, przesłał mi niewyraźny uśmiech, lecz nie odchodził, stał przy oknie i bawił się fajką.

Przybijanie obcasa nie trwało długo, może w innym wypadku zniecierpliwiliby się i odszedł, a może czekałby na mnie godzinami ssąc swoją fajkę.

- Jeszcze raz bardzo panu dziękuję - już w zreperowanym bucie stanęłam przed nim i wyciągnęłam rękę, której nie zauważył, puścił kłęb dymu przed siebie i spojrzał na but.

- W porządku?

- Tak, oczywiście. Tym razem dygnęłam odruchowo jak uczennica, na szczęście tego również nie zauważył.

- Dokąd panią odprowadzić? - zapytał,

- Mnie? Dlaczego? - cofnęłam się zakłopotana. - Trafie sama, zresztą nigdzie nie idę, to znaczy w tej chwili - zaczęłam się plątać spoglądając na zegarek - spóźniłam się do kina.

- Kino! - mruknął z niechęcią. - Jakie to nudne.

- Nie lubi pan kina? - oburzyłam się szczerze. Wtedy entuzjasmowałam się filmem i biegałam na wszystkie pokazy.

- Nie lubi pan westernów?

- Nie znoszę.

- Dlaczego?

- Wymyślone, nieprawdziwe.

- Dlatego właśnie cudowne.

Skinął głową, jakby się ze mną zgadzał, i nic nie powiedział, a ja speszona jego milczeniem urwałam w pół słowa, zresztą temat kina uznałam za wyczerpany. Szliśmy w milczeniu Krakowskim Przedmieściem w stronę placu Zamkowego.

Na Rynku Starego Miasta otoczył nas tłum wycieczkowiczów. Dzieciaki z prowincji zmęczone i niewyspane zadzierały głowy śledząc lot gołębi.

- W tym domu - skrzeczał przewodnik - proszę spojrzeć w prawo...

Oczy dzieci oderwały się od gołębi i podążyły we wskazanym kierunku. Biała smuga po odrzutowcu roztopiała się powoli w czystym błękicie.

- Jak pani na imię? - usłyszałam jego głos.

- Joanna.

- Piękne imię - popatrzył na mnie z zaciekawieniem. - Joanna to więcej niż Anna, wspaniałe imię. Chciałaś mi uciec, Joanno?

- Nie, to tłum nas rozdzielił. Gdybym rzeczywiście chciała, tobym uciekła.

- Tak, oczywiście, masz rację - roześmiał się i chwycił palcami za brodę. - Nie pytasz, jak się nazywam?

- Mam nadzieję, że mi powiesz.

- Marek. Nazwiska jeszcze nie mam.

Roześmiał się znowu nerwowo, ja mu zawtórowałam.

Minęliśmy właśnie plac Zamkowy i skręciliśmy w bok. Na Moliera rzucał się w oczy kolorowy afisz zachęcający do zwiedzania Egiptu, wielbłądy, żółty piasek, tajemnicza twarz Beduina.

- Wejdziemy? - wskazał biuro podróży. Skinęłam głową. Weszliśmy. Zamyślona urzędniczka grzebała w szufladzie, na prośbę Marka podała prospekt pokreślony w wielu miejscach na czerwono.

- Dwa miejsca? Dokąd? - zapytała.

- Do Hiszpanii.

- Jest tylko jedno na wrzesień.

- A do Grecji?

- Niestety, nic już nie ma. Mogę państwa wpisać na rezerwę.

- Rezerwa odpada - zaproponował stanowczo Marek.

- W takim razie radziłabym Egipt, są jeszcze miejsca, koniec września, początek października.

- Co ty na to? - zwrócił się do mnie mrużąc oczy.

- Nie interesuje mnie Egipt. Chcę do Hiszpanii.

W spojrzeniu urzędniczki wyczułam niechęć. Patrzyła na mnie z wyżyn urzędniczego biurka z naganą, a jednocześnie z zawiścią. Zazdrościła mi roli rozkapryszonego dziecka, którego zachcianki zostają natychmiast spełnione. . - Może pojedziesz sama?

- Nie. Chcę jechać z tobą.

Usatysfakcjonowany tą odpowiedzią otoczył mnie ramieniem, tym razem urzędniczka kiwnęła głową ze zrozumieniem, schowała prospekt z powrotem do szuflady i zaczęła szeptać coś swojej koleżance.

- Czy wyglądamy na ludzi z forszą? - spytałam go na ulicy.

- Wyglądamy na parę zakochanych, a zakochani przeważnie nie mają pieniędzy.

- Szkoda. Moglibyśmy pojechać do Egiptu.

- Do Hiszpanii - puścił moje ramię.

- Masz rację - poprawiłam się szybko. - Do Hiszpanii.

- Tylko do Hiszpanii - powtórzył.

W Zachęcie, dokąd mnie zaprowadził nie pytając o zgodę, było otwarcie wystawy, nowe prądy w sztuce skandynawskiej czy coś w tym rodzaju. Malarstwem nie interesowałam się dotąd, na wernisażu znalazłam się po raz pierwszy i to mnie nieco speszyło, ale w zasięgu jego wzroku czułam się dosyć pewnie. Kiedy tylko odchodził na krótko przywitać się z kimś z oficjałów umierałam ze strachu. Już wtedy, pierwszego dnia bałam się, że mnie zostawi, zniknie gdzieś w tłumie, odejdzie...

Po wernisażu był obiad w małej restauracyjce na Starówce: spaghetti z pieczarkami, kurczak z rożna. U każdego z nas ten proces chemiczny, który nazywa się zakochaniem, miał inny przebieg. Ja byłam spięta i zamyślona, pełna najgorszych przeczuć i obaw, on zaś tryskał radością, śmiał się, mówił o obrazach, które zrobiły na nim

wrażenie, odwoływał się do mojej pamięci, nie wiedząc, że ja niczego zapamiętać nie byłam w stanie. Podawał mi ogień, paliłam nieprawdopodobnie dużo, on wcale, schował fajkę do kieszeni i chyba o niej zapomniał.

Dwa tygodnie minęły jak sen. Chodziliśmy nad Wisłę, na Stare Miasto, czasem jeździliśmy na Bielany. Zaczynałam patrzeć na miasto jego oczami, odkrywałam je na nowo, polubiłam stare wille, zapuszczone ogrody, Lasek Bielański i Wisłę, której dotąd prawie nie zauważałam. Podczas jednego ze spacerów w Lasku Bielańskim Marek przystanął i patrzył na uciekające z drzew ostatnie promienie.

- A może byś tak wyszła za mnie? - zapytał po chwili.

- Czemu nie? - odparłam uradowana.

- Zgadzasz się? - Oczywiście. Podziękował mi uśmiechem, ale nie objął mnie i nie przytulił.

Zaproponował natomiast, żebym wstąpiła do niego, chciał mi pokazać obrazy. Zgodziłam się, to jasne, byłam ciekawa nie tylko jego obrazów, ale mieszkania, książek, mebli, wszystkiego, co miało z nim jakikolwiek związek. W pewnej chwili, idąc, chciałam oprzeć się o niego, udał jednak, że nie zauważył, odsunął się ode mnie. Mówił o swoim malarstwie, wtedy był, zdaje się, conceptualistą, teraz się od tego odżegnuje, zresztą niewiele rozumiałam, potykałam się o stopnie, a on nawet nie podał mi ręki. Bał się mnie dotknąć, rozumiesz? Pomyślałam, że robię głupstwo idąc tak za nim po schodach, które zdawały się nie mieć końca, że jest jeszcze czas, by się wycofać, szepnąć coś o pomyłce albo w ogóle nic nie powiedzieć, tylko wybiec na ulicę. Nie zrobiłam tego, no właśnie, kochałam go, już wtedy, wierzyłam w los, w przeznaczenie i w takie tam rzeczy.

Wspinaczka w ciemnościach skończyła się na piątym piętrze, a ściślej mówiąc, na strychu. Marek otworzył drzwi, zapalił światło, a ja stanęłam w progu nieco speszona.

Pracownia wydała mi się ogromna. Sprawiały to białe ściany, jasne półki, krzesła i biały fotel na biegunach. Pośrodku stał duży stół, jedyna ciemna plama w tej mleczej powodzi. Na sztalugach był oczywiście obraz, dość dziwny, na ogromnej powierzchni płazy, gady, węże, jaszczurki i inne paskudztwa, wszystko to poplątane, skłębione, przerażające. Miałam wrażenie, że część tych gadów ukrywa się na regałach. Obłąd. Dotarłam do fotela na biegunach, który wydał mi się najbezpieczniejszym miejscem w pracowni, i zapaliłam. Marek przyniósł herbatę i ciastka, a ja czekałam na dalszy ciąg tych niecodziennych oświadczeń i nie doczekałam się. Marek mówił o swojej pracy, o planach na przyszłość.

- Mieszkać będziemy tu, zobacz! - pokazał mi pokój, kuchnię, łazienkę. - Zmieścimy się, prawda? Ty przecież nie będziesz pracować w domu?

Robiłam dyplom z psychologii i przymierzałam się do pracy naukowej, należało się więc spodziewać, że będę pracować w domu, ale on nic o tym nie wiedział.

Po godzinie cierpliwego słuchania o jego planach, projektach i perspektywach zaczęłam się zbierać do domu. Wyszedł mnie odprowadzić i przez całą drogę szedł obok jak ktoś zupełnie obcy.

- Ty mnie nie kochasz? - spytałam zaczepnie.

- Przecież zaproponowałem ci małżeństwo!

- Wielka rzecz! Małżeństwo! - wzruszyłam ramionami. - Ludzie pobierają się z rozsądku i są podobno szczęśliwi. Nawet nie zapytałeś, czy ja coś do ciebie czuję.

- Przecież się zgodziłaś?

- To o niczym nie świadczy. Postanowiłam wyjść za mąż i tyle.

- Nieprawda. Kochasz mnie.

- Tak - przyznałam niechętnie, - To chyba miłość. Zresztą - dodałam ze złością - skąd mogę wiedzieć? Do tej pory nie kochałam nikogo.

- Przykro mi, ale nie mogę ci się zrewanżować tym samym. Przed tobą kochałem inne dziewczyny. Kiedyś ci o nich opowiem.

- Nie opowiadaj! Nie chcę. One mnie nie obchodzą - znów przytuliłam się do niego. Tym razem nie odsunął się. Przed domem pocałował mnie w rękę. Umówiliśmy się jak zwykle na następny dzień na obiad. Po obiedzie zanieśliśmy dokumenty do urzędu stanu cywilnego. Padał deszcz. Nie było więc mowy o spacerze. Pojechaliśmy prosto do niego. Znowu usiadłam w fotelu i zapaliłam. Marek otworzył wino, usiadł przy mnie i wypił pośpiesznie całą szklankę. I wtedy zaczęła się wyliczanka, rejestr przygód miłosnych z ostatnich dziesięciu lat. Słuchałam obojętnie, usiłując upić się winem. Wypiłam dwie szklanki i zdrzemnęłam się. Obudził mnie potrząsając za ramię.

- No wiesz! - krzyknął z oburzeniem. - Ja tu wypruwam bebechy, chcę się oczyścić, a ty zasypiasz. Tak cię to znudziło?

- Te dziewczyny mnie nie obchodzą.

- Nie jesteś zazdrosna?

- O twoją przeszłość? Nie.

- Gdybyś ty była z kimś przedtem, nigdy bym ci nie wybaczył.

- Masz szczęście - nie byłam.

- Wiem. Jesteś inna...

- Nieprawda. Jestem taka jak wszystkie, a ty masz bielmo na oczach. Kupujesz kota w worku - roześmiałam się, ciągle czekając na jakiś serdeczny odruch z jego strony.

- Nie jesteś zazdrosna? - spytał po raz drugi. - Przeszłość dla ciebie nie istnieje?



- Nie mam aż takiej wyobraźni. Nie jestem artystką. To chyba lepiej. Znam się nie najgorzej na rozwoju dziecka i metodach badań... Przepraszam - przetarłam palcami oczy - chce mi się spać, to po tym winie. Zdrzemnę się w tym fotelu.

- Połóż się na tapczanie. Będzie ci wygodniej. Poszłam do pokoju i od razu zasnęłam. Kiedy się obudziłam, ujrzałam przed sobą Marka, siedział na podłodze i patrzył na mnie.

W drodze do domu cały czas trzymał mnie za rękę, coś się w nim rozluźniło, przestał się kontrolować, całował mnie przed domem, aż wzbudziło to niepokój mojej gospodyni. Wyglądała przez okno wcale się z tym nie kryjąc. Gdy weszłam do kuchni, napotkałam jej zdumiony wzrok.

- Co się stało? - spytała. - Nigdy się z nikim nie całowałaś. A tu nagle obściskujesz się z jakimś facetem przez pół godziny.

- Wychodzę za tego faceta - odpowiedziałam nie kryjąc dumy.

Ślub był więcej niż skromny, żadnych gości, tylko świadkowie, małżeństwo zaprzyjaźnione z Markiem, których później straciliśmy z oczu, obiad w małej restauracyjce, też skromny, bez wódki. Rozmowa się nie kleiła, świadkowie zerkali ukradkiem na zegarki. Po wyjściu z restauracji Marek złapał taksówkę i nie troszcząc się o świadków, którzy zostali na przystanku, zawiózł mnie do domu.

Noc poślubna... Myślę o niej z przykrością. Żadnej poezji, tortury psychiczne, histeria. I nie chodzi wcale o ból ani o wstyd, bólu prawie nie było, wstydu też nie. To w końcu normalna rzecz.

Śmiałam się i płakałam na przemian, przysięgałam bijąc się w piersi.

- Spadłam z konia - mówiłam.

- Kiedy?

- Rok temu. Nie, nie ma jeszcze roku. W czasie wakacji jeździłam konno u wuja. Uparłam się, że ujeżdżę dwulatka przeznaczonego do pracy w polu. Wujek się zgodził. Prawdę mówiąc gospodarka niewiele go obchodziła, uciekał z pola do sklepu na piwo. Ciotka zajmowała się kurami, na konie patrzyła z niechęcią, jadły za dużo. Mogłam więc robić, co mi się podobało, no i robiłam. Mocowałam się z tym zwierzęciem przez wiele dni, spadałam z niego wiele razy, ale niegroźnie, właściwie ześlizgiwałam się na ziemię i tyle, ale raz potłukłam się trochę, straciłam chyba przytomność, pozbierałam się jednak sama. Wujek wracając ze sklepu zastał mnie kuśtykającą po podwórku, kazał mi moczyć nogę w słonej wodzie i przez kilka dni trzymać się z dala od konia. Nie zauważyłam u siebie żadnych objawów wstrząśnienia mózgu, nie miałam torsji ani napadów senności.

Podawałam fakty, w które nie wierzył, usiadł na podłodze, zakrył rękami oczy i przesiedział tak chyba z godzinę. Gdy poprosiłam o wino, podał mi kieliszek, znów usiadł na podłodze i wpatrywał się w ścianę.

- Kto to był? - spytał ze ściśniętym gardłem. - Powiedz, czy go kochałaś? Będzie mi lżej.

- Nic nie mogę powiedzieć. Nikogo nie kochałam, umawiałam się od czasu do czasu z chłopcami na randki i tyle.

- Ale dlaczego? - wbijał palce we włosy. - Dlaczego? Dlaczego nie mówisz wprost? Boisz się nazwać rzecz po imieniu?

- Masz wątpliwości? Prawda? A to, że ja ich nie mam, to się nie liczy? Moje słowa nic dla ciebie nie znaczą? Za mało krwi. Boże! Jakie to śmieszne! W naszych czasach. O co ci chodzi? O moją miłość czy o moje grzechy? Miłości jest we mnie tyle, że starczy na odkupienie wszystkich grzechów, nawet tych, których nie popełniłam. Czy ty tego nie czujesz?

- Straciłaś przytomność?

- Już ci mówiłam, nie wiem, nie pamiętam.

Powtórzyłam opowieść o koniu, w którą on od początku nie wierzył, i miał rację, bo ja kłamałam, w dobrych intencjach, to prawda, ale zawsze się kłamie w dobrych intencjach.

- Czy to możliwe, żeby spadając z konia?...

- Nie wiem. Zapytaj lekarza.

- A ty nie pytałaś?

- Po co? Nic mi nie dolegało. Potłukłam się trochę, spuchła mi noga, chodziłam przez kilka dni w bandażu.

- Jest jeszcze ten koń?

- Nie wiem. Z równym skutkiem mogłam spaść z drabiny.

- Ale spadałaś z konia.

- Zdaje się, że chcesz, żebym znienawidziła konie? W porządku, już to zrobiłam, od dziś nienawidzę koni. Przytul mnie, mocno, tak, właśnie tak. Och! Jestem taka szczęśliwa.

- Nie boisz się wypowiadać takich słów?

- Przy tobie nic mi nie grozi. Wyzbyłam się swoich lęków, życie nabrało dla mnie sensu.

W tym momencie zapomniał o swoich podejrzeniach, objął mnie, przytulił. A ja kłamałam. Nie miałam wyjścia. Prawda była banalna i pospolita, nie do opowiadania.

Miałam jedną przygodę, taką bez znaczenia, po której nic nie zostaje, zupełnie nic. Strata czasu, nic więcej.

Jak ci wiadomo, byłam przeciętną dziewczyną, niezbyt ładną, dość zgrabną. Miałam raczej umiarkowane powodzenie. Nikt mnie nie obsypywał kwiatami, nikt za mną nie szalał. Owszem, kręcili się wokół mnie różni chłopcy, przeważnie koledzy z roku, jednak żaden nie podobał mi się na tyle, bym miała ochotę pójść z nim do łóżka. Z konieczności prowadziłam więc cnotliwe życie, uczyłam się dużo, czytałam, nie miałam czasu na randki, zresztą nie interesowały mnie. Po jakimś czasie koledzy uznali, że zadzieram nosa, i

dali mi spokój, ja też nie szukałam towarzystwa, polubiłam swoją samotność, zresztą, gdy się uczyłam, nie potrzebowałam nikogo. Podczas przerw międzysemestralnych, jeżeli nie wyjeżdżałam na obozy i zimowiska, wpadałam w melancholię, godzinami leżałam w łóżku i gapiłam się w sufit, prócz gospodyni nie widywałam nikogo, nie odbierałam telefonów, nic nie czytałam, po prostu leżałam i paliłam papierosy.

Właśnie podczas jednego z takich dni, kiedy to trwanie w próżni zdawało się nie mieć końca, odwiedził mnie szkolny kolega, Staszek Bąk, który studiował na politechnice i wpadał do mnie od czasu do czasu na pogawędki. Nic nas nie łączyło, ani dziecięca przyjaźń, ani nawet sympatia, po prostu znajomość, jakich wiele, wspólna przeszłość, koledzy, nauczyciele, ta sama klasa. Staszek wpadał do mnie, gdy miał kłopoty. Wtedy też oblał egzamin i zerwał z dziewczyną, co go do reszty dobiło, bo to właściwie dziewczyna z nim zerwała. Miał pecha, dziewczyny zrywały z nim ciągle. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego. Staszek był bardzo przystojny, nawet niegłupi, działał w organizacjach studenckich, występował w teatrze, grał na gitarze i śpiewał, jeździł konno, wszyscy go lubili, koledzy, profesorowie, dziewczyny również, ale nie miał do nich szczęścia. O tej ostatniej opowiadał ze łzami w oczach, paląc przy tym ekstra mocne, od których zbierało mi się na mdłości. Gdy skończył - opowieść była dość rozwlekła i nudna - zaprosił mnie do Fukiera. Nie chciało mi się iść, ale w tej sytuacji nie mogłam mu odmówić. Zaczęłam się więc ubierać nie krępując się nim zupełnie. Przyglądał mi się z zaciekawieniem, bowiem w moim zachowaniu dopatrywał się swoistej kokieterii.

U Fukiera niewiele piłam. Z nudów prowadziłam mętne rozmowy o sztuce z facetem, którego wzięłam za malarza, a który, jak się okazało, był badylarzem i o sztuce miał raczej

mgliste pojęcie, ale znał paru malarzy, uśmiechał się melancholijnie i pił bardzo dużo. Otóż ten facet odwiózł mnie razem ze Staszkiem do domu, przy pożegnaniu przedstawił się z całą galanterią.

- Kwaśniewski jestem, Franciszek - stuknął obcasami podając rękę. - Dziękuję za miły wieczór. Państwo jesteście studentami, prawda? Moja żona bardzo lubi studentów. Sama biedaczka nic nie skończyła z powodu trudnych warunków. Piękna kobieta. Przekonacie się sami. Wziąłem ją z ulicy, ściślej mówiąc, z sutereny, co na jedno wychodzi, niziny, doły, nędza itd. Zrobiłem z niej człowieka, a ona mnie lekceważy. Zachorowała na inteligentów, marzą jej się uczeni, profesorowie, artyści. W porządku, mówię i zapraszam wszystkich, niech ma, niech się nacieszy. Lubi gości, przyjęcia, uczone rozmowy... Proszę przyjechać jutro o osiemnastej, tu jest adres. Traficie, państwo, bez trudu. Albo wiecie co? Przyjadę po was. Tak będzie najlepiej. Zabiorę was i jeszcze kilka osób. Nie pożałujecie, będzie wesoło.

Przyjechał z gromadką ludzi w różnym wieku, rozkrzyczanych, wesołych i przez to denerwujących. Staszkiowi od razu udzielił się ich nastrój, zaczął akompaniować im na gitarze, oni śpiewali.

A ja siedziałam całą drogę z twarzą przyklejoną do szyby, zła, że dałam się namówić na tę eskapadę.

Willa pana Franciszka ukryta w świerkach znajdowała się w pobliżu szosy krakowskiej, ciężkie masywne pudło przywodziło na myśl bunkry w Kętrzynie. Powitały nas psy, dwa dogi, oraz pani Franciszkowa, tleniona blondynka w kożuchu narzuconym na ramiona, wydawała powitalne okrzyki, nikt nikogo nie przedstawiał, weszliśmy całą gromadą do salonu z kominkiem i zaczęło się picie. Z kolumn rozstawionych pod ścianami leciała głośna muzyka. Staszek odtańczył ze mną jeden taniec na samym początku i zajął się

brunetką z ciężkimi klipsami w uszach. Plątałam się między ludźmi z lampką wina, trochę tańczyłam i starałam się robić dobre wrażenie. Nigdy nie umiałam się bawić, nudziły mnie rozmowy o niczym, zresztą nie umiałam rozmawiać, onieśmielali mnie ci ludzie, literaci, dziennikarze, wszyscy byli znakomitościami, przynajmniej dla mnie. Jeszcze raz zatańczyłam ze Staszkiem, a potem z jakimś starszym panem, którego trochę się bałam, był to redaktor udający filmowca, chociaż nie wiadomo, czy udawał, może rzeczywiście miał coś wspólnego z filmem, w każdym razie podrywał dziewczyny na gadanie o filmie, mnie też usiłował poderwać, ale go powstrzymałam w pół zdania. - Źle pan trafił - powiedziałam. - Mnie to nie bierze. Nie mam zdolności aktorskich, a w roli kochanki filmowca jakoś siebie nie widzę. W ogóle mężczyźni mnie nie interesują.

- A kobiety? - uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Cierpię na infantylnizm uczuciowy - plotłam jakieś bzdury. - Objawia się to spóźnionym okresem dojrzewania. Wie pan, nie mam jeszcze miesiączki, lekarze twierdzą, że jestem niedorozwinięta.

Zgubił mnie w tańcu, a kiedy dla zgrywy zaczęłam go szukać, schował się za panią Kwaśniewską i umknął do ubikacji. Zrobiło mi się go żal i dałam spokój. Pomagałam gospodyni roznosić gorące danie i nalewałam wódkę. W końcu zebrałam wszystkie butelki na jednym stoliku, urządziłam bar i zaczęłam handlować wódką, wodą sodową i kanapkami, chociaż goście płacili raczej symbolicznie, utargowałam chyba sto złotych. Wszyscy dużo pili, przeważnie wódkę, tylko ja wino, słodkie w dodatku. To był jakiś odrealniony świat: muzyka, ogień na kominku, świece, w oknie granatowe niebo i świerki. Zasnęłam na krześle z kieliszkiem w ręku. Nie wiem, jak długo spałam. Zbudziło mnie lekkie dotknięcie ciepłych rąk, poczułam zapach perfum:

- Podnieś się, moje dziecko. Drgnęłam.

- Och! To pani! Która godzina? Gdzie Staszek? Trzeba jechać do domu.

- Tak, tak - pani Kwaśniewska uśmiechnęła się ciepło. Macierzyńska i powściągliwa, nie narzucająca się ze swoją dobrocią.

- Chce pani kawy?

- Dziękuję, nie.

- A może zsiadłego mleka? - włączył się pan Kwaśniewski.

- Chce mi się spać.

- Nie ma pani wprawy - pani Kwaśniewska objęła mnie i poprowadziła do drzwi. - A oni się bawią, widzi pani?

Nic nie widziałam. Muzyka przybierała na sile. „Za chwilę uderzy grom” - pomyślałam z lękiem i przytuliłam się do pani Kwaśniewskiej. Wiatr wdarł się w otwarte okno i sychnął śniegiem.

- To tu - pani Kwaśniewska podsunęła mi krzesło, otworzyła tapczan i wyjęła pościel.

- Jakie to szczęście móc tak spać w zgiełku i w krzyku - dziwiła się szczerze. - Wyobraź sobie, że i ja kiedyś tak spałam. A teraz po całych nocach nic, tylko myślę i myślę. A wiesz o kim? O nieboszczykach. Wszyscy odeszli, ojciec, matka i brat. Zostałam sama. Sierotka Marysia, jak mówi mój Franek. Ja mam naprawdę Marysia na imię. Posiedzieć z tobą? Nie boisz się? To dobrze. A ja się boję zostać sama w ciemnym pokoju. Chodzę po lekarzach, łykam pigułki, nic nie pomaga, boję się i koniec. No to dobranoc. Pójdę na dół. Jestem zmęczona. Może dziś uda mi się zasnąć. Zamknij się na noc. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Miała rację. Powinnam była zamknąć drzwi... Taki drobiazg, a jednak. W życiu zbyt małą wagę przywiązujemy do drobiazgów. Gdybym zamknęła drzwi, nie musiałabym

potem kłamać, powtarzać aż do znudzenia opowieści o spadaniu z konia.

Drzwi były otwarte, a ja spałam. Nietrudno przewidzieć, co się mogło zdarzyć, i co się zdarzyło. Nie, nie zostałam zgwałcona. Obudziłam się, gdy do pokoju wszedł Staszek, udawałam jednak, że śpię.

- Joanno, jesteś tu? - zapytał bzykając zapalką, choć prościej było zapalić światło.

Nie odpowiedziałam.

Położę się koło ciebie, dobrze? - mówił nie przejmując się brakiem odpowiedzi. - Nigdzie nie ma wolnego łóżka. Wszyscy się pieprzą. Kwaśniewska zamknęła się z tym aktorką w łazience, jej mąż też nie zasypia gruszek w popiele, widziałem, jak obściskiwał tę brunetkę z kołami w uszach. Co za towarzystwo! Rzygać się chce. Posuń się, dziecko, i przestań udawać, przecież wiem, że nie śpisz - odgarnął kołdrę, wsunął się do środka zupełnie nagi. Drgnęłam i naciągnęłam kołdrę na głowę.

- Ty jednak naprawdę śpisz? No, to śpij, nie będę ci przeszkadzał - odwrócił się plecami. I byłby zasnął, gdyby nie ja.

- Duszno tu - powiedziałam. - Uchyl okno!

- Zwariowałaś! - wykrzyknął. - Kaloryfery wyziębły, a tobie chce się wietrzyć. Mam dreszcze, zobacz! - otarł się o mnie ramieniem.

Odsunęłam się instynktownie od niego.

- Ty też masz dreszcze - zauważył sennym głosem i ziewnął, lecz jego ręka znalazła się nagle w obrębie moich piersi.

- Nie pozwalaj sobie za wiele - straciłam rękę i naciągnęłam kołdrę na siebie.



Zaczęliśmy walczyć o kołdrę, on ciągnął w swoją stronę, ja w swoją. W tej szamotaninie doszło do pocałunku. Ugryzłam go w język...

- No, no - powtarzał głupawo. - Kto by się spodziewał... W dzisiejszych czasach... Dlaczego mi nie powiedziałaś? Na szczęście jestem przytomny. Nie zrobiłem ci krzywdy - zapalił lampkę, odgarnął pościel. Krwi rzeczywiście nie było. - Trzeba to oblać. Pójdę po wódkę - nie ruszał się jednak. - Dlaczego ty nic nie mówisz? Wbijasz w przestrzeń te swoje ogromne oczy. Mogłabyś je zamknąć - wstał po papierosy. - Nie patrz na mnie! - krzyknął. - Nie ma nic do oglądania. Chłop jak chłop.

- Pierwszy raz widzę nagiego chłopca.

- No to patrz - zapalił górne światło. - Mówię przecież, nie ma nic do oglądania.

- Zachowujesz się wulgarnie - powiedziałam patrząc w dalszym ciągu na niego.

Potwierdził ruchem głowy.

- Przepraszam. Jestem cham. Ale się poprawię. Bardzo przepraszam - usiadł na tapczanie. - Jesteś najcudowniejszą dziewczyną, jaką znam. Wyjdiesz za mnie?

- Nie.

- Dlaczego? Przecież ci się podobam.

- Ale cię nie kocham.

- To pokochasz.

- Nie.

Zaśmiał się gorzko.

- A więc ty też? Też mnie odrzucasz. Dlaczego wszystkie dajecie mi kosza? Kochane i nie kochane. A ja was uwielbiam, wszystkie bez wyjątku. Każdą dziewczynę gotów jestem pokochać, ale żadna mnie nie chce, dlaczego? Może ty mi wyjaśnisz?

- Działasz za szybko. Cierpliwość w miłości najbardziej popłaca.

- Skąd wiesz?

- Z książek.

- Wolałbym, żebyś mówiła od siebie.

- A może mówię, tylko nie chcę się do tego przyznać?

Pocałuj mnie - zdziwiły mnie własne słowa.

Musnął mnie wargami w policzek.

- Nie tak - nastawiłam usta,

- Przecież nie chcesz wyjść za mnie? - Ale chcę się nauczyć całować...

Zostawił mnie i począłapał po papierosa.

- Zapalisz? - zapytał.

- Chcę, żebyś mnie pocałował.

- Nic z tego. Nie udzielam lekcji miłości.

- Myślałam, że mnie lubisz.

- Lubisz! Podkochuję się w tobie od dawna, ale ty nie zwracasz na mnie uwagi.

- Czekam na objawienie.

- Czekaj sobie, byle nie za długo, w twoim wieku dziewczyny mają narzeczonych albo partnerów seksualnych, tak to się chyba nazywa w naukowej nomenklaturze, wychodzą za mąż, rodzą dzieci.

- Na rodzenie dzieci jest zawsze za wcześnie.

- Chcesz zostać starą panną?

- Chcę.

- I zostaniesz. Z twoim charakterem na pewno.

W tym stylu toczyliśmy dialog przez pół godziny spoglądając na siebie z coraz większą wrogością. Odechciało mi się spać. Patrzyłam na niebo i nie mogłam doczekać się dnia. Kiedy się rozwidniło, zesłam do kuchni. Pan Kwaśniewski już nie spał, siedział przy stole i pokrzepiał się kawą z koniakiem. Ja również napiłam się kawy i zjadłam

talerz gorącego bigosu. Jedząc słuchałam opowieści pana Kwaśniewskiego o żonie, o jej dobroci i o ich szczęściu rodzinnym, a chociaż w tej opowieści trafiały się zgrzyty i fałszywe tony, poczułam coś na kształt zazdrości. Pożegnałam się szybko i wyruszyłam na stację.

Dzień wstawał ponury, śnieg ciemniał na polach, brunatne niebo groziło deszczem i wrony krakały rozpaczliwie. Szłam wolno wzdłuż torów, po których przelatywały zapchane pociągi. Szarzy, zaspani ludzie spieszyli do pracy, samochody bryzgały kawałkami błota zmieszanego ze śniegiem. Dzieci z tornistrami na plecach machały na autobusy. Wszyscy mknęli w pośpiechu do Warszawy. Tylko ja nie musiałam się spieszyć, szłam bardzo wolno i myślałam o snach. Tej nocy, gdy zasnęłam na krótko, znów miałam ten sen, który powtarzał się często, kilka razy do roku. Śnił mi się las, bardzo zwyczajny, drzewa mieszane, dęby, brzozy, sosny i buki, najwięcej było brzoź, pora roku zawsze ta sama, początek lata, prześwietlone polany. płaty słońca na drzewach, jasna, piaszczysta droga pośród pagórków, ja na tej drodze, za mną wycieczka w znacznym oddaleniu, idę nie mogąc doczekać się chwili, gdy zza niewielkiego pagórka wyłoni się słup graniczny z wyraźnym napisem: „Europa - Azja”. Zawsze tak było, droga, las i żrąca tęsknota, nic się właściwie nie działo, las szumiał łagodnie, słońce padało ukośnie, a ja szłam drżąc z podniecenia, że oto za chwilę dotrę do granicy dwóch światów. Zbudził mnie Staszek. Och! Wzięła mnie złość. Znów będzie sfrustrowany i nieszczęśliwy, że nikt go nie kocha.

„Mnie też nikt nie kocha!” - krzyknęłam schrypniętym głosem. Odpowiedziało mi krakanie wron.

- Pora umierać - powiedział Kwaśniewski nacierając octem skronie, mrużył przy tym chytrze oczy. - Pora umierać - powtarzał tonem człowieka, który posiadał wszystkie

tajemnice. To stwierdzenie nie wiązało się z jego aktualną sytuacją, a pochodziło z innego wymiaru, w - którym tkwił jeszcze dzięki oparom alkoholowym.

W domu powitała mnie cisza. Gospodyni siedziała w kuchni i układała pasjansa, który poza staniem w kolejkach należał do jej ulubionych zajęć.

- Był tu - oznajmiła grobowym głosem, nie podnosząc głowy znad kart. - Bardzo się denerwował, że cię nie zastał. Powiedział, że przyjdzie za chwilę.

- Ach tak! - narzuciłam z powrotem kożuch na siebie i wyszłam do najbliższej kawiarni. Przesiedziałam chyba z godzinę nad filiżanką kawy rysując motyle na serwetkach. Potem chodziłam po ulicach walcząc ze zmęczeniem i około południa wróciłam do siebie.

- Znowu był - gospodyni uchyliła drzwi od swego pokoju i pokazała mi płaską bezmyślną twarz. - I przyjdzie - dodała z triumfem.

Staszek rzeczywiście zjawił się niebawem, blady, niezbyt przytomny, chodził po pokoju szybkimi krokami i nic nie mówił. Ja siedziałam z książką w ręku i milczałam. W pewnej chwili zatrzymał się przede mną.

- Powiedz - zaczął drżącym głosem - co mam zrobić? Co byś chciała, żebym zrobił?

Ziewnęłam i odłożyłam książkę.

- No co? - chwycił mnie za rękę.

- Nic. Siadaj! - wskazałam mu krzesło. - I przestań grać. Robisz to niedobrze, w dziewiętnastowiecznym stylu. Nic się nie stało, rozumiesz? Byliśmy razem na wódce, spiliśmy się jak koty i tyle. Jedź do domu i wyśpij się. Za kilka dni wpadnij do mnie, pogadamy sobie jak dawniej.

- Jak dawniej - powtórzył bezmyślnie. Podniósł się ciężko i wyszedł bez pożegnania. Nie było żadnego „jak dawniej”.

Nie widziałam go od tamtej pory. Przed wyjazdem z Warszawy nie przyszedł się nawet pożegnać.

Marek bardzo szybko wyleczył się z zazdrości, przestał mnie dręczyć, być może uwierzył w moją miłość, a może nie? Nie wiem. Może wszystko było złudzeniem: jego miłość, jego wyznania. Wciąż się w tym gubię, tracę wątek i nic nie rozumiem.

- Byłaś szczęśliwa?

- Tak. Jednak byłam, mimo wszystko, na pewno, nawet wtedy tego ranka po nieprzespanej nocy.

Niebo wtoczyło się do pokoju błękitną rzeką, Marek obudził się i zaczął od pytań.

- Kochasz mnie, prawda?

- Jeżeli znam jakąś prawdę, to właśnie tę.

- A ja kocham cię tak, że to aż boli. Gdyby mi przyszło oddać życie za ciebie, uczyniłbym to bez wahania. A ty?

- Ja wolę żyć z tobą.

- Nie oddałabyś za mnie życia? - westchnął ze smutkiem.

- Przecież nie ma takiego wyboru, nigdy nie było, jesteśmy racjonalistami.

- Nie kochasz mnie nawet w pięćdziesięciu procentach jak ja ciebie - zrobił obrażoną minę.

- Wątpię, czy można zmierzyć czyjąś miłość. Wszystko zależy od zdolności kochania, są ludzie, którzy w ogóle nie potrafią kochać, są też i tacy, co muszą stale zmieniać obiekty... A ja cię kocham bardzo zwyczajnie. Po prostu nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Zawsze będziesz mnie kochać?

- Zawsze.

Budzik odezwał się niecierpliwym terkotaniem.

Marek wstał, zrobił śniadanie. Wszystko w zamieszaniu, w ogromnym pośpiechu, gotował jajka, parzył kawę, smarował grzanki. Przeszkadzałam mu gadaniem o słońcu, o

niebie, jakieś głupstwa, że go odkrywam i siebie, że urodziłam się dopiero przed chwilą, żyję dzięki niemu, jemu zawdzięczam szczęście i to, że jestem sobą, dopiero uczę się chodzić.

- Powinnaś jednak coś zjeść, robi się późno.

- To nie ma znaczenia, czas nie istnieje. Przynajmniej dziś. Nie liczą się pory dnia, pory roku. Może być zima i śnieg albo jesień i wiatr, kałuże i deszcz, nic nas nie obchodzi.

- Myślałem, że wyjedziemy gdzieś za miasto, ale skoro jest deszcz...

- Z tobą pojedę wszędzie, bez względu na pogodę, bez względu...

- Za dużo mówisz. Przed śniadaniem niezdrowo.

Miał rację, wszystkiego było we mnie za dużo: serca, uczuć, słów, a nawet radości. Umilkłam i spochmurniałam nagle, ale przy śniadaniu znów mnie poniosło. Gadałam. Same głupstwa, że nic nas nie rozłączy, bo kiedyś stanowiliśmy całość, byliśmy po prostu jedną istotą, a potem nas rozdzielono. Musiały upłynąć wieki, zanim zdołaliśmy się odnaleźć. I to jest nasz największy sukces. Innym się to w ogóle nie udaje. Wtedy wierzyłam we wszystkie banalne stwierdzenia, że miłość jest wieczna i wszystko zwycięży.

Tamten dzień był bardzo długi, wiosna w rozkwicie, liście delikatne jak pajęczyna, zdawało się, że nigdy nie okrzepną, na łąkach kwitły kaczeńce, ziemia pachniała wilgocią.

Dojechaliśmy autobusem do Wilanowa, a potem ruszyliśmy ścieżką przez pola omijając zarośla i rowy. Grałam z Markiem w zielone, zdjęłam buty i chodziłam boso, śpiewałam i dużo się śmiałam. Potem usiedliśmy gdzieś na chwilę posłuchać żab. Marek ssał fajkę, która mu gasła, i bawił się żdźbłem trawy, lubił trzymać coś w rękach: pudełko zapalek czy kawałek patyczka. Bezmyślne manipulowanie jakimś przedmiotem działało na niego uspokajająco.

- Wiesz - spojrzał na mnie mrużąc oczy - zacznę cię chyba malować. Tak, to jest myśl - zapalił się nagle. - Twoje portrety w różnych gamach, żółte, niebieskie, zielone - wyjął notes, zapisał.

Wstałam wzdrygając się od chłodu.

- Co ty właściwie studiujesz? - zapytał.

- Psychologię.

- W jakim celu?

- Żeby mieć dyplom.

- Rozumiem, to jest powód. Psychologia, no, no - zaczął się dziwić. - Dużo ci jeszcze zostało?

- Niewiele. Za miesiąc zdaję egzamin magisterski.

- I co dalej?

- Od 1 lipca pójdę do pracy. Mam obiecany etat w Ośrodku.

- A wakacje? Nie pomyślałaś o mnie?

- Nie znałam cię. Wszystko stało się tak nagle.

Moja matka nawet nie wie, że wyszłam za męża.

- Dlaczego jej nie powiadomisz?

- Nie wiem, nie przyszło mi do głowy. Zresztą co ją to obchodzi? Nigdy nie interesowała się tym, co robię.

- Matka! A więc mam teściową! Boże! Jak ja nic nie wiem o tobie.

- A ja o tobie wiem wszystko.

- Jak to? - pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Jesteś najwspanialszym mężczyzną na świecie. I kocham cię, kocham.

Echo odpowiedziało: .....ocham, ...ocham".

Dużo było słów, przyrzeczeń, zachwyków nad sobą, gadania o szczęściu, o miłości. Żyliśmy tą miłością i o niczym innym nie mogliśmy mówić. Tego dnia byłam szczęśliwa. Nie pragnęłam niczego, chciałam, żeby wszystkie dni były takie same. A przecież to niemożliwe, nic się nie powtarza, ani dni,

ani godziny, nawet te same słowa za każdym razem inaczej brzmią i co innego znaczą. Ludzie też się zmieniają z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę, rosną albo karłowacieją, częściej karłowacieją. Z genialnych dzieci wyrastają tępi urzędnicy. Przepraszam za dygresję, ale ta sprawa męczy mnie od dawna. Teraz myślę, że zabiorę się do konkretnej roboty. Jak? Nie wiem. Witek chyba się zgodzi, może. nawet wykroi jakąś sumkę na badania, chciałabym zacząć zbierać materiały do pracy pt.: „Losy życiowe młodocianych geniuszy”. Może wreszcie uda mi się wyjaśnić, dlaczego większość się nie sprawdza. Co na to wpływa? Warunki życiowe, choroby, nerwy, czy po prostu prawa natury, zapis genetyczny, w którym wszystko zostało uwzględnione, nawet moment wsiąkania w zwyczajność, koniec geniusza, początek przeciętniaka.

Marek nie był cudownym dzieckiem. W szkole należał do najliczniej reprezentowanej grupy uczniów, to znaczy, do przeciętniaków. Jedyne, co go wyróżniało spośród nich, to brak subordynacji i roztargnienie tępione przez rodzinę, nauczycieli i kolegów. Ci ostatni wykazali całkowity brak tolerancji dla jego słabostek i zademonstrowali to czynem. Z punktu widzenia swoich interesów postąpili słusznie i Marek ich nie potępiał. A sprawa miała się tak. Na kilku decydujących meczach Marek wbijał zapamiętałe piłkę do własnej bramki. Czynił to w dobrej wierze i w czystych intencjach, był bowiem przekonany, że strzela do bramki przeciwnika, natomiast koledzy mieli inne zdanie. I chociaż Marek poczynał sobie z piłką całkiem nienajgorzej i kto wie, czy przy odrobinie szczęścia nie osiągnąłby sławy równej Lubańskiemu, musiał rozstać się z klubem i porzucić marzenia o karierze sportowej. Po strzeleniu ósmego czy dziesiątego gola do własnej bramki wyleciał z klubu. Jego zła sława rozeszła się po całej Warszawie, nie było więc mowy o



szukaniu szczęścia gdzie indziej, bojkotowano go wszędzie, chłopcy nie tylko nie chcieli grać z nim w piłkę nawet dla zabawy, ale i siedzieć w jednej ławce. Bez treningów, a co za tym idzie i bez kolegów, miał nadmiar wolnego czasu, zaczął rysować, nauczyciel rysunków po obejrzeniu jego szkiców zachęcał do pracy, udzielał wskazówek i tak się zaczęło. Marząc o karierze sportowej został artystą, a roztargnienie, z którego powoli wyrastał, w niczym mu nie przeszkodziło. Zyskał przecież rozgłos i sławę, może nie tak wielką jak wielu sportowców, ale to nie jego wina.

Na początku nic o tym roztargnieniu nie wiedziałam, co prawda Marek często był zamyślony, nie odpowiadał na pytania, przerywał mi w pół słowa i zaczynał mówić na inny temat, ale przed ślubem rozmawialiśmy mało, Marek uśmiechał się zamiast mówić, jakby bał się słów, i słusznie. Odkąd zaczęliśmy rozmawiać, coś niedobrego wkradło się między nas, jakaś obca konstrukcja, która wcześniej czy później musiała dać znać o sobie. „Kochasz mnie, kochasz?” I tak bez końca. Pytania, zapewnienia, czułe słowa, dziesiątki słów, przeważnie tych samych.

A może nie o słowa tu chodzi, nie było ich znowu tak wiele, bo później, gdy wszystko się zawaliło, słów także zabrakło.

Wtedy w Wilanowie zgubiliśmy się z Markiem. Głupio wyszło i dziwnie. Marek szkicował coś czy notował, a ja odeszłam na moment kupić kwiaty w kiosku obok, kiedy wróciłam, jego nie było, autobus ruszał z przystanku, starałam się go zatrzymać, ale kierowca, wyjątkowy łobuz, widząc moje rozpaczliwe gesty dodał jeszcze gazu. Dopiero po godzinie dotarłam do domu, długo czekałam na autobus, a musiałam jeszcze iść pieszo spory kawałek od przystanku, śpieszyłam się bardzo, biegłam jak szalona przez ulice, po schodach. Okazało się, że niepotrzebnie, jego nie było. Nie

mogłam dostać się do pracowni, nie miałam kluczy. Usiadłam więc na schodach i czekałam.

Z początku cała ta sprawa wydała mi się zabawna: dwoje dorosłych ludzi gubi się w biały dzień w miejscu, gdzie nic się nie dzieje, nie ma nawet tłoku. Nagle zjawił się lęk. A jeżeli to przeznaczenie? Jeżeli odszedł, zostawił mnie i już nie wróci? Jeżeli tak, nie mam po co żyć, wyskoczę z okna, utopię się albo wrócę do domu po rzeczy, odczekam, aż gospodyni wyjdzie do sklepu, zamknę się w kuchni, odkręcę gaz. Tak, wtedy gotowa byłam to zrobić. Na szczęście zjawił się Marek, blady, rozdygotany, jak człowiek po ciężkim szoku. Powitał mnie wymówkami. Gdzie byłam - do tej pory? Dlaczego nie wsiadłam z nim do autobusu? Szukał mnie przepychając się między ludźmi i wołał. Naraziłam go na kpiny, ludzie się z niego śmieli, musiał więc wysiąść na pierwszym przystanku, wrócił do Wilanowa, ale mnie już nie zastał.

Powiedziałam o kwiatkach, wtedy przytulił mnie tak mocno, że zaczęłam się dusić, ale się nie wrywałam, chciałam, żeby mnie udusił.

Wiem, że to chorobliwe, ale czymże jest miłość jak nie chorobą? Stanem normalnym? No pewnie, mieści się w jakiejś tam normie, bo wszystko, co wiąże się z życiem i ludźmi, zamyka się w tych granicach, ale jakaż to norma?

Czasem mi się zdaje, że to jeszcze trwa. Dni szare, nijakie wloką się niemrawo, a ja balansuję na krawędzi śmierci, choruję, umieram i zmartwychwstaję... Widzisz, z jakim trudem odtwarzam przeszłość, staram się patrzeć na siebie z pewnego oddalenia jak na kogoś obcego, kogo w dodatku znam dosyć słabo. I cóż? Widzę szczupłą dziewczynę z długimi włosami, ubraną w modną dzinsową spódnicę i trykotową bluzkę, jak stoi przed lustrem obok wysokiego mężczyzny. Dziewczyna zagryza wargi i uśmiecha się skąpo, trochę się boi człowieka, z którym spędziła noc i który od

wczoraj jest jej mężem, zna go zbyt mało, krępuje ją jeszcze wzajemna bliskość, ale czuje się dobrze. On bawi się jej włosami, uśmiecha się. Nagle odpycha ją, doskakuje do stołu, potyka się o krzesło, chwyta kawałek brystolu, zaczyna rysować.

- Nie umkniesz mi nigdy - mówi. - Zostaniesz tutaj. Wszystkie płótna zapełnię tobą.

Dziewczyna mruga oczami, ale nie śmie się ruszyć. On rysuje nie ją, lecz jej lustrzane odbicie.

Spełnił swą groźbę. Oplątał mnie siecią pokrętnych linii, kolorów, zjaw i postaci poczętych w jego wyobraźni. Uwięził. W każdym portrecie zostało coś ze mnie, jakaś część mojej radości, uśmiechów, rozgoryczeń i wątpliwości. Trzydzieści portretów, a może więcej, na każdym ja: czytam, palę, piszę, zmywam naczynia, czeszę się, maluję oczy, skubię brwi, kąpię się, wkładam szlafrok, wyglądam przez okno... Studium kobiety, studium codzienności... mnogość tytułów, wszystkie dobre i wszystkie fałszywe. Ale dopiął swego, zostałam w jego pracowni, wbrew swojej woli przykuta do krzesła, do stołu, nawet w tej chwili jestem tam, chociaż siedzę na drugim końcu miasta, piję i gadam zamiast spać. Robi się późno. Zostaniesz u mnie na noc?

- Chętnie. Mów dalej.

Niewiele mam wspólnego z tamtą dziewczyną śledzącą w lustrze swoje odbicie, chociaż pozornie nie zmieniałam się prawie, obciąłam włosy, przez co mój nos wydaje się dłuższy...

Wieczorem usmażyłam jajecznicę, gdyż nic innego nie potrafiłam zrobić, lecz fakt ten, istotny być może dla wielu małżeństw, na nasze nie miał żadnego wpływu. Później nauczyłam się gotować, ale to też nie miało znaczenia. Marek nie był wybredny i jadł wszystko, co mu podałam, często nie bardzo wiedząc co. Nigdy nie miał pretensji, gdy w porę nie

przygotowałam obiadu. Wtedy też, gdybym nie usmażyła tej jajecznicy, zadowoliliby się kawałkiem chleba z masłem. Jadł wertując swój notes, a ja opowiadałam o swoim dzieciństwie, o babci, o ulubionych psach i kotach. Przynależałam mu wierność i miłość do grobowej deski. Nagadałam wiele głupstw i dobrze, że ich nie słyszał, chociaż spoglądał na mnie od czasu do czasu i kiwał głową, ale ja wiedziałam, że był za ścianą, w innym wymiarze, do którego nie miałam dostępu.

Ocknął się dopiero słysząc dzwonek u drzwi.

- To chyba listonosz - rzucił w roztargnieniu i poszedł otworzyć. Byli to jego koledzy z winem i prezentami. Przynieśli wałek do ciasta, tarę do prania, Pogrzebacz. Przypięli mu kawałek blachy do swetra, medal za odwagę, ponieważ, jak wyjaśnili, Marek wyłamał się pierwszy. W ich paczce byli sami zatwardziali kawalerowie.

Strzelił korek od szampana. Pobiegnęłam po szklanki, Jurek Bobrzyk, świetny grafik i ilustrator, wygrywał coś na tarze i śpiewał, Michał i Irek podrzucali Marka do góry, a najmniejszy z nich, i w ogóle najmniejszy z ludzi, Kuba Korzycki, obsypał nas ryżem. Było bardzo wesoło i głośno, nastawiłam adapter, zaczęliśmy tańczyć. W pewnej chwili Marek gwałtownym ruchem wyłączył adapter.

- Boli mnie głowa - oznajmił chwytając się za skronie. - Każdy głośniejszy dźwięk rozsada mi czaszkę.

Karol uśmiechnął się do mnie.

- Idziemy! - skinął na kolegów.

Pożegnali się pośpiesznie i wyszli. Marek usiadł w fotelu i ścisnął palcami skronie. Podeszłam do niego ze szklanką gorącej herbaty.

- Bardzo cię boli? - spytałam. ..

- Co?

- Głowa.

- Nic mnie nie boli. Zostaw mnie w spokoju! - . podniósł głos.

Wyszłam do kuchni dotknięta do żywego. Nic z tego nie rozumiałam. Myjąc naczynia połykałam łyzy. Dopiero gdzieś po północy zajrzałam do niego, siedział za stołem w tej samej pozie, z rękami przy twarzy. Wzięłam z półki jakąś książkę i zamknęłam za sobą drzwi. Przyszedł do mnie po chwili.

- No, jak oceniasz moich kolegów - zapytał, jak gdyby nic się nie stało.

- Bardzo mili.

- A który najprzystojniejszy?

- Chyba Karol.

- Podoba ci się?

- Owszem. Dobrze tańczy.

- Co on ci szeptał do ucha?

- Że jesteś fenomenalnie zdolny, samodzielny w swoich poszukiwaniach, że zrobisz karierę...

- Same kłamstwa.

- Przecież jesteś zdolny.

- Ale on jest przystojniejszy.

- Dla mnie ty jesteś najprzystojniejszy, najmądrzejszy, najzdolniejszy...

- Ale nie jestem, więc po co się okłamujesz?

- Wcale się nie okłamuję. Ja właśnie takim cię widzę.

- Za miesiąc zmienisz swój punkt widzenia i co wtedy?

- Będę cię kochała niezależnie od punktu widzenia, nawet wtedy, gdy się mną znudzisz i odejdiesz do innej, nawet wtedy.

Nie znałam wagi tych słów ani ich mocy przeobrażania się w fakty.

- Niepotrzebnie wyskoczyłem z tym bólem głowy - przyznał ze wstydem. - Mogliśmy wypić to wino. Popatrz, ile zostało.

- Głupstwo, zaprosisz ich jutro i wypijecie.  
- Chcesz, żebym ich zaprosił?  
- To przecież twoi koledzy. Ja mam jutro ciężki dzień. Umówiłam się w sprawie pracy, potem na spotkanie z profesorem, a po południu z opiekunem grupy.

- O nie! Tego za wiele - zaprotestował ostro. - Nigdzie nie pójdziesz. Nie po to się ożeniłem, żeby sterczeć sam w domu. Mam dosyć samotności, zrozum...

- Rozumiem, wszystko rozumiem, ale znudzisz się mną, gdy będziemy cały czas razem... Zaczną się sprzeczki, potem kłótnie.

Nie słuchał, mówił coś o swoich lękach i o tym, jak bardzo mu jestem potrzebna, bardziej niż chleb i woda. Nie może już beze mnie żyć, teraz już nie.

A następnego dnia zapomniał o tym. Gdy szykowałam się do wyjścia, nie protestował, malował mój portret ze szkiców, które zrobił wcześniej, ja zaś jako realna osoba krzątająca się po mieszkaniu nie interesowałam go wcale. Nie miał nawet czasu zjeść ze mną śniadania. Nie powiedziałam nic na ten temat. Pracował, a ja od początku do jego pracy odnosiłam się z przesadnym szacunkiem, było to dla mnie misterium tak samo doniosłe, jak stworzenie świata i narodziny Ewy. Gdy go całowałam na pożegnanie, nanosił pędzlem plamy na płótno i na nich koncentrował swoją uwagę.

Wypiłam kawę i pojechałam do Ośrodka, ściślej mówiąc do Witka, którego trochę znasz. Ja go znam znacznie dłużej, bo ty pierwszy i drugi rok robiłaś w Krakowie, a Witek od początku był tu. Kończył studia, gdy ja zaczynałam, potem prowadził u nas ćwiczenia z psychologii eksperymentalnej, a kiedy otworzono Ośrodek, to się tam przeniósł i dzięki Maszkowskiemu, który go od początku popierał, zaczął robić karierę. Dwa lata temu został dyrektorem. Ludzie go chwala, jest rzutki, obrotny, przy tym niegłupi, w miarę uczciwy i ma

stosunki., Dzięki nim zdobył dodatkowe fundusze i przekształcił Ośrodek w prężną placówkę naukową, przyjął do pracy wielu naszych kolegów między innymi Michała Bożyka, Andrzeja i Marcina. W kwietniu, jeszcze przed magisterium, zaproponował pracę Bożenie, Jackowi i mnie. Zdziwiło mnie trochę, że również na mnie padł wybór, bo jeśli chodzi o Jacka i Bożenę, to nie. Bożena zawsze robiła dużo szumu wokół swojej osoby, błyszczała na seminariach, pisała wspaniałe referaty, a przy tym ta jej uroda, rzuca się w oczy. Jacek też błyszczał, ale w inny sposób, zresztą to mól książkowy, okuty w literaturze, znający języki, natomiast ja niczym się nie wyróżniałam, byłam dobrą studentką, to wszystko, a dobrych studentów, zwłaszcza studentek, u nas na wydziale nie brakuje. No więc poszłam na tę rozmowę. Witek wiedział już o moim ślubie i był tą wiadomością trochę zdegustowany.

- Ślub na miesiąc przed magisterium? Dlaczego? - przyjrzał mi się uważnie. - Jesteś w ciąży?

- Nie.

- Przepraszam za obcesowość, ale gdybyś była w ciąży, nie moglibyśmy cię przyjąć do pracy.

- Wiem, przyniosę zaświadczenie.

- Dobrze, dobrze... Czytałem twoją pracę, metodologicznie bez zastrzeżeń. Powinnaś jak najszybciej zabrać się do doktoratu... A co na to twój mąż, chce, żebyś pracowała naukowo?

- Wolałby, żebym w ogóle nie pracowała.

- Zazdrosny?

- W miarę.

- To dobrze. Dziękuję pani - zwrócił się do kadrowej, która przyglądała mi się dosyć bezceremonialnie.

- Przyniosła pani podanie, życiorys? - spytała. Podałam jej kopertę z dokumentami. Wyszła.

- Jędza! - rzucił za nią Witek. - Podśluchuje, uśmiecha się obłudnie. Będziesz musiała na nią uważać.

- A na ciebie?

- Na mnie przede wszystkim. Jestem niedobrym szefem, dużo wymagam, ale w naszej pracy nie można inaczej. Lubię ludzi inteligentnych, rzutkich, dbam o zarobki. Ale stawiam warunki, żadnych chałtur. U nas też można zarobić. Ze wszystkimi sprawami przychodź do mnie, z sekretarką i kadrową jak najmniej rozmów.

I w ogóle żadnych pogaduszek w pracy. Raz w tygodniu zbieramy się na dwie godziny. Wtedy można pogadać. Więc przychodzisz 10 lipca o dziewiątej? - Wolałabym 1 sierpnia.

- Zgoda. Witek wstał.

- No cóż, życzę szczęścia - uciekał spojrzeniem w bok. - Oby ci się udało - pocałował mnie w rękę.

Jemu się nie udało. To wiesz? Nie? Żona rzuciła go w pół roku po ślubie dla jakiegoś starego, nadzianego faceta. Wszystkich to wtedy zdziwiło. Witek był przystojnym chłopcem i kiedy prowadził u nas ćwiczenia, dziewczyny z grupy podkochiwały się w nim, ale on na żadną nie zwracał uwagi, chwalił nasze referaty i odpowiedzi, a po zajęciach znikał nie dostrzegając nikogo. Gdy go spotykałam na ulicy czy w tramwaju, chętnie ze mną rozmawiał, opowiadał dowcipy, z których śmiał się przeważnie sam, raz czy dwa zaprosił mnie na kawę. A tę dziewczynę, jego była żonę, też widywałam, zawsze w towarzystwie wysokiego starca z obwisłą twarzą i farbowanymi włosami, ubranego w szary garnitur. Przykro było patrzeć, młoda, ładna dziewczyna i stary trzęsący się dziadek, podobno profesor, często wyjeżdżał za granicę i brał ją ze sobą. Ostatnio Witek zaczął wyjeżdżać, więc mógłby ją też zabierać. Ech! Co mnie to w końcu obchodzi?



Witek już doszedł do siebie, ma romans z aktorką Olechowicz. Widziałam ją w telewizji, piękna dziewczyna, wysoka blondynka o twarzy dziecka, po dziecinnemu naiwna i dobra. Ona z kolei rzuciła dla Witka znanego reżysera, też znacznie od niej starszego, któremu jednak do sędziwego wieku profesora jeszcze daleko.

Na Nowym Świecie przed ciastkarnią Bliklego spotkałam Agnieszkę i Bożenę. Stały w kolejce po lody. Agnieszka - brzydactwo ze spiczastym nosem, chude, w okularach, z krostami na twarzy, biednie ubrane, żyła wyłącznie ze stypendium.

- Urodziła dziecko.
- Co ty powiesz? Wyszła za mąż?
- Tak i wyładniała, nie ma już krost, obcięła włosy.
- No i jak tu nie wierzyć w cuda. Bożena ze swoją urodą, ona zawsze w jej cieniu, bieda, krzycząca bieda.

Patrzyły na mnie podejrzliwie, ze źle skrywaną niechęcią, czemu trudno się dziwić, nikt nie lubi szczęśliwych ludzi, nieszczęśliwych też nie, stan pośredni spotyka się z powszechną aprobatą. Jednak były ciekawe mojego szczęścia i kazały opowiadać, jak to się stało. Nie miałam przecież żadnego chłopca, wszyscy o tym wiedzieli, i nagle ślub, bez wesela, to teraz nie przyjęte, wszyscy urządzą wesela, pomogliby mi urządzić przyjęcie, po magisterium, rzecz jasna, bo teraz wszyscy zajęci, złożyliby się na dorożkę. Wyobrażasz sobie, dwa białe konie przybrane wstążkami, bukiety kwiatów, tulipany, bez, żonkile, klubowa orkiestra, tańce do białego rana na przystani albo u Edka, Edek ma chatę w Wildze, długa czerwcową noc, ognisko, śpiewy, mogło być romantycznie, teraz taka moda, trzeba żyć romantycznie, bo inaczej jaki jest sens?

- Może ty?... - Agnieszka chwyciła mnie za ramię.
- Nie.

- To dobrze. Z dziećmi nie należy się spieszyć.  
- Powiedz, jak on wygląda, co robi, kim jest?  
- Abstrakcjonista? Malarz? Nie wiesz, czy sprzedaje obrazy? No to z czego żyje? Liczy na twoją matkę, to jasne. Nie ma w tym nic złego. Wszyscy wiedzą, że twojej matce powodzi się nienajgorzej, pięć patyków to dla niej drobnostka. Przynajmniej coś robi dla sztuki. Na pewno nie wie, co począć z forszą. Kupiła wam mieszkanie?

- On ma mieszkanie.  
- Pewnie pracownię na poddaszu, jedna izba ze ściętym sufitem.

- Normalna pracownia z kuchnią, łazienką i sypialnią.  
- No, no, kto mu to kupił?  
- W każdym razie nie moja matka.  
- Przystojny? Do kogo podobny?  
- Do siebie.  
- Och! - powiedziała Bożena. - Nie można z tobą rozmawiać. Uderzyła ci do głowy ta miłość. Wiosna, nic dziwnego. Okropna pora roku. Chociaż niektórzy twierdzą, że najpiękniejsza. Ja tam myślę inaczej, maj pobudza tęsknoty, człowiek rano wstaje, patrzy w niebo, ładuje w siebie te upiorne zapachy ziemi, świeżych liści, ziół, kwiatów, słucha tego świergotania, trelowania i wierzy, że coś się wreszcie wydarzy, coś wspaniałego, cudownie pięknego...

- Mnie się przydarzyło.  
- Na twoim miejscu wcale bym się nie cieszyła. Maj nie spełnia naszych oczekiwań, przemija za szybko. Dlatego ludzie nie żenią się w maju. Niedobry miesiąc na śluby. Taki zwyczaj i trzeba go uszanować.

Krakały obie na zmianę, już nie pamiętam, która bardziej, Agnieszka czy Bożena. Tak mnie to rozzłościło, że nawet się nie pożegnałam, zostawiłam je bez słowa i wsiadłam do autobusu. Na dziedzińcu przed Instytutem wpadłam na Marka.

- Co tu robisz? - spytałam zdumiona.
  - Przyszedłem po ciebie. Pójdziemy na obiad.
  - Teraz nie mogę. Jestem umówiona z profesorem.
  - Pójdę z tobą.
  - Nie wypada.
  - A jaki on jest, młody? stary?
  - W średnim wieku.
  - Podrywa dziewczyny?
  - Nie zauważyłam.
  - Błagam cię, nie chodź do niego. Szkoda czasu. Taki piękny dzień. Pojedziemy nad Wisłę albo do Otwocka.
  - Po co do Otwocka?
  - Nigdy tam nie byłem.
  - Ja też nie.
  - No widzisz, nie ma sensu iść do profesora.
  - Muszę. Oddałam mu pracę. Ma mi przekazać swoje uwagi.
  - Co cię to obchodzi?
  - Nie bądź dziecinny. Studiowałam pięć lat, uzyskałam absolutorium. Napisałam pracę, podobno niezłą. Jak dobrze pójdzie, zdam egzamin i za miesiąc zostanę panią magister.
  - I co dalej?
  - Właśnie wracam z Ośrodka. Pierwszego sierpnia przystępuję do pracy.
  - Nigdzie nie pójdziesz. Musimy być razem. Inaczej w ogóle nie warto żyć.
  - Tak, tak - zgodziłam się od razu.
- Już wtedy godziłam się na wszystko, wystarczyło jedno jego spojrzenie, uśmiech, wzruszenie ramion, niecierpliwy ruch ręki.
- Ale do profesora poszłam. Podczas rozmowy siedziałam jak na szpilkach i nic z tego, co mówił profesor, nie docierało do mnie, a mówił dużo, podobno wysoko ocenił moją pracę.

Dowiedziałam się o tym znacznie później, wtedy tkwiłam za ścianą, w innym świecie bez metod badawczych, statystyki i materiału porównawczego. Profesor, stary znakomity praktyk, zauważył moje roztargnienie i zapytał o powód. Uśmiechnął się ze zrozumieniem słuchając wyjaśnień.

- Dobra pora na śluby - powiedział wstając i uścisnął mi rękę.

Opuściłam w pośpiechu pokój profesora. Złęklam się, że Marek, nie mogąc się mnie doczekać, odejdzie, a ja całe życie będę go szukać brodząc po szarych ulicach, z których uciekło słońce. Na podwórzu, w miejscu gdzie go zostawiłam, na ławce pod kasztanem siedziały dwie dziewczyny i jadły lody. Jego nie było. Postałam chwilę i zaczęłam iść przed siebie, zatrzymał mnie jego głos.

- Co robiłaś tak długo?

- Rozmawiałam nie dłużej niż pięć minut.

- Nieprawda. Czekałem na ciebie całe wieki - otoczył mnie ramieniem. - Całe wieki - powtórzył patrząc z powagą. - No, to idziemy na obiad? - zaczął grzebać w kieszeniach. - Mam tylko sto złotych - powiedział z zażenowaniem. - Muszą nam wystarczyć na 4 dni, chyba że pożyczę od Karola, nie mogę przecież morzyć cię głodem. Masz może złotówkę na telefon?

- Mam pieniądze - wyjęłam z torebki dwa tysiące. - A gdybyś potrzebował więcej, możemy wziąć z książeczki.

- Pieniądze! - patrzył ze zdumieniem na dwa nowe banknoty. - Skąd? Ożeniłem się przecież z biedną studentką.

- Miałaś pecha. Nigdy nie byłam biedna.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - wydawał się szczerze zmartwiony. - To zmienia postać rzeczy.

- W jakim sensie, nie rozumiem.

- Och! To chyba proste. Chciałem ci ofiarować wszystko, dach nad głową, podróż poślubną, środki do życia. A okazuje się, że ty niczego nie potrzebujesz...

- Potrzebuję ciebie, to chyba ważniejsze.

Nie odpowiedział, ale posmutniał wyraźnie. Zjedliśmy obiad na stojąco w barze mlecznym. Nagle zaczęło się nam spieszyć. Postanowiliśmy jeszcze tego dnia odwiedzić moją matkę.

I pojechaliśmy do niej zaraz po obiedzie, prawie bez rzeczy. Wrzuciłam do torby szczotki do zębów, ręcznik, jakąś bluzkę na zmianę. Marek wziął blok rysunkowy, pastele. Pomyliły się nam pociągi, zamiast do pośpiesznego wsiedliśmy do osobowego, który jechał niechętnie, przystając w zapadłych dziurach, gdzie nikt nie wsiadał i nie wysiadał. Zbierało się na deszcz. Siedziałam przytulona do Marka i patrzyłam na zygzaki błyskawic, które rozświetlały niebo. Gdy konduktor sprawdził bilety i wyszedł, Marek zasłonił okna i zamknął drzwi, cały przedział należał do nas. Było miękko, parno od deszczu i trochę strasznie. Marek mówił mi takie słowa, od których kręciło się w głowie.

- Dokąd my jedziemy i po co? - szeptał zdziwiony. - Nikt nam nie jest potrzebny. Wracamy?

Zerwałam się po torbę. Było jednak za późno. Zielonkawe światła mignęły w oknie.

- To tu. Wysiadamy.

Znów niebo chlusnęło deszczem. Uciekłam pod dach, ciągnąc go za sobą, ale jego ten deszcz radował i bawił. Wystawiał ręce i twarz pod wiatr.

Matka jeszcze nie spała, siedziała przed telewizorem i oglądała mecz.

- Ach! To ty? - nie zdziwiła się wcale. Dotknęła ustami mego policzka.

- Mamo - zaschło mi w gardle, przełknęłam jednak ślinę.
- To mój mąż, Marek. Pobraliśmy się przedwczoraj.

Podawała mu rękę bez słowa.

- Przygotuj coś do jedzenia. Ja chciałabym obejrzeć ten mecz do końca.

Poczułam ulgę. Niepotrzebnie się bałam. Matka bez najmniejszego zdziwienia przyjęła wiadomość o ślubie. Wprowadziłam więc Marka do kuchni i zaczęłam nakrywać do stołu.

- Trzeba ją było uprzedzić. To nie fair zjawiać się niespodziewanie - stwierdził ponuro.

- Nie przejmuj się nią. Zawsze taka była, szorstka i nieprzystępna. Obejrzy mecz i zajmie się nami. Chcesz kieliszek koniaku, a może otworzyć wino?

- Dziękuję. Nie mam ochoty na alkohol.

- O popatrz! Jest szynka i pomidory.

- Dziękuję. Poprzestanę na herbacie. Czekaliśmy na nią siedząc przy stole w upiornym świetle kilku żarówek zawieszonych u sufitu. U matki wszędzie jest dużo światła, kapie nachalnie z olbrzymich żyrandoli, z lamp i stylowych kinkietów, które wiszą nawet w łazience.

Mecz niebawem się skończył i matka, z energią nie opuszczającą jej chyba nawet we śnie, weszła do kuchni.

- No, to napijemy się po jednym - powiedziała sięgając po szklanki.

Marek nie zaprotestował.

- Chcecie whisky?

Pytanie było czysto retoryczne, bo już wyjęła butelkę i nalewała do szklanek. Podawała lód i wodę mineralną, wszystko w błyskawicznym tempie, Marek usiłował jej pomóc, ale nim sięgnął po lód, ona go już wrzuciła do szklanek. Usiadła na taborecie i pijąc patrzyła na Marka.

- Z czego pan żyje? - spytała.

- Jestem malarzem.
- Sprzedaje pan coś?
- Na razie niewiele, ale chałturzę.
- Ma pan mieszkanie?
- Razem z pracownią.
- Joanna też ma mieszkanie.
- Co ty mówisz? - wykrzyknęłam zdumiona. Matka uśmiechnęła się tajemniczo.
- Chciałam ci zrobić niespodziankę po magisterium, ale skoro wyszłaś za męż...
- Skąd wzięłaś tyle pieniędzy?
- Chałturzę. Podobnie jak twój mąż. Powiedziała to dość spokojnie, kąśliwo uszczypliwym tonem, jakiego używała na co dzień.
- Wypraszam sobie - zachnął się Marek.
- Obraziłam pana? - skierowała na niego swoje czarne świecące oczy. - Przepraszam. Przecież sam pan wspomniał o chałturzeniu, a ja nic innego nie robię, tylko chałturzę. Zarabiam pieniądze, pan też zarabia. Co w tym złego? Że ja więcej? Widocznie jestem zdolniejsza, nie tak w ogóle, ale do robienia pieniędzy. Pan jest artystą malarzem? - upewniła się jeszcze. - Gdyby pan znał się na modzie, mógłby pan zachałturzyć u mnie.
- Na szczęście nie znam się na tym zupełnie - odparł z godnością Marek.
- No i stało się - roześmiała się matka. - Zawsze się obawiałam, że moja córka wyjdzie za kogoś takiego jak pan. Może się pan obrazić, ale powiem od razu, co o tym myślę. Tacy święci idioci, jak pan, napawają mnie obrzydzeniem. Bo ze świętości połączonej z głupotą nic dobrego nie wychodzi. Niech pan siedzi - przytrzymała go za rękę, gdyż Marek zrobił taki ruch, jakby chciał skoczyć do drzwi.

Patrzyła na niego z ironią, Marek odpłacał jej tym samym, wreszcie przemówił:

- Między moim chałturzeniem a pani jest pewna różnica. Dla mnie pieniądze są środkiem, dla pani zaś celem. Na ma więc o co się sprzeczać.

- Jest o co. Za bardzo pan upraszcza te sprawy, ale w pańskim wieku to normalne, wszystko jest jasne i proste, białe lub czarne, a to nieprawda, bo właśnie szare, popielate, perłowe, zielone, niebieskie...

- Nie w tym przypadku...

- W tym, w tym. Nie przyszło panu do głowy, że moim celem może być samo działanie, a pieniądze to sprawdzian?

- A wie pani, że nie - roześmiał się Marek. - Jest pani mądrą kobietą, zaczynam żałować, że nie jestem projektantem mody.

- Może to i lepiej. Kto wie, do czego by doszło, gdybyśmy zawiązali spółkę. Być może ja zaczęłabym zajmować się malarstwem, a pan interesami. Nic by z tego nie wyszło. Niech pan powie - jej ton stał się mniej napastliwy - jak wygląda pańskie chałturzenie?

- Bardzo różnie, malarstwo ścienne, głównie reklamy, projektowanie wnętrz mieszkalnych dla bogatych obywateli tego biednego kraju. Pani też mógłbym zaprojektować wnętrza. I to za darmo.

- Nie podoba się panu moje mieszkanie?

- Okropne. Zimne, odpychające, jakby nikt w nim nie mieszkał.

- Ma pan rację. Tu nikt nie mieszka.

- A pani?

- Ja tu nocuję, czasem coś jem i piję, na ogół dość rzadko, ale nie mieszkam.

- Szkoda. To całkiem niezłe wnętrza i mogłoby być dobre.



- Zastanowię się nad tym, a jak przyjdzie co do czego, zapłacę.

- Za pieniądze nie będę nic robił.

- Chce się pan wkupić?

- Tak, chcę.

- Dlaczego?

- Pani mi się podoba.

- A więc remis. Napijmy się jeszcze po jednym i kładźmy się spać. Niech pan naleje. Dlaczego ty nic nie mówisz? - naskoczyła na mnie.

- Bo nie dajecie mi dojść do słowa.

- Bo się nie starasz. Zawsze taka byłaś. Wszystkim schodziłaś z drogi.

- Pani ją zdominowała - wtrącił z uśmiechem Marek.

- Ja? - zdziwiła się szczerze. - W jaki sposób? Nigdy nawet nie mieszkaliśmy razem.

- Może właśnie dlatego.

- Ech! - machnęła lekceważąco ręką. - Brednie. Nie wrodziła się we mnie i tyle. A jeśli chodzi o dominację, to muszę przyznać, że przy panu zrobiła się jeszcze bardziej do niczego.

- Jest szczęśliwa.

- Trudno to wywnioskować z jej milczenia. Drażni mnie to. Czy to normalne, żeby dorosła dziewczyna, i do tego szczęśliwa, nie miała nic do powiedzenia?

- A czy ty nauczyłaś mnie mówić? Czy ty w ogóle nauczyłaś mnie czegokolwiek? Dbałaś jedynie o to, żebym była najedzona, ubrana i miała pieniądze... Pieniądze! Odkąd pamiętam, dawałaś mi pieniądze.

Po jej gładkiej twarzy przemknął cień uśmiechu i rozświetlił oczy. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich żalów - powiedziała surowym tonem. - Nie znoszę roztkliwiania się nad sobą. Mam nadzieję, że nie jesteś sfrustrowana?

- Nie, ale to nie twoja zasługa.

- Nie mamy więc wobec siebie żadnych długów.

- Ty nie, ale ja mam.

- Jeżeli chodzi o pieniądze, to nie. Spełniałam tylko swój obowiązek.

- Już nie musisz. Za dwa tygodnie zdaję magisterium. Pierwszego sierpnia rozpoczynam pracę.

- Nie będziemy robić problemów ze spraw pieniężnych. A pracować powinnaś.

- Marek uważa, że nie.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się podnosząc szklankę. A ja usiłowałam nakłonić go wzrokiem do odpowiedzi, zależało mi na tym, żeby matka знаła powód, w jej pojęciu być może nieważny i śmieszny, lecz dla mnie istotny. Nie dał mi tej satysfakcji, milczał i uśmiechał się do matki.

- Pora spać - dźwignęła się od stołu. - Jutro muszę wstać wcześniej.

- Mamo! - zatrzymałam ją w drzwiach. - Możesz nam dać swój samochód? Chcieliśmy wpaść na godzinkę do wujka.

- Wujek - mruknęła bez złości. Po alkoholu wyraźnie złagodniała. - Nie wiem, co cię ciągnie do tych brudasów.

- To bardzo poczciwi ludzie i wcale nie brudasy.

- Poczciwi. Dobrze powiedziane, aż mdli od tej ich poczciwości. Mogliby żyć jak ludzie, ale boją się każdej nowości, każdego ryzyka.

- No jak? Dasz ten samochód czy nie?

- Nie.

- W porządku. Gdzie mamy spać?

- Już się obrażasz, że powiedziałam nie, a nie zapytasz nawet dlaczego.

- Widocznie masz powód i wcale się nie obrażam. Przyzwyczyłam się do twoich tonów.

- Ale zapytaj, dlaczego odmówiłam. Odpowiedź może być ciekawsza, niż przypuszczasz.

- Zawsze musisz postawić na swoim. No więc dlaczego? Uśmiechnęła się w przestrzeń.

- Nie dam ci mojego wozu, bo masz swój.

- Jak to?

- Stoi w garażu, zarejestrowany na ciebie. Miałś go dostać po magisterium razem z mieszkaniem...

- Mamo! Czy to nie za dużo?

- Czego?

- Tych niespodzianek. Pokręciła głową z politowaniem.

- Niespodzianek! Powiadasz. A czy ty pomyślałaś kiedyś, żeby się zapisać do spółdzielni? Wiedziałaś, że matka załatwi.

- Tak. Wiedziałam - przyznałam niechętnie.

- I znowu boczysz się o jedno słowo prawdy, a nie zapytasz nawet, jaki to samochód?

- Mały fiat?

- Zgadłaś. No to, kładźcie się spać. Najwygodniej wam będzie w graciarni. Dobranoc - uśmiechnęła się do Marka i skinęła mu głową, mnie zignorowała.

W graciarni stało wielkie łóżo z baldachimem, które matka nabyła przed laty za bezcen, podobnie jak dwie komody, sekreterę, tremo, stolik, serwantkę, fotele, lampy naftowe, ustawione jedna przy drugiej, żyrandole, kinkiety jeszcze nie przerobione na elektryczne, zawieszane byle gdzie.

Źle spałam tej nocy, parę razy budziłam się z krzykiem, siadałam na łóżku usiłując przypomnieć sobie, co mi się śniło. Nie pamiętałam. Marek mówił, że wołałam: „mamo, mamo” i płakałam.

Rano matka gotowa do wyjścia wtargnęła do pokoju. Oстрым szarpnięciem odsłoniła okno wpuszczając słońce.

- Wpół do dziewiątej - popatrzyła na zegarek. Marek usiadł na łóżku.

- Dzień dobry - uniósł rękę. Dmuchnęła dymem w jego stronę.

- Wspaniale pani wygląda - powiedział nie odrywając od niej wzroku.

Zbyła tę uwagę wzruszeniem ramion i sięgnęła do torebki po klucze.

- Te od mieszkania, a te od garażu - położyła na komodzie klucze i tysiąc złotych. - Jeżeli wrócicie przed trzecią, wstąpcie po mnie do pracowni. Pójdziemy na obiad. Gdybyś czegoś potrzebowała - zwróciła się do mnie - dzwoń! Od jedenastej będę w pracowni - przemknęła szybko przez pokój, rozpryskując słońce i cierpki, drażniący zapach perfum.

Marek odprowadzał ją wzrokiem. A mnie niebiesciło się w oczach od błękitnego zakietu matki. Uśmiechałam się do niej, chociaż nie mogła tego widzieć, zawsze zdumiewał mnie jej wygląd, sylwetka młodej dziewczyny, szybki chód, młodzieńcze ruchy i nie pasująca do nich surowość spojrzenia. Marek wyskoczył z łóżka i wyglądał przez okno.

- Gdzie ona ma ten garaż? - zapytał. - Obok, po przeciwnej stronie ulicy.

- Odnajmuje?

- Nie sędzę. Wszystko kupuje, więc ten garaż chyba też.

- Jaki ma samochód?

- Volkswagen.

- Chyba nieźle prowadzi?

- Nieźle. Znakomicie, wszystko robi znakomicie.

- A dlaczego jest sama?

- Bo chce.

- Nie sędzę.

- Och! Gdyby chciała mieć męża, kochanka czy przyjaciela, toby go miała, tak jak ma wszystko, o czym zamarzy, w najgorszym razie kupiłaby go sobie za bony albo za dolary...

- Coś mi się zdaje, że ty jej nie znasz, ona ciebie też nie. Dwie nieznajome, matka i córka. To nawet zabawne.

- Znacznie mniej, niż przypuszczasz.

- Ile ona może mieć lat?

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Dla mnie zawsze była młoda.

- I jest.

Znów był dzień jak na zamówienie. Niebo przefajnowane - pocztówkowe, nieprawdziwy błękit i słońce na domach, na ulicach, wszędzie. Jechaliśmy na południe, szosą w kierunku Zamościa. Przed pomnikiem Ofiar Majdanka Marek zatrzymał samochód. Wysiedliśmy. Długo oglądał pomnik, który ja znałam na pamięć, byłam na otwarciu ze swoją drużyną, a potem mijałam go wiele razy jeżdżąc do wujostwa. Kamienny olbrzym przywodził na myśl ogromnego ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Patrzyłam nań z zabobonnym lękiem. Pomnik ożywał w mych snach jak posąg komandora, poruszał się, mówił wieloma głosami, śmiał się, krzyczał i płakał, zbliżając się do mnie powoli, jakby chciał mnie zmiażdżyć czy przytłoczyć. Nieraz budziłam się mokra od potu i bałam się zasnąć. Teraz w słońcu olbrzym milczał w kamiennym bezruchu kryjąc w sobie dostojeństwo i powagę śmierci.

Marek z notatnikiem pod pachą oglądał rozległy teren obwiedziony drutem kolczastym. Ostro świeciło słońce, wieże strażnicze rzucały długie cienie, z rzadkiej porannej mgły wyłaniały się głowy krematoryjnych kominów. Psuły ten sielski krajobraz, ale nie wyglądały groźnie, mimo to poczułam chłód, mrowienie w palcach. Od dziecka byłam nerwowa i dosyć wrażliwa. Zatrąbiłam, Marek ruchem ręki

nakazał mi czekać. Usiadłam więc w rowie, tyłem do pomnika, ale nie mogłam się uspokoić, wstałam i ruszyłam biegiem przed siebie, chciałam uciec od tego pomnika, od ziemi zbroczonej krwią, od stosów kości, czaszek, popiołów, zapomniałam o Marku, biegłam coraz szybciej. Marek dogonił mnie samochodem i skarcił ostro.

- Dlaczego uciekasz? - spytał.

- Nie wiem. Coś mi się przywidziało. Złękłam się.

- Czego?

- Tych ludzi... Zresztą nie wiem. Wysiadł z samochodu, wziął mnie za rękę.

- Jestem przy tobie, nic ci nie grozi. Pamiętaj, gdy ja jestem przy tobie, nic ci nie grozi.

- Tak, wiem.

Przytuliłam się do niego, lęk minął. - Chcesz prowadzić? - zapytał.

- Nie, nie. Niezbyt pewnie się czuję za kierownicą.

- Przesadzasz! Jestem przekonany, że świetnie prowadzisz.

- Naprawdę? No to spróbuję.

Do wujka dojechaliśmy bez przeszkód. Miałam pewne trudności z przerzucaniem biegów, ale Marek udawał, że wszystko w porządku, i chwalił mnie za każdy przejechany metr.

Wujostwo przyjęli nas bardzo serdecznie nie ukrywając radości. Przerwali pracę w ogrodzie i zaczęli przygotowywać przyjęcie na naszą cześć. Nie pomogły tłumaczenia, że jedliśmy już śniadanie. Halina, moja cioteczna siostra, usmażyła jajecznicę ze szczypiorkiem, ciotka nakryła do stołu, wujek otworzył butelkę.

- Żeby wam się żyło szczęśliwie i zdrowo - mówił chrząkając i zerkał na ciotkę. - Bez żadnych tam rozwodów i fanaberii, i żeby dzieciśka były.

- Dzieci musowo - wtrąciła ciotka podnosząc kieliszek.

Marek nie wypił.

- Ktoś musi prowadzić - wyjaśnił widząc niezadowolenie na twarzy wujka.

- Nie przenocujecie? - zmartwiła się ciotka.

- Obiecaliśmy mamie.

- Chce z nami zjeść obiad - wyjaśnił Marek.

- O! To coś nowego! - roześmiała się ciotka. - Czyżby wciągnęła cię do interesu?

Ciotka od razu zaakceptowała Marka i zaczęła mu mówić po imieniu, wujek też. Jedynie Halina unikała bezpośrednich zwrotów, nie zdążyła się jeszcze z nim oswoić, dla niej ja byłam obcą osobą, a cóż dopiero on.

- Marek dał się prawie wciągnąć - wtrąciłam czekając na zaprzeczenie z jego strony.

Uśmiechnął się sięgając po chleb.

- Ciekawe, dlaczego ciebie nie bierze do spółki? - dopytywała się ciotka.

- Widocznie ja się nie nadaję.

- Joanna jest po prostu za młoda - odpowiedział Marek.

- A ty? - indagowała ciotka.

- Ja mam bądź co bądź trzydzieści lat.

- Trzydzieści? - zdziwiła się ciotka. - Wyglądasz bardzo młodo.

- Muszę. Mam młodą żonę - stwierdził z zadowoleniem.

- Joasiu! Ile ty masz właściwie lat? - odezwał się wujek. - Ciągle mi się zdaje, że jesteś dzieckiem.

- Bo jest - odpowiedział Marek i pocałował mnie.

Spłonęłam i odwróciłam głowę. Wstydziałam się ciotki i wujka, a nawet Haliny, lubiłam ich i szanowałam prostotę ich obyczajów, drażnił mnie jednak ich stosunek do matki, traktowali ją pobłaźliwie, jak osobę chorą, z fanaberiami, wybacжали jej nietakty i nonszalancję, uważali, że ma do nich

prawo, gdyż nie powiodło jej się w życiu. Nie miała męża ani domu jak trzeba, tylko ten swój interes i forszę.

- Już myślałam, że się ustatkuje - zaczęła ciotka, która lubiła rozprawiać o matce, prawdopodobnie dlatego, iż była jej przeciwieństwem - wpadła tu kiedyś w niedzielę z bardzo przystojnym panem, przywiozła, jak to ona, wódkę, wędliny, kurczaki z rożna, jakby u nas nie było co jeść, narobiła zamieszania, śniadanie na trawie, kazała ojcu grać, a on jak wszyscy mężczyźni nie miał odwagi powiedzieć jej nie, chociaż to jego młodsza siostra, wyciągnął z komory harmonię i zagrał. Wypiło się trochę, nie powiem, przyszła nauczycielka z mężem, bardzo ładnie śpiewała, a Maryśka w samym środku zabawy zrywa się i pędzi do samochodu. Stamtąd woła do tego pana, że czas jechać, zaczęła trąbić jak na alarm. Wypił chłop strzemiennego i pobiegł za nią. Odjechali w pośpiechu. Zawsze tak postępuje, z nikim się nie liczy, nikogo nie słucha. A w następną niedzielę przyjechała już sama. Chciała kupować ziemię, stawiać dom, zaciągnęła ojca do sołtysa na rozmowę. Po paru dniach przeszło jej, ale czy na długo? Niepokój ma w sobie, tu, w sercu - ciotka uderzyła się w piersi. - Wszystkiego jej mało, strojów, pieniędzy, mebli, znajomych...

- Znów się jej czepiasz - nastroszył się wujek. - Masz jej za złe, że nie siedzi w chałupie i nie pilnuje garów. Ona jest do lepszych rzeczy stworzona.

- Do jakich lepszych? - oburzyła się ciotka. - Sama jak palec, bez chłopca, bez dzieci.

- Przecież ma córkę.

- No tak, ma - zgodziła się ciotka. - Ma na utrzymaniu, ale tak naprawdę to... - ciotka dumna ze swojej wypowiedzi spojrzała na męża.

- Nie lubią się baby - powiedział wujek do Marka. - Jedna drugiej zazdrości, jedna drugiej współczuje. Obie są niby



zadowolone z tego, co mają, a jak się bliżej przyjrzeć, to nie... Maryśka od dziecka miała swoje fanaberie. Nigdy się z nikim nie liczyła, nawet z twoim ojcem - posłał mi współczujące spojrzenie. - A przecież wariowała za nim, jeszcze jak wariowała, ale kto za nią trafi. W parę miesięcy po ślubie wróciła do domu i oznajmiła, że nie chce go znać. Józek wyjechał na Zachód, tam się wykończył... Nie pojechała nawet na pogrzeb, miała do niego żal, o co, nie wiem, ale nawet po śmierci nie mogła mu czegoś wybaczyć.

Wstałam. Nie mogłam słuchać tych rozmów. Ojciec! Widziałam jego zdjęcie u babci, bardzo piękna twarz, blondyn z ciemnymi oczami, miękkie, łagodne rysy i uśmiech amanta.

- Wy sobie pogadajcie - przełknęłam ślinę - a ja pójdę do koni.

- Do jakich koni? - zdziwiła się Halina. Marek zastrzygł uszami.

- Przecież Joanna nic nie wie - wtrąciła ciotka. - Sprzedaliśmy wszystkie jesienią.

- To gniadego też nie ma?

- Nie, kupiliśmy traktor, chcesz zobaczyć?

- Czy ja wiem, zresztą pójdę się przejść.

Przesuwając się do drzwi, czułam, jak bluzka przylepia mi się do pleców. Nie mogłam spokojnie słuchać rozmów o matce, a jednak słuchałam, łudząc się, że wreszcie znajdzie się ktoś, kto ją oceni właściwie, ale jak dotąd nikt tego nie zrobił.

Tym razem opowieść o matce została przerwana. Wujek wkroczył na bardziej realny grunt, zaczął opowiadać o kupnie traktora: „Tu poczęstunek, tam tysiąc złotych, tu posmarować w innej formie, bo Kubasiewicz pieniędzy nie bierze”. Marka przestało to interesować, dogonił mnie w sieni. Halina rzuciła mu płochliwe spojrzenie i wyskoczyła na podwórko.

- To ten traktor - pokazała ręką. - Narwę dla was kwiatów. Idźcie się przejść.

Zniknęła w ogrodzie.

- Coś tak spochmurniała? - zapytał Marek. - Tak bardzo przeżywasz brak tego konia?

- Nie, ale chciałabym już być w domu. Kiedy jesteśmy wśród ludzi, mam wrażenie, że się ode mnie oddalasz. Robię się zazdrosna.

- O! To coś nowego! Do tej pory ja byłem zazdrosny.

- Już nie jesteś? - spytałam z niepokojem.

- Och! Jestem, jestem, jak Otello i jeszcze bardziej. Zabiję cię, jeżeli kiedykolwiek mnie zdradzisz.

- Ja ciebie też zabiję, słyszysz, ja nie żartuję, ja naprawdę...

- I dobrze zrobisz, ale do tego nie dojdzie. Zaprowadziłam go do lasu, który znałam od dziecka, miałam tam swoje kryjówki, rajskie ogrody, świątynie dumania, ulubione sosny, polany konwalii, poziomek i jagód. Na wzgórzu pod dębem znalazłam pierwszego prawdziwka, a w zagajniku na skraju lasu zbierałam rydze. Teraz nie było grzybów, tylko stężone zapachy konwalii, sosny, rozchodnika i macierzanki. Położyłam się na trawie, zamknęłam oczy i zdawało mi się, że jestem w raju.

Marek usiadł obok i odpędzał ode mnie muchy. Kochaliśmy się w słońcu. Podglądał nas wiejski chłopak, niezbyt dobrze schowany za drzewo. Widziałam jego okrągłą twarz i oczy jak dwa reflektory ustawione na nas. Nic nie powiedziałam Markowi, przyciągnęłam jego głowę do siebie i pocałowałam. Chłopak ukryty za pniem drzewa niewiele mnie obchodził.

Przed trzecią zjawiliśmy się u matki z naręczem kwiatów. Zajęta klientką ledwie rzuciła na nas okiem wskazując nam stolik i krzesła. Klientka za parawanem nie mogła się zdecydować.

- Czy nie jestem za stara do tej bluzki?

- Granat odmładza, zresztą w tym sezonie jest modny.
- Dobrze leży?
- To pani rozmiar. Rękawy nie ciągną?
- Nie.

Spocone babsko z ogromnym biustem wysunęło się z za parawanu. Zdecydowała się. Wzięła jeszcze koszulę nocną i szlafrok.

- Kwiaty? Dla mnie? Z jakiej okazji? - zdziwiła się matka.
- Mamy piękny dzień. Pójdzie pani z nami na obiad?
- Przyszliście za wcześnie - mruknęła spoglądając na zegarek. - Pani Mirko! - zwróciła się w stronę antresoli.

Ustało terkotanie maszyny do szycia i pani Mirka - czterdziestoletnia panienska - ześlizgnęła się na dół.

- Proszę się umalować, uczesać. Tu jest puder i szminka - matka otworzyła szufladę. - Dlaczego pani nie pójdzie do fryzjera?

- Nie mam czasu. Dzień dobry - pani Mirka uśmiechnęła się do mnie.

- Gdyby pani nie spała do dziesiątej, miałyby pani czas nie tylko na fryzjera - zauważyła uszczypliwie matka. - No, mniejsza z tym. Zastąpi mnie pani. Wrócę za godzinę. Proszę uprasować ten komplecik z teksasu. Po odbiór zgłosi się mąż tej aktorki, wie pani?

- Tak, wiem. Dzwoniła, żeby pani była uprzejma przyjść do nich na siódmą.

- Dobrze, dziękuję.

Wiedziała, że matka nie pójdzie do tej aktorki. Przyjęcia to według niej strata czasu, gadanie o głupstwach, toasty, jedzenie, picie bez umiaru i lament, wyliczanie, co zdrożało, o ile, czego nie ma i czego nie będzie, albo obgadywanie kolegów, dyrektorów i wszystkich świętych. Inna sprawa kolacje u mecenasa Bobrzyckiego, tam się mówiło o

interesach, i to bardzo konkretnie, a takie rozmowy matka lubiła.

- No, to idziemy! - poprawiła makijaż. - Zostawcie samochód, to niedaleko.

Kelner w „Europie” witał ją unizienie.

- To pani córeczka? - zdziwił się szczerze. - Powiedziałbym, że siostra. Już mężatka, no, no. Polecam kotlet wileński, goście chwalą. Proszę do stolika przy oknie - odsunął krzesło i z pochyłą głową czekał, aż matka usiądzie. - Córkę w sierpniu wydaję - pochylił się jeszcze niżej. - Znajdzie pani dla niej coś ekstra? Narzeczony na stanowisku...

- Niech przyjdzie za tydzień, spodziewam się nowych materiałów.

- Kalinowski ma do pani sprawę.

- Będę jutro o dziesiątej w kawiarni.

- Przekażę mu. Podać kotlety?

- Tak. I wódkę, po setce, woda mineralna, lody i kawa.

Gdy odszedł, matka wyjęła notes i szybko coś zapisała.

- Podobał się panu mój brat? - prześliznęła się po Marku nieprzytomnym spojrzeniem.

- Bardzo miły człowiek.

- Uparty jak osioł i głupi, Wanda taka sama. Jedynie Halina ma trochę oleju w głowie. Zrobię z niej człowieka.

Parsknęłam śmiechem.

- Już prawie zrobiłaś. Jeździ na traktorze.

- Od tego jeszcze nikt nie zmądrzał, ale za parę lat ona zrobi z tego gospodarstwa kwitnący ogród. To moja chrzestna córka - wyjaśniła Markowi.

Na stole pojawiła się wódka. Matka i Marek wypili.

- Ty prowadzisz? - spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Robi to świetnie - wtrącił Marek. Matka zasłoniła twarz dymem.

- Dlaczego nie wypijecie bruderszaftu? - spytałam.
  - Właśnie - uśmiechnął się Marek.
  - Nie chcę, żeby pan mówił do mnie „mamo”.
  - Przecież możecie sobie mówić po imieniu - zaproponowałam,
  - Jasne - poparł mnie Marek.
- Wypili. Marek długo całował ją w rękę. A ja przyglądałam im się z rozczeniem. Kelner przyniósł kotlety.
- Czy chcesz, żebyśmy od dziś mówiły sobie po imieniu? - spytałam po odejściu kelnera.
  - Co ci strzeliło do głowy? - oburzyła się matka.
  - No, skoro z nim jesteś po imieniu...
  - Z nim to co innego. On jest dla mnie obcy. A ty, bądź co bądź, jesteś moją córką.
  - Bądź co bądź - powtórzyłam, ale w gruncie rzeczy byłam zadowolona z odpowiedzi.
  - Nie podoba mi się, że uważasz mnie za obcego - zasępił się Marek.
  - Poznałam cię dopiero wczoraj.
  - Ale Joanna zna mnie dłużej.
  - Zdaje się, że niezbyt długo, ale to sprawa Joanny.
  - Och! Nie kłóćcie się! - spojrzałam prosząco na matkę i na niego. - Tak bym chciała, żebyście się polubili.
  - Przecież my się lubimy - odpowiedział Marek. Matka milczała. Pochyliła nad talerzem jadła bez apetytu małymi kęskami. Patrząc na nią poczułam się zawstydzona, zjadłam już frytki, kotlet i zabierałam się do sałaty.
  - Widzę, że apetyt ci dopisuje - zauważyła z przekąsem. - Uważaj, żebyś nie utyla.
  - Przecież nie tyję - odchyliłam się do tyłu i zademonstrowałam jej brzuch płaski jak deska.
  - Na razie - mruknęła nie podnosząc oczu znad talerza.
  - Ty przecież nie utylaś?

- Nigdy nie miałam apetytu.

- Ja też nie miałam. A teraz mam. Wiesz dlaczego...?

- Domyślam się - przerwała mi szorstko. - Panie Franciszku - przywołała kelnera. - Jeszcze lody, kawa i rachunek. Spieszę się.

- Jak zwykle - uśmiechnął się kelner, przyniósł wszystko, o co prosiła. Spojrzałam na zegarek, obiad trwał zaledwie czterdzieści minut. Matka mówiła szybko, rzeczowym tonem spikera telewizyjnego. Przymknęłam oczy i przeniosłam się myślami do ogródka na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, strzepnęłam bezwiednie popiół na podłogę.

- Co ty wyprawiasz? - skarciła mnie, przysuwając popielniczkę.

Zgasiałam papierosa i znowu popadłam w odrętwienie.

- Sześć litrów na sto - wyliczali zalety małego fiata.

- Pasjonujący temat - uśmiechnęłam się do siebie. - Cała Polska go międli od rana do nocy.

- Idziemy? - wyciągnęłam rękę po papierosy, chcąc je schować do torby.

Matka zatrzymała mnie. Dopijała kawę słuchając, co mówił Marek, kiwała głową, wzięła serwetkę, na której coś narysował, schowała do torby, znów przywołała kelnera, zamówiła dwa koniaki, zapłaciła. Marek wpatrywał się w okno.

Pomyślałam, że to dla mężczyzny musi być krępujące - samochód od teściowej, mieszkanie, pieniądze, wszystko dla mnie, ale on jest moim mężem, więc i dla niego. Kiedy się żenił, nic o tym nie wiedział, a może? Cień podejrzenia wśliznął się do mózgu. Dziewczyny mówiły, ech, głupstwa! Zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia. Wtedy, w autobusie, gdy zgubiłam obcas, nic o mnie nie wiedział i postanowił się ze mną ożenić. Już wtedy! Powiedział mi to w pociągu. Biorąc ze mną ślub także nie wiedział, kim jest moja

matka, nie chwaliłam się tym, nie było okazji, temat należał do gatunku wstydlivych, prywatna inicjatywa, we wszystkich ankietach pisałam: krawcowa, nie kłamałam, ale i nie mówiłam prawdy. Dziewczyny jednak wiedziały, inni prawdopodobnie nie. Pieniądze! Wszyscy chcieliby je mieć, ale nikt się do tego nie przyznaje, poza chłopcami, którzy wybierają się do zawodówki. Kiedy przeprowadzałam w szkołach badania, to właśnie ci chłopcy pisali w ankietach, że chcą jak najszybciej zacząć pracować i zarabiać, dużo zarabiać. Ja nigdy nie myślałam o pieniądzach, ponieważ zawsze je miałam, nie myślałam też, że muszę zarabiać, to było nieważne. Zawsze co innego miałam na względzie. Aspiracje. Tak, tak, nic o tym nie wiesz, ale właśnie te aspiracje, przewyższające możliwości, spędzały mi sen z powiek, być kimś znaczącym, wyrwać się z tłumu, szare, nijakie życie zmienić w fajerwerk, w wiecznie trwające święto, obnosić po ulicach twarz znaną, niepowtarzalną, jedyną. Chciałam zostać aktorką. Śmiejesz się, no właśnie, teraz i mnie ta sprawa wydaje się śmieszna, ale był czas, że traktowałam ją serio. Nie masz pojęcia, co ja wyprawiałam, z jakim uporem przygotowywałam się do egzaminu. Jeszcze gdy żyła babcia, w tajemnicy przed nią, kryjąc się po kątach uczyłam się ról, mówiłam do mebli, do ścian, ćwiczyłam przed lustrem uśmiechy, grymasy, recytowałam wiersze, a potem w internacie zamykałam się w łazience i robiłam to samo. Wzbudzało to liczne komentarze, głupie docinki, uśmieшки. Posłano mnie nawet do psychologa. Podczas dwugodzinnej rozmowy udawałam, że nie rozumiem, o co chodzi, wreszcie dano mi spokój, a ja dalej robiłam swoje. Okazało się, że niepotrzebnie, odpadłam po pierwszych eliminacjach, głos, dykcja, wyuczone gesty, uśmiechy, wszystko było niedobre. „Brak zdolności aktorskich” - usłyszałam werdykt wypowiedziany cichym głosem, który dla

mnie zabrzmiał jak grzmot, za plecami szczupłego pana o ptasiej twarzy ujrzałam nawet zygzakowatą pręgę, cofnęłam się bez słowa i wyszłam. Zapaliłam na korytarzu na wprost tabliczki z napisem: „palenie wzbronione”. Idąc Krakowskim zachłystywałam się dymem i łzami. Parę zaciekawionych spojrzeń otarło się o mnie, uciekałam przed nimi, nogi odmawiały mi posłuszeństwa, ciążyły szarpane bólem, który promieniował od kolan w górę i w dół, chciałam usiąść, napić się coca - coli, ale nie mogłam znaleźć odpowiedniego miejsca. Na placu Zamkowym stała jedna ławka oblegana przez dzieciarnię z lodami. Wiatr wzbijał słupy szarego pyłu i ciskał nimi w przechodniów. Uciekłam przed nim na ruchome schody, zjechałam w dół, podeszłam do kiosku i zawróciłam, schody wniosły mnie z powrotem na górę. Popłynęłam z tłumem wzdłuż Krakowskiego. Szarpiące klucie przeniosło się z kolan do łopatek, bolały mnie wszystkie mięśnie, najbardziej ramiona, mimo to przyśpieszyłam kroku, minęłam skwerek z pomnikiem wieszczą i słaniając się ze zmęczenia dotarłam do „Bristolu”. Usiadłam w ogródku. Wiatr i tu mnie odnalazł, stracił gazetę, którą położyłam na stole, wczepił się we włosy. Poprosiłam o kawę i lody. Kelnerka przyjmując zamówienie kiwała głową, ale nawet na mnie nie spojrzała. Sprawilo mi to przykrość i znowu dwie łzy wypełzły na policzki, otarłam je szybko. Przypudrowałam twarz, wypić kawę, lody odstawiłam po spróbowaniu, miały smak mydła. Zamówiłam colę. Kelnerka znowu skinęła głową i poszła. Znowu na mnie nie spojrzała. Byłam dla niej anonimową postacią bez twarzy, dziewczyną z prowincji, ubraną modnie i schludnie, ale bez warszawskiego sznytu. Położyłam płaszcz na krześle i na nim to właśnie spoczął wzrok kelnerki, a może zainteresowała ją książka z wierszami ukochanego poety, którą położyłam obok. Większość tych wierszy znałam na pamięć, spędzałam z nimi wolne wieczory, niedziele, a na egzaminie mówiłam je cicho



nie swoim głosem, zacinając się na końcówkach. Ukochane wiersze nie przyniosły mi szczęścia.

Zapłaciłam i wyszłam zostawiwszy napiwek kelnerce, która mnie nie dostrzegła. Znowu płakałam, tym razem mniej rozpaczliwie, cicho, bez łez, popatrując szklanymi oczami na przechodniów. Znowu byłam anonimową postacią, taką jak wszyscy, szarą, nijaką, pozbawioną talentu, głupia gęś, której zamarzyło się aktorstwo. Potwornie banalne marzenia... i jakże przeciętne. Tkwiłam w tej przeciętności jak w gęstej mgle nie różniąc się niczym od innych, w miarę ładna, zdolna i miła, jak setki, tysiące...

Dopiero gdy Marek wyłowił mnie z tłumy, uwierzyłam w swoją niepowtarzalność, dopiero wtedy.

Dotknęłam jego ręki, uśmiechnął się i przeczesał palcami włosy, matka pudrowała nos.

- Gdzie ty właściwie byłaś? - spojrzała na mnie z wymówką.

- W Warszawie, na Krakowskim.

- Ciągle mi się mylą te Przedmieścia.

- To jest starsze.

Machnęła ręką. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

- Idziemy - Marek otoczył mnie ramieniem, ale patrzył na matkę. - Joannę ciągnie do Warszawy, a ja bym tu został jeszcze dzień, dwa, podoba mi się miasto.

Przed sklepem pożegnaliśmy się z nią, matka otarła się o mnie ustami i podała Markowi rękę.

Zostałam jego więźniem, z własnej nieprzymuszonej woli, ale zostałam. Spędzałam w pracowni długie godziny, ranki, popołudnia, często wieczory również. Marka opętał jakiś demon, żył jak w gorączce, zrywał się Przed wschodem słońca, parzył kawę i ściągał mnie z łóżka. „Szybciej, szybciej” - pomagał mi się ubierać i ciągnął do pracowni. Zaspaną, na wpół przytomną sadzał na krześle, poił kawą i

brał się do roboty. Drzemałam w fotelu, i taką mnie malował, senną, zmęczoną, z głową na rękach. Zaznaczał kontury twarzy i zajmował się jakimś jednym szczegółem, pasmem włosów, brwiami, ustami lub kawałkiem profilu. Malował mnie przez kolorowe szkła, które wmontował do specjalnie w tym celu skonstruowanych okularów, czasem kazał mi stawać przed lustrem i malował nie mnie, lecz moje odbicie.

Dni mijały bez większych zdarzeń, nie widywaliśmy nikogo, Marek wyłączył telefon. Sąsiadka emerytka, z którą był w dobrych stosunkach, przynosiła obiady, robiła zakupy.

- Taka ładna pogoda - mówiła wchodząc do pracowni - a państwo w domu. Pan ciągle maluje. No, no - cieszyła się oglądając obrazy - teraz to co innego: twarze, postacie, szkoda, że niewyraźne, ale to już coś. To pani? - patrzyła na mnie i na obrazy. - Szkoda, że - niepodobna, chociaż nos jakby ten sam i usta. A pani ciągle w książkach. Egzamin. Taka ładna pogoda - powracała do swego refrenu.

Brałam od niej garnki, rozlewałam zupę. Marek się niecierpliwił.

- Szkoda czasu na jedzenie - połykał w pośpiechu zupę i drugie, popędzał mnie, dojadłam obiad w pracowni, on już malował. Bolała mnie głowa od zapachu farb, terpentyny i rozpuszczalników, nic jednak nie mówiłam, nie narzekałam, oglądałam portrety szukając w nich podobieństwa i czasem je znajdowałam. O zmierzchu wychodziliśmy na spacer, zawsze tą samą drogą, Stawkami do Konwiktorskiej, Franciszkańską do Rynku Nowego Miasta, a stamtąd ulicą Starą do Wisły. Lubiłam siedzieć na trawie i patrzeć na wodę. Ale Marek nie mógł długo usiedzieć na miejscu, wstawał i zaczynał się gimnastykować, biegał, ćwiczył przysiady. Bardzo się zmienił, szcerniał i schudł, wystawały mu kości policzkowe, pod oczami pojawiły się zmarszczki. Podtykałam mu jedzenie, kanapki, desery, ale on nic nie chciał, nie miał czasu. Mówił

niewiele, przeważnie o tym, co robi, malował szybko, kilkoma rzutami i odstawiał płótna, wracał do nich po kilku godzinach albo po paru dniach, domalowywał, poprawiał, nigdy nie pytał mnie o zdanie, czasem uśmiechał się, przepraszał za swój sposób bycia.

- Jeszcze tylko parę dni - mówił - i wyjedziemy w podróż poślubną. Będziemy leżeć w słońcu, kąpać się, chodzić do lasu. - Dzięki tobie - mówił patrząc na mnie z czułością - zacząłem realizować swoje marzenia.

Wzruszał mnie tym ogromnie, nareszcie coś działało się dzięki mnie, a że do końca tego nie rozumiałam...

- Wiesz, nigdy jeszcze tak solidnie nie przygotowywałam się do egzaminu. Jestem obkuta, przeczytałam mnóstwo książek, powtórzyłam cały materiał, chyba wezmę się za doktorat, mam nawet pomysł.

Nie słuchał, ręka mu odpoczęła, podszedł do sztalug, sięgnął po pędzel i przeniósł się w inny wymiar.

Czytałam na głos rozdział: „Osobowość i jej struktura”. Dla Marka był to prawdopodobnie bełkot, który szybko go znudził. Poprosił, żebym przestała.

- Pójdę do biblioteki - złożyłam książkę.

- Och! Nie! - chwycił mnie za rękę. - Zaraz skończę. Pójdziemy razem.

Nie pozwalał mi wyjść, nie pozwalał spać, musiałam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę być z nim. Kiedy oddalałam się na chwilę do kuchni, biegł za mną albo patrzył z takim przerażeniem, jakbym odchodziła na zawsze.

Powód zrozumiałam dopiero później. Marek był sam przez wiele lat, a tamte dziewczyny, o których opowiadał, nie potrafiły, widać, zapełnić mu pustki, pojawiały się i odchodziły, czyniąc go jeszcze bardziej samotnym. Rodziców stracił, gdy miał dziewiętnaście lat. Oboje zginęli w katastrofie samochodowej. Jakaś daleka krewna wzięła go pod

swoje skrzydła, wspomagała finansowo, nie widując się z nim prawie, zresztą wkrótce zmarła zapisując Markowi niewielkie oszczędności. Jej śmierć Marek odczuł boleśnie, chociaż mało ją znał, wystarczała jednak świadomość, że ktoś o nim myśli. Od tej chwili był sam na świecie, utrzymywał się ze stypendium i z malowania mieszkań. Studia ukończył z wyróżnieniem, zamienił mieszkanie rodziców na pracownię i starał się żyć jak wszyscy. Być może nie zdawał sobie sprawy ze swego osamotnienia i w swoim stosunku do mnie nie widział nic dziwnego. Okazywał mi czułość i przywiązanie, przestał jednak mówić o miłości, jakby wyczerpał wszystkie słowa z tej dziedziny.

Mijały tygodnie i nic się pozornie nie działo, chociaż, gdy spojrzeć na nie z perspektywy czasu, działo się sporo. Po upalnych dniach spadły gwałtowne deszcze, lało bez przerwy przez trzy dni. Radio zmieniło ton, w dziennikach pojawiały się złe wiadomości. W południowych rejonach kraju deszcze wyrządziły poważne szkody w uprawach rzepaku, w województwie warszawskim ucierpiały truskawki, w grójeckich sadach grad zniszczył zawiązki owoców... A czwartego dnia wiatr rozpędził chmury i pojawiło się słońce. Marek zaspał. Po raz pierwszy od wielu dni nie ściągnął mnie z łóżka. Dopiero o dziewiątej podał mi kubek kawy.

- Nie chcę kawy. Chcę spać - schowałam głowę pod kołdrę.

- Jak to? - zdziwił się. - Nie chcesz kawy? Dlaczego?

- Chcę spać.

- Dochodzi dziewiąta. Chcę pracować.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Usiadłam opierając się głową o ścianę.

- Nie jestem modelką. Chcę żyć. Chcę chodzić w słońcu, kąpać się, opalać, oglądać ludzi w dziennym świetle...

Wyprowadzam się stąd - wstałam i natychmiast usiadłam, okryłam się z powrotem kołdrą i wybuchnęłam płaczem.

- Przepraszam - wykrztusiłam przez łzy. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Jestem zmęczona, nie mogę nawet siedzieć. Boli mnie głowa.

- Dziecko drogie - postawił kubek z kawą na stole i usiadł przy mnie. - To ja cię przepraszam, to moja wina. Chwyciłem nastrój. Rozumiesz? Nie mam problemów technicznych. Świetnie mi się pracuje. Już dawno nie miałem takiego napędu, sądziłem, że się kończę, i nagle to objawienie, ty ze swoją asymetryczną twarzą, ze światłem w oczach, czysta, niewinna...

- Interesuję cię tylko z malarskiego punktu widzenia...

- W tej chwili malarski jest najważniejszy.

- A ja?

- Przecież to wszystko jedno - odparł cicho i położył się obok.

Leżeliśmy chwilę w milczeniu, Marek błędził wzrokiem po suficie, a ja wycierałam łzy. Nie chciałam płakać, ale było mi bezgranicznie smutno. Wstałam, napiłam się kawy i wyszłam do łazienki. Kiedy po zimnym prysznicu odświeżona i spokojniejsza zajrzałam do sypialni, jego już tam nie było. Stał przed sztalugami i wyciskał farbę na paletę. Dolałam sobie kawy i usiadłam przy stole. Marek zaś najzwyczajniej w świecie zabrał się do malowania. Patrzyłam na jego precyzyjne ruchy i czułam się fatalnie, prawie tak samo jak wtedy, przed pięciu laty na Krakowskim Przedmieściu, znowu bez twarzy, bez wnętrza, balon napełniony powietrzem, pęknie, gdy się go nakłuje. Twarze na portretach uśmiechały się do mnie, sąsiadka emerytka miała bielmo na oczach, gdy dopatrywała się w nich podobieństwa ze mną. A jednak? Zaczęłam im się przyglądać, ustawione rzędem pod ścianą tworzyły jeden portret gigant. Z tego portretu uśmiechały się

do mnie czyjeś usta, czyjeś oczy patrzyły z uwagą. Sąsiadka emerytka miała rację, to były moje usta, brwi, uśmiechy, spojrzenia. Poczułam się jeszcze gorzej, nie było mnie, nie istniałam, były tylko te falsyfikaty, zniekształcone kopie, wyraziste szczegóły mojej twarzy, upiększone lub zdeformowane. Marek z pędzlem, w poplamionym fartuchu, nie ogolony, chudy i szary, niewiele miał wspólnego z tamtym mężczyzną, którego spotkałam w autobusie i który patrzył na mnie z zachwytem. Teraz jego wzrok prześlizguje się po mnie bez zaciekawienia, zachwyt pojawia się w oczach tylko na widok płótna i farb, uśmiecha się do swoich wizji, mówi niewiele, nie odpowiada na pytania, bo ich nie słyszy. Płótno pulsuje życiem pod jego ręką, wyłania się nowa twarz, pomarańczowe włosy, wzrok opuszczony na książkę, ścięty krótki nos, wystające kości policzkowe, mongoidalna twarz z jakiejś ryciny, którą gdzieś widziałam dość dawno, tak dawno, że nie pamiętam gdzie, twarz dziecka jak na tym płótnie, ręce złożone do modlitwy, oczy utkwione w książce do nabożeństwa... Zdjęcie od Pierwszej Komunii, przypomniałam sobie. Nie śmiałam poruszyć powieką, bałam się, że ten stan łaski, w którym tkwiłam od kilku minut, uleci spłoszony jednym westchnieniem, jednym mrugnięciem... Marek nie widział tamtego zdjęcia, nie wie, jak wyglądałam w dzieciństwie.

Odłożyłam książkę i przeciągnęłam się wstając.

- Robisz ze mnie świętą. Zbliżyłam się do płótna ziewając. Słoneczne krople spływały z otworu w dachu.

- Taką cię widzę - odparł bez zdziwienia.

- Dlaczego nie domalujesz mi aureoli?

- Wyglądałaby kiczowato.

- Wychodzę - odwróciłam się tyłem do obrazu.

Marek z paletą w ręku rzucił się za mną.

- Zaczekaj! Jeszcze tylko dwa muśnięcia. Wyjęłam z szafy spodnie i bluzkę.

- Proszę cię, jeszcze chwilę.

- Nie mogę. Duszę się...

- Otwórz okno.

- Jadę na basen - wrzuciłam do torby kostium kąpielowy. Zamknął mi drzwi przed nosem i schował klucz.

- Dziesięć minut cię nie uratuje - powiedział stanowczo.

Ujął mnie za ramiona, wprowadził do pracowni i posadził przy stole. Nie krzyczałam, gdy mnie prowadził, nie wrywałam się nawet. Położyłam na stole zegarek i wpatrywałam się w drgające wskazówki. Po upływie dziesięciu minut wstałam i poprosiłam o klucz. Otworzył mi. Wyszłam bez słowa sądząc, że wybiegnie za mną.

Na schodach specjalnie zwolniłam: nie, nie wybiegł. Wsiadłam więc do samochodu i nadal czekałam. Nie raczył się nawet pokazać w oknie, wiatr kołysał firanką, słońce ześlizgiwało się z dachu oświetlając część domu. Zatrzasnęłam drzwiczki i z ostrym wyciem wytoczyłam się na ulicę.

Dosyć szybko dotarłam do Wisłostrady. Mając pod bokiem basen na Inflanckiej pojechałam do Powsina. Przed skrzyżowaniem, ulegając jakiejś wewnętrznej presji, wyrzuciłam migacz w lewo. Powsin już znałam. Byłam tam kiedyś ze Staszkiem. Urwaliśmy się z zajęć. Jazda w tłoku trwała wtedy strasznie długo, dokuczał nam upał, chociaż był dopiero czerwiec i lato się jeszcze na dobre nie zaczęło. Pamiętam, że zaraz po wyjściu z autobusu doznałam ulgi. Ludzi prawie nie było, wiatr przelatywał bezgłośnie nad wodą, bzykały małe muszki, nikt się nie kąpał, parę osób grało w brydża przy drewnianych stolikach.

W Wilanowie odżył w pamięci inny dzień, kiedy to siedziałam z Markiem na skraju przydrożnego rowu, gdzieś

niedaleko stąd. Wtedy jeszcze sądziłam, że otwierają się przede mną bramy raju.

Zatrzymałam samochód, przeszłam parę kroków wzdłuż rowu, nie mogłam jednak odnaleźć tego miejsca, gdzie siedzieliśmy razem, ani tych ścieżek, po których chodziliśmy. Od tego czasu upłynął zaledwie miesiąc, a ja byłam śmiertelnie znużona życiem, małżeństwem i szczęściem... Własne szczęście na co dzień okazało się nie do zniesienia. Wróciłam do samochodu i nie zatrzymując się więcej dotarłam do Powsina. Po kąpieli w basenie ożywiłam się nieco, wypożyczyłam leżak i ułożyłam się na słońcu. Przypomniało mi się, że następnego dnia mam egzamin. Sprawdziłam w kalendarzyku. Zgadzało się. Poczułam żal do Marka, że wciągnął mnie w swoje sprawy, omal nie zapomniałam o najważniejszej, egzamin magisterski, bądź co bądź. Zasnęłam nad notatkami i śnił mi się Marek, lecieliśmy samolotem do Grecji. Marek znów mówił takie słowa, od których kręciło mi się w głowie. W pewnym momencie pochylił się, żeby mnie pocałować, i znikł wraz z samolotem. Ja zaś ocknęłam się w labiryncie i posługując się znanym sposobem Ariadny, usiłowałam wyjść. Ale za każdym razem, gdy przybliżałam się do otworu, z którego sączyło się słabe światło, Marek zagradzał mi drogę i wpędzał z powrotem do mrocznych korytarzy, przybierając przy tym różne postacie; raz był wężem, raz ptakiem, raz pół człowiekiem, pół bogiem. Obudziłam się bardzo zmęczona, ale widać nie sądzono mi było uwolnić się od niego, bo gdy tylko uniosłam głowę, pierwszą osobą którą ujrzałam, był właśnie on. Siedział na ręczniku i jadł truskawki.

- Należało się tego spodziewać - burknęłam i odwróciłam się do niego plecami.

- Należało - stwierdził obojętnie i podsunął mi truskawki.  
- Myte - dodał z uśmiechem.



- Śniłeś mi się - powiedziałam sięgając po truskawki.
  - To dobrze.
  - Zamknąłeś mnie w jakiejś jaskini - dodałam gniewnie z trudem hamując łzy.
  - Chętnie bym to zrobił, ale nie dysponuję odpowiednim lokalem.
  - Sadysta! - uderzyłam go w plecy. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem?
  - Kazałem ci tu przyjechać.
  - Jak to kazałeś?
  - Zwyczajnie. Kiedy wsiadłaś do samochodu, powiedziałem: „Jedź do Powsina”, a ty usłuchałaś.
  - Nieprawda, nic nie mówiłeś.
  - To dlaczego tu jesteś?
  - Nie wiem. Chciałam iść na Inflancką, ale w ostatniej chwili zmieniłam zamiar.
  - No właśnie, wtedy, kiedy złamałaś obcas, ja też zmieniłem zamiar. Miałem jechać na Żoliborz, a wsiadłem do autobusu, który jechał na Mokotów. Och! Ty głuptasie! - przytulił się do mnie. - Gdzie tak zmarzłaś? - zaczął rozcierać mi rękę.
  - W podziemiach.
  - Widzisz, to ostrzeżenie. Nie próbuj uciekać. To ci się nie uda. Znajdę cię wszędzie, zamknę lub wtrącę do podziemi.
  - Miałam rację. Jesteś sadystą.
  - Wyrażasz się nieprecyzyjnie. Dlaczego?
  - Bo mnie złościsz.
  - Nie jestem ci więc obojętny.
- Ale doprowadzisz do tego, że cię znienawidzę. Przysięgałaś miłość, wierność...
- Ty też.
  - Ja nie uciekam od ciebie.

- Nie uciekasz, ale znęcasz się nade mną. Matka miała rację, zdominowałaś mnie.

- Przysłała telegram. Przyjeżdża jutro.

- Po co?

- Nie wiem.

- Wyjedziesz po nią na dworzec?

- Dlaczego ja, a nie ty?

- Ja mam egzamin.

- Jutro?

- Tak, jutro.

- Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?

- Mówiłam, nie słuchałeś. Nigdy nie słuchasz, co mówię - łzawe tony wkradły się do mego głosu. Marek spojrzał na mnie surowo.

- Od samego rana kwasy! - wybuchnął. - Ja jestem winien, że przyjeżdża twoja matka, ja jestem winien, że masz egzamin! Czy to ja wymyśliłem te idiotyczne studia?

Zagryzłam wargi wertując podręcznik. Marek odsunął się ode mnie, zapalił.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytał po chwili. A kiedy nie odpowiedziałam, wstał, włożył koszulę i dżinsy i gwizdząc melodię z filmu „Emmanuele” bardzo długo zapinał sandały, i czekał, że ja coś powiem, a ja nic. Milczałam leżąc bokiem do słońca i wcale nie udawałam, że zajmuję się czymkolwiek.

Odczekał jeszcze chwilę, podwinął rękawy i ruszył przed siebie ścieżką w stronę lasu. Szedł z lekka rozchwianym krokiem, z jedną ręką w kieszeni, druga zwisała mu bezwładnie u boku, jakby stracił w niej czucie, z nadmiernym wysiłkiem prostował głowę i odchyłał ramiona. Jak większość wysokich mężczyzn garbił się nieco.

Miałam ochotę krzyknąć, żeby zawrócił, i nie zrobiłam tego. Do tej pory nie wiem, dlaczego. Patrzyłam na jego sylwetkę, jak zlewa się z kolorytem nieba i wody, na którą

spoglądał z żalem, nie zdążył nawet popływać. Wypłoszyłam go swoją oschłością i uporem, którego nadal nie mogłam przełamać, wiedząc, że za chwilę będzie za późno. Marek zejdzie w dół stromą ścieżką, skryje się za zieloną skarpą i odejdzie. Odprowadzałam go wzrokiem do końca, aż rozmył się w zieleni. Potem długo patrzyłam w tę stronę, słyszałam, jak silnik w autobusie zachłystywał się własnym bulgotem, jak wreszcie połknął paliwo i zaterkotał rytmicznie, błękitny obłok spalinowego dymu falował między drzewami, roje drobnych muszek wirowały nad ścieżką, kręcąc się wokół niewidzialnej osi. Para miłych staruszków pożywiała się kanapkami przy drewnianym stoliku. Sięgnęłam po podręcznik i z prawdziwą zajadłością rzuciłam się na definicje, czytałam je głośno i powtarzałam, znów czytałam i znów powtarzałam. Para staruszków przyglądała mi się ze współczuciem, czytanie definicji przerywało bowiem zdławione szlochanie. Łzy jak groch leciały mi z oczu, nie ścierałam ich nawet, schły w słońcu zostawiając piekące ślady. Niemniej dalej wertowałam rozdziały, czytałam i powtarzałam zdania zaznaczone ołówkiem aż do kompletnego znużenia. W końcu wstałam i odniosłam leżak do wypożyczalni. Słońce przesunęło się ku zachodowi i wydłużone cienie zaczęły podchodzić do basenu. Jakiś tłusty jegomość pływał na plecach nie poruszając się prawie, chłopcy skakali z chlupotem do wody, echo w dolinie za każdym razem odpowiadało przeciągłym mlaśnięciem, a ja stałam w słońcu nie mogąc się zdecydować na skok. Obserwowałam jakąś niemłodą już parę szczepioną w uścisku na ławce, staruszków drzemiących w skąym brzożowym cieniu, chłopców grających w badmingtona i kobietę karmiącą dziecko. I naraz wróciło znane mi od dawna, a zapomniane ostatnio uczucie trwogi i przerażenia. Jeszcze raz objęłam wzrokiem brzozy rozrzucone po terenie Ośrodka i zaczęłam

wycofywać się do wyjścia. W tym zwykłym i znanym mi krajobrazie dostrzegłam nagle pustkę i smutek. Szłam potykając się o wystające korzenie, spłoszyłam kosa, który przerwał kwilenie i rozpostarł skrzydła szykując się do lotu, zmienił jednak zamiar, jak gdyby stwierdził, że nic mu nie grozi.

Na dwupasmowej szosie do Wilanowa nawiedziło mnie znowu przykre uczucie, że jestem sama na nieznanym planecie. Zapragnęłam znaleźć się w pobliżu Marka, usłyszeć jego głos. Po drodze do domu wstępowałam do sklepów szukając lepszej wędliny, ale nic nie znalazłam, wszędzie wisiały kiełbasy pośledniejszych gatunków, których mama nie brała do ust. Wstąpiłam do sklepu rybnego przy placu Zbawiciela i kupiłam kilka puszek zagranicznych konserw, w pobliskich Delikatesach kaczkę mrożoną, kawę, herbatę, wino, łubiankę truskawek, sałatę, pieczarki, załadowałam niewielki bagażnik po brzegi, uspokoiłam się nieco, ale przejmujące uczucie trwogi wróciło, gdy podjechałam pod dom i zatrąbiłam. Marka nie było, w pustym oknie wiatr kołysał firanką, głęboki cień leżał na ścianie domu.

Pierwszy wieczór bez niego. Czekanie. Mieszane uczucia, złość i niepokój. Czy mu się coś nie stało? A może poszedł do innej, do jednej z tych dziewczyn, o których mi opowiadał, może pije gdzieś w knajpie. Staralam się myśleć o egzaminie, ale nie mogłam się skupić, biegałam po pracowni i mówiłam głośno do siebie, żeby się tylko dał przebłagać, żeby mi przebaczył. Ten dzień przesądził sprawę, wyzbyłam się dumy, mrzonek o wolności. „Gdy się jest z kimś - mówiłam do siebie - tak jak ja z nim, trzeba nauczyć się pokory i uległości. I ja to zrobię, nauczę się jednego i drugiego, zapłacę za swoją miłość najwyższą cenę, bo stać mnie na to i chcę płacić”. Zrobiło się późno ruch na ulicach zamierał. Napiałam się wina, dużo wypiałam, chyba prawie całą butelkę, i zasnęłam. Nie wiem,

jak długo spałam ani która była godzina, obudziłam się w chwili, gdy Marek podniósł mnie z

podłogi. - Przygotowałem ci tapczan - powiedział - śpij.

- A ty?

- Ja jeszcze posiedzę.

Nalał sobie wina. Zapytałam:

- Gdzie byłeś?

Nie odpowiedział.

Powtórzyłam pytanie hamując łzy.

Milczał wpatrzony w swoje obrazy.

- A ja czekałam. Jadłeś kolację?

- Tak - mruknął od niechcienia. - Idź spać. Masz przecież jutro egzamin.

Jednak pamiętał. Co za ulga! Dotknęłam ustami jego czoła.

- Masz gorączkę!

- Nie. Skądże! - ujął mnie za rękę i zaprowadził do pokoju.

Rano obudził mnie jak zwykle, ściągając kołdrę. Kubek z dymiącą kawą stał na stoliku przy oknie.

- Która godzina?

- Dochodzi ósma.

- Nie zdążę - zerwałam się w popłochu.

- Zdążysz. Odprowadzę cię i pojedę po matkę.

Przed Instytutem spotkałam Bożenę, Agnieszkę i ciebie. Zaglądałyście do zeszytów, powtarzając w ostatniej chwili jakieś formułki. Z okrzykiem radości rzuciłam się w waszą stronę. Marek odszedł bez słowa.

- Aleś ty schudła - powiedziała Agnieszka.

W jej głosie wyczułam źle skrywaną radość. Ty nic nie mówiłaś, Bożena popatrzyła na mnie szklanymi oczami. Już wtedy między nią i Maszkowskim zaczynało się psuć.

Na korytarzu pochwyciłam smutne spojrzenie Krzyśka. Ukłonił się sztywno i znieruchomiałymi oczami wpatrywał się w drzwi. Niepokoiliam się o niego, czy zda, czy jest w formie. Wiesz przecież, że przy pomocy chemii przeniósł się ze świata urojeń w naszą codzienność, w świat Agnieszki, Bożeny i asystenta Pawlickiego.

- Panie magistrze! - otoczyły Pawlickiego dziewczyny. -  
Panie magistrze!

Magister odnalazł mnie w tłumie.

- Twoja kolej - powiedział. Dziewczyny zacisnęły kciuki, Krzysiek pomachał mi ręką. Magister Pawlicki przekazywał szeptem jakieś wskazówki. Ale ich nie słyszałam. Patrzyłam w okno, za którym płonęły drzewa, i mrużyłam oczy. Słońce pionową ścianą oddzielało mnie od członków komisji siedzących za długim stołem. Uśmiechali się do mnie. Profesor Maszkowska wertowała moją pracę, przepisana na maszynie w trzech egzemplarzach i oprawioną w płótno.

„No cóż! Pracę pani oceniamy bardzo wysoko. Poprawna metodologicznie, zgromadziła pani ciekawy materiał, wnioski dosyć nietypowe, warte zastanowienia. Zgromadzi pani większy materiał i będzie doktorat". Pochwały, komplementy. „Jaki temat?" - zapytywał ktoś szeptem. „Losy życiowe nieletnich przestępców" - wyjaśnił asystent. „Czy pani ma zamiar pracować nadal nad tym tematem?" „Tak, chyba tak, jeżeli nie będzie to kolidowało z pracami Ośrodka". Padło pytanie z zakresu patologii spostrzegania. Ledwie zaczęłam mówić o przyczynach powodujących zaburzenia, usłyszałam: „Dziękuję, wystarczy. Czy są pytania?" - profesor Maszkowska zwróciła się z uśmiechem do członków komisji. Pytań nie było.

Zdałam! Agnieszka z Bożeną obsypywały mnie pocałunkami, Krzysiek uśmiechnął się blado.

- Tobie to dobrze - westchnęła Agnieszka. - Już po wszystkim.

Znowu poproszono mnie do pokoju z długim stołem. Panowie z komisji ściskali mi dłoń. Za pięcioletnie trudy uzyskałam stopień magistra. Powiększyłam wielotysięczną grupę osób z wyższym wykształceniem, w przyszłym roku fakt ten zostanie odnotowany w „Roczniku statystycznym”. Za chwilę Agnieszka i Bożena miały dostąpić tej łaski, za nimi Krzysiek i ty.

Wyszłam, chociaż byłam ciekawa, jak pójdzie tobie, a zwłaszcza Krzyškowi.

Na dziedzińcu nikt na mnie nie czekał. Minęło pięć lat, a ja znalazłam się znowu w tym samym punkcie. Przez chwilę miałam nawet wrażenie, że nic się nie zmieniło, tak samo jak kiedyś z trudem dotarłam do „Bristolu”, usiadłam w ogródku i poprosiłam o kawę, od Wisły dął chłodny wiatr, sznury wycieczek ciągnęły przez miasto: kolonie letnie, wczasy w mieście, autokary „Orbisu”, grupki młodzieży „na luzie” z dobytkiem na plecach. A jednak pięcioletni bilans wypadł dodatnio, zdałam na piątkę, otrzymałam nagrodę rektorską, tysiąc złotych, może więcej. Matka przyjmie tę wiadomość z należytą powagą i powie: „Tysiąc złotych piechotą nie chodzi”. Nieraz powtarza obiegowe powiedzonka, które w jej ustach brzmią jak złośliwość. Sprawia to prawdopodobnie jej szorstki ton i dystans do wszystkiego, co mówi. Matka jest wyregulowana i wyważona, ma wmontowany jakiś stymulator, który kieruje jej zachowaniem, pozwala utrzymać powściągliwość i chłód.

Wróciłam do domu z bukietem groszków, chciałam przynajmniej w ten sposób uczcić ten dzień.

Marek w kuchennym fartuchu otworzył mi drzwi.

- Zdałaś?

- No pewnie.

- Gratuluję.
- Jest mama?
- Nie ma. Załatwia interesy.
- Co robisz w tym stroju?
- Obiad. Zaprosiłem ją do nas na czternastą.
- Po co?
- Powinna zobaczyć, jak mieszkamy.
- I tak wszystko skrytykuje. Mówiłeś, że mam egzamin?
- Nie potrzebowałem mówić, wiedziała.
- Może dlatego przyjechała?

Wzruszył ramionami, nie chciał kłamać, zresztą nie musiał, później już, gdy się o to starał, też nie potrafił.

Zrobiło mi się przykro. Mój egzamin w gruncie rzeczy nikogo nie obchodził. Nikt by się nie zmartwił, gdybym go oblała. Matka miała swoje interesy, spotkania, kupno, sprzedaż, łapówki, dla Marka w tej chwili ważniejsza była ona, jej przyjazd i sprawy, dla niej szykował obiad, porozwieszał obrazy, abstrakcje i portrety, i nawet nie przyszło mu na myśl, żeby te dwie okazje jakoś połączyć. Kupił mi kwiaty, owszem, siedem tulipanów, nie wysilił się zbytnio, ale dobre i to.

Matka zjawiała się punktualnie o czternastej, tak jak była umówiona. Robiła wrażenie świeżej i wypoczętej. Pachniała tymi cierpkimi perfumami.

- Pokażę wam mieszkanie i wracam do domu.
- Dziś? - zapytał Marek.
- Tak. Dziś.
- Nigdzie nie pojedziesz - zaprotestował gwałtownie. -  
Jutro niedziela, należy ci się odpoczynek.

Matka uśmiechnęła się krzywo, lecz nic nie powiedziała. Chodziła po pracowni i przyglądała się obrazom.



- Zupełnie niezłe - powiedziała o abstrakcjach. Na moje portrety patrzyła z okropnym grymasem, które nie chciała czy też nie potrafiła ukryć, i o nich nie wyraziła żadnej opinii.

Wysilek Marka włożony w przygotowanie obiadu nie został przez nią zauważony, a obiad był rzeczywiście wspaniały, chłodnik z jajami, kotlety nadziewane serem sałata zielona z pomidorami, oliwki... Matka jadła bez apetytu, wina nie tknęła, poprosiła o wódkę, która ku mojemu zdumieniu znalazła się w lodówce. Po dwóch kieliszkach ożywiła się nieco, zaczęła wypytywać Marka o ceny obrazów. Marek sięgnął po cennik.

- O Boże! Znowu pieniądze - zachnęłam się.

Matka skarciła mnie wzrokiem, nie zapytała nawet o wynik egzaminu. Marek też o nim nie wspomniał, uległ matczynym czarom, gadał z nią o głupich, przyziemnych sprawach, nie przejmując się mną zupełnie. Sięgnęłam po butelkę, nalałam sobie wina i pijąc czułam, jak we mnie narasta gniew za tę nieodwzajemnioną miłość.

- Za dużo pijesz - zabrała mi kieliszek i przesunęła na drugi koniec stołu.

- Joanna została dziś panią magister - zakomunikował wreszcie Marek. - Może więc pić, ile chce.

- Ma słabą głowę i nie powinna pić - zaproponowała nieco łagodniej.

- Co ty wiesz o mojej głowie?! - wykrzyknęłam, zapominając o doznanej przed chwilą przykrości.

- Wiem sporo.

- Skąd?

- Jesteś moją córką.

- A mnie się zdaje, że pasierbicą.

- Nie moja wina, że miewasz urojenia. Wybrałyście zły czas na kłótnię - włączył się Marek. - Proponuję wypić

zdrowie Joanny - nalał matce wódki, a mnie podał kieliszek z winem.

Po toaście zapanowała nieprzyjemna cisza. Matka z udanym spokojem paliła papierosa przyglądając się obrazom. Upiłam łyk wina i odstawiłam kieliszek.

Niechęć do matki, nie wypowiedziane żale gromadzone od lat wzbierały we mnie jak ropiejący wrzód. Nie wiedziałam, jak się go pozbyć. Wino wyzwoliło we mnie odwagę.

- Dlaczego ty mnie nienawidzisz? - spytałam wprost.

- Mówiłam, żebyś nie piła - szepnęła cicho i zasłoniła się dymem.

- Zawsze szukałaś wybiegów - podniosłam głos. Bałam się, że z takim trudem zdobyta odwaga opuści mnie i nigdy już nie zdobędę się na dokończenie tej rozmowy. - Ale kiedyś trzeba powiedzieć prawdę.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Nigdy nie miałaś. Dlaczego?

- Nie wiem - dmuchnęła dymem i rozłożyła ręce. Czułam, że tracę grunt pod nogami, niczego się nie dowiedziałam, rozmowa była skończona. Matka wstała.

- Trzeba jechać - poprawiła spódnicę. - Powinniście obejrzeć mieszkanie za dnia.

- Napijemy się kawy - zdecydował Marek i poszedł po filiżanki.

Matka otoczyła się dymem, jej twarz odpływała i wyłaniała się jak z odmętów.

- Za dużo palisz - uśmiechnęłam się do niej. W jej oczach zamigotały szydercze błyski.

- Chwyć poniżej pasa - w najwyższym skupieniu strzepywała popiół do popielniczki.

- Masz rację, zawsze masz rację - potwierdziłam.

- Nie jest to takie przyjemne, jak sądzisz. Czasem wolałabym się mylić.

- I o to masz żal do mnie?

- Daj spokój! Nie mam do ciebie żalu. Dziwi mnie tylko twój sposób rozumowania. Wyciągasz fałszywe wnioski.

- Masz rację.

Marek przyniósł kawę w ręcznie malowanych filiżankach, które dostał w prezencie od koleżanki plastyczki.

- Bardzo ładna robota - pochwaliła matka. - Ty byś coś takiego potrafił?

- Nie - roześmiał się Marek. - Malowanie na porcelanie wymaga ogromnej cierpliwości, a tej mi brakuje.

- A co z moją propozycją? - spytała. - Myślałeś o niej?

- Myślałem. I to bardzo konkretnie - wyjął z szuflady kartony z rysunkami spódnic, kamizelek i sukienek z teksasu.

- To jest właśnie to, czego mi potrzeba - ucieszyła się matka. - Kupuję. Ile chcesz?

- Robiłem dla ciebie, nie dla pieniędzy. Zresztą są to skopiowane wzory z komisów, a nie moje pomysły.

- Właśnie o to chodzi, żeby kopiować. Przy okazji zwróć uwagę na suknie wizytowe i ślubne. Mam na nie sporo zamówień. Te wzory biorę za darmo, ale za następne płacę. Nie ma mowy o żadnej działalności charytatywnej. Zgoda?

- No cóż... - zawahał się Marek.

Uścisnęli sobie ręce jak ludzie interesu. Patrzyłam na nich z rosnącym zdumieniem. Tym razem nie chodziło mi o matkę, ona była na miejscu, grała tę samą rolę od lat, zdumiewał mnie Marek, który znajdował nagle czas na wyszukiwanie fasonów sukien. Sięgnęłam po wino, szybko jednak czując na sobie wzrok matki odstawiłam kieliszek i odwróciłam głowę. Patrzyła na mnie z szyderczym uśmiechem.

Idziemy! - odsunęłam krzesło.

Marek skinął głową. Matka zapaliła papierosa i ruszyła ku drzwiom.

Ze Stawek na Stegny jechaliśmy nie więcej niż piętnaście minut. Prowadził Marek. Matka siedziała obok niego i wskazywała drogę.

Przed drzwiami mieszkania nr 49 uśmiechnęła się jak dobra wróżka, Marek mocował się z zamkiem, a ja przechylona przez poręcz patrzyłam w ciemną czelusć klatki schodowej i myślałam, że skok z tej wysokości byłby jakimś rozwiązaniem w wypadku, gdyby...

Znasz to mieszkanie. Standardowe dwa pokoje, wykładzina, tapety, widna kuchnia, balkon, X piętro, teraz jest puste i zaniedbane, ale gdy tam przyszliśmy po raz pierwszy, robiło wrażenie, superkomfort i luksus. Markowi zabrakło słów, oryginalny salonik, jego marzenie, stolik, kanapa, dwa fotele, krzesła, szafka z medalionem, kolorowy telewizor schowany w tej szafce, żeby nie psuł harmonii, kinkiety, lustro w złożonych ramach, wszystko w dobrym stanie, posklejane i wyczyszczone. Sypialnia bez baldachimu, na wpół stylowa, ten futrzak i tapczan też były, zostawiłam je, na czymś trzeba spać. Co jeszcze? Aha, komoda i toaletka, skóry na podłodze... zostały u Marka...

A jednak nie mogłam ukryć niezadowolenia.

- Wszystko to jest bardzo piękne, mamó, za piękne jak dla mnie - powiedziałam. - Po co było wydawać tyle forsy?

- Miałam, to wydałam - odburknęła niezbyt uprzejmie. - No, a co ty sądzisz o tych meblach? - zwróciła się do Marka. - Podobają ci się?

- Bardzo dobre simmlery. To właściwie jedyne ze starych mebli, które jako tako siedzą w nowoczesnych wnętrzach. Masz dobry gust. Ciekawe, ile za nie dałaś?

- Kupiłam je piętnaście lat temu, dosłownie za grosze.

- Jesteś przewidująca i sprytna.

- W moim fachu to konieczne.

Jeszcze nie widziałam Marka tak podnieconego, biegał po mieszkaniu, dotykał mebli, prawie je głaskał, otwierał szuflady, zaglądał do sekretery, siadał w fotelach.

Matka zaprowadziła mnie do kuchni, tam również nie brakowało niczego, szafki, lodówka, stolik, trzy krzesła.

- Możecie tu zamieszkać - oznajmiła. - Jest wszystko, co potrzeba, pościel, garnki, radio, telefon.

- Nie wiem, jak ci dziękować - bąkałam ze wzrokiem wbitym w ziemię. Głos mi drżał, miałam uczucie, że dławi mnie fałsz i słowa puchną w ustach.

- Co tam podziękowania! Chciałabym widzieć radość w twoich oczach - uśmiechnęła się kwaśno.

Wyczuła jednak fałsz w moim głosie.

- Jestem zmęczona. Uczyłam się dużo, nie spałam - powiedziałam cicho.

- Wiem - objęła mnie.

A ja zeszywniałam od razu. Matka cofnęła rękę, wyszła z kuchni i usiadła w fotelu.

- Obejrzyjcie sobie widok z balkonu i możecie się zbierać. ;

- A ty?

- Ja tu zostanę.

- Nie pójdziesz z nami na kolację? Myślałem, że wpadniemy do SPATiF - u.

- Nie. Mam do załatwienia kilka telefonów. Może się nawet z kimś spotkam.

- Przecież chciałaś wyjechać?

Ale nie wyjechałam. No, idźcie już, idźcie, zadzwonię do was jutro po dziesiątej - cmoknęła mnie w policzek, posłała Markowi zdawkowy uśmiech i zatrzasnęła za nami drzwi.

W windzie zaczęłam wpatrywać się w lustro, miałam jakąś obsesję śledzenia swej twarzy, szukałam zmian w wyrazie oczu, w skrzywieniu warg i układzie brwi, a nawet w

kolorze skóry. Odwróciłam się rozczarowana, nic nie znalazłam, a przecież po każdej rozmowie z matką czułam się starsza o kilka lat.

- Przypominam szczura wpędzonego do klatki - powiedziałam do Marka.

- Chodzi ci o mieszkanie? Całkiem przyzwoite wnętrze, dobrze rozplanowane, wysoki standard, szafy w ścianach, glazura w pięknym kolorze.

- W jakim?

- Nie byłaś w łazience?

- Nie.

- Nie podobają ci się meble?

- Okropne.

- Dlaczego?

- Nie wiem, ale są okropne.

- Mówisz jak rozkapryszone dziecko.

- Tak to wygląda, ale nie jestem rozkapryszonym dzieckiem. Nigdy nie byłam. To ona mnie tak traktuje, obsypuje prezentami jak jakąś księżniczkę.

- Co w tym dziwnego? Jesteś jej córką.

- E tam! Wszystko to w zamian... Doprowadzi do tego, że ją znenawidzę...

- Jesteś przewrażliwiona. Jako postronny obserwator nie mam jej nic do zarzucenia. Traktuje cię chwilami surowo, ale to jest jej sposób bycia.

- Ciebie traktuje inaczej...

W samochodzie byłam bliska hysterii.

- Przyjrzyj mi się uważnie! - krzyczałam. - Popatrz na mnie jak na nieznaną dziewczynę.

- To niemożliwe.

- Zdobądź się jednak na obiektywizm i powiedz, co we mnie jest odrażającego?

- Nic nie ma. Jesteś bardzo ładną dziewczyną.

- Ale w stanach napięcia i złości robię się podobna do szczura?

- Co ty wygadujesz - zahamował gwałtownie. - I skąd takie porównania? Kiedy się złościsz, przypominasz skrzywdzone dziecko.

- To dlaczego ona patrzy na mnie z obrzydzeniem?

- Jeżeli jest tak, jak mówisz, to przyczyn należy szukać gdzie indziej.

- Nienawiść do ojca przeniesiona na mnie?

- Bardzo możliwe, chociaż wytarte i oklepane.

- Ty mnie kochasz, prawda? - patrzyłam na niego błagalnie.

Objął mnie i pocałował, a ja się rozpłakałam.

- Co się stało, dlaczego płaczesz?

- Nie wiem - płakałam dalej. - Boję się jutrzejszego dnia. Nie chcę jej widzieć. Boję się, że dojdzie do jakiejś sceny...

- Dość tego mazgajstwa - odsunął się ode mnie. - Wracamy do domu. Chciałem zrobić jeszcze kilka szkiców i położyć się wcześniej spać.

- Nie pójdziemy do SPATiF - u? - otarłam łzy i przytuliłam się do niego.

- Mam robotę.

- Ale z nią chciałeś iść?

- Nie bądź śmieszna. Ona jest naszym gościem i należało ją odpowiednio przyjąć.

- Zaprosiłeś ją na obiad. Wystarczy.

- Nie wiem, doprawdy, o co ci chodzi? Czyżbyś była zazdrosna?

- Zazdrosna? - przeraziło mnie to słowo. Bałam się go wymówić, a on tak zwyczajnie i od niechcienia wypowiedział je teraz.

- Tak, jestem zazdrosna - przyznałam.

Gdy to powiedziałam, poczułam odprężenie, jak po zażyciu tabletki uspokajającej. Wchodząc do pracowni śpiewałam, bo właśnie tam, wśród blejtramów i obrazów, byłam bezpieczna. Z czułością dotykałam tubek z farbami i pędzli, one odgradzały go od świata, od innych kobiet, od kolegów i alkoholu. Marek popatrywał na mnie z niepokojem. Zapytał, czy dobrze się czuję, kazał mi zmierzyć temperaturę, a ja nastawiłam radio i zaczęłam tańczyć, tańcząc mówiłam:

- Nie przeprowadzimy się nigdy do tamtego mieszkania. Wynajmiemy je i sprzedamy te cholerne antyki.

- Tak, tak - kiwał głową.

Pochylony nad kartką papieru nie słyszał, co do niego mówiłam.

- Słuchaj - odezwał się po chwili nie przerywając rysowania. - Może będzie lepiej, jak jutro zostaniesz w domu? Zadzwońisz do niej i powiesz, że się źle czujesz. W końcu masz prawo być zmęczona. Ja ją zabiorę na koncert do Łazienek i na obiad, potem odwiozę na dworzec.

Nie mogłam się zgodzić, to była moja matka. Postanowiłam spędzić z nią ten jeden dzień. W końcu byłam jej winna dużo więcej.

Mimo moich obaw dzień minął bez większych spięć, rzecz można, szczęśliwie. Podczas obiadu matka bawiła nas anegdotami z życia lubelskich prywaciarzy, niektóre były rzeczywiście zabawne, sama przy tym dużo się śmiała. Zdawało mi się, że kokietuje Marka i że on się do niej zaleca. Może byłam przewrażliwiona, chociaż nie, nie sędzę, bo kiedy wróciłam z toalety, oboje umilkli raptownie i spojrzeli na mnie jak na intruza.

- Zdaje się, że wam przeszkadzam - powiedziałam ze złością.

Marek zaczął mnie zapewniać, że nie, no skąd taki pomysł i w ogóle. Matka pokiwała głową. I to było właściwie jedyne



spięcie wywołane przeze mnie, ona zachowywała się chłodno, z dystansem, niczym angielska lady. Na dworcu ja kupowałam bilet, a oni stojąc obok gadali ściszymi głosami, nic nie słyszałam. Pomogliśmy jej wnieść bagaże do przedziału, walizkę i torbę, niezbyt ciężkie. Chcąc uniknąć kolejnego spięcia przy pożegnaniu, wycofałam się na korytarz. Marek umieścił walizkę na półce, nachylił się i szepnął coś matce do ucha, ona kiwnęła głową, odwróciła się, napotkała mój wzrok i nerwowo sięgnęła po papierosa. To był jeden jedyny raz, kiedy zobaczyłam zmieszanie na jej twarzy. Wyszłam szybko na peron, Marek dołączył do mnie. Czekaliśmy chwilę, aż matka pojawi się w oknie, ale jej nie spieszyło się wcale, najpierw długo szukała czegoś w torbie, znalazła jakąś kartkę, schowała do kieszeni, przypudrowała nos i dopiero wtedy pokazała w oknie kamienną twarz bez uśmiechu. Uniosłam rękę, pociąg ruszył, Marek krzyknął coś do niej, ale słowa ugrzęzły w łoskocie kół, twarz matki zniknęła za firanką. Marek posmutniał wyraźnie i starał się ukryć przede mną ten smutek, ale nie umiał grać, nawet gdy się o to starał, widać było, że gra. Zaproponowałam kino dla odprężenia. Zgodził się z miejsca, choć do tej pory bronił się przed takim „marnowaniem czasu” dosyć skutecznie. Postanowiłam kuć żelazo, póki gorące.

- Jesteś przemęczony - powiedziałam. - Musisz odpocząć. Najlepiej będzie, jak jeszcze jutro wyjedziemy stąd. Jutro albo pojutrze z samego rana. Masz książeczkę walutową?

Skinął głową.

- Wymienimy pieniądze. Pojedziemy do Sozopola. Mam namiot u Bożeny, materac nadmuchiwany, śpiwór, resztę kupimy. Sozopol leży nad piękną zatoką, na wzgórzu...

- Dziękuję. Sprowadziłaś mnie na ziemię.

- To chyba niedobrze. Ziemia nie jest najlepszym miejscem dla ludzi.

- Prawdopodobnie nie, ale nikt nie zna lepszego.
- Nie odpowiedziałeś na pytanie: jedziemy do Sozopola?
- Tak, ale przedtem do kina i na lody.

Na Starówce wycieczkowicze skrzykiwali się do odjazdu. W kinie „Wars” udało nam się kupić bilety bez kolejki i poszliśmy na lody. Film nie należał do arcydzieł, ale mnie się podobał. Na ekranie było dużo słońca, białych domów, plaże z kolorowym tłumem, piękne kobiety, samochody, wszystko ładne, na miarę przeciętnych marzeń i wyobrażeń. Po filmie poszliśmy nad Wisłę i długo siedzieliśmy nad wodą. Cieszyłam się na samą myśl o wyjeździe z Warszawy.

Ale do wyjazdu nie doszło. Tym razem też nie. W poniedziałek z samego rana Marek stanął przed sztalugami i nie chciał słyszeć o żadnej podróży.

- Tu mi dobrze - mówił. - Nie czuję zmęczenia. Wypałem się i chcę pracować, muszę pracować. Nigdzie nie pojedę.

A jednak pojechał, nagle, bez uprzedzenia, chociaż nie, powiedział mi o tym w przeddzień. Wyjechał do Krakowa na zebranie sekcji w piątek o świcie. Nie chciał, żebym go odwiozła na dworzec. „Za wcześnie - mówił - powinnaś się wyspać. Marnie wyglądasz”.

- Ty też.

- Odeśpię swoje w pociągu, wrócę wieczorem, o ile to będzie możliwe, albo następnego dnia rano, raczej następnego dnia.

Gdy to mówił, wiedziałam, że kłamie. Nie śmiej się, to intuicja albo po prostu zdolność kojarzenia faktów. Od razu stanęła mi przed oczami matka, jej zmieszanie w przedziale, szepty, porozumiewawcze spojrzenia, miny konspiratorów. Wszystko jak na dłoni, niezbyt skomplikowana mozaika o jednoznacznej wymowie.

O czwartej po południu zadzwoniłam do pracowni. Godzina szczytu, największy ruch w sklepie, a jej nie było. Telefon odebrała Mirka. „Pani Maria wyszła. Nie chyba nie wróci. Nie powiedziała wyraźnie, ale ja myślę, że nie”. „Jest w domu?” Roześmiała się. O tej godzinie? Nie, skąd? Miała jakąś pilną sprawę na mieście. Spieszyła się bardzo. Gdyby była w domu, kazałaby mi dzwonić”.

No i co powiesz? Była w domu. Odebrała telefon.

„Co się stało, że dzwonisz?” - spytała. „Nic. Marek wyjechał i jest mi trochę smutno”. „To idź do kina albo do koleżanek”. „Przyszło mi do głowy, żeby wpaść na kilka godzin do ciebie”. „Jestem bardzo zajęta. W tej chwili jest u mnie mecenas Bobrzycki, mamy do omówienia ważne sprawy. Jutro wyjeżdżam do Chełma. Potrzebujesz forsy?” „Nie”. „No to do widzenia”. Odłożyła słuchawkę. A kiedy zadzwoniłam po raz drugi, nie odebrała telefonu.

Marek wrócił tego samego dnia gdzieś koło północy. Sprawdziłam pociągi: pośpieszny z Lublina przychodził o 22,40, ekspres z Krakowa o 23,16. Trudno ustalić, którym przyjechał. Nie wyszłam na dworzec, ponieważ myślałam, że przyjedzie zgodnie z zapowiedzią następnego dnia. Później żałowałam, kusiło mnie, żeby sprawdzić, chciałam wiedzieć, a jednocześnie wolałam się łudzić.

Kiedy zjawił się z kwiatami prawie o północy, za - ' pomniałam o podejrzeniach.

Potem już nie wyjeżdżał, ale zmienił tryb życia, zniknął z domu na kilka godzin, mówił, że idzie się przejść albo że jest umówiony z Karolem. Raz czy dwa wrócił nad ranem, znów wymienił Karola, popili z kolegami, takie męskie spotkanie, dlatego mnie nie zabrał. Przyjęłam to tłumaczenie i chciałam mu wierzyć za wszelką cenę, niestety nie wierzyłam.

Żyłam w miarę spokojnie, w zupełnym odosobnieniu, jak na bezludnej wyspie.

Pierwszego sierpnia wstałam dość wcześnie i zaczęłam się ubierać, Marek jak zwykle parzył kawę. Zdziwił się widząc mnie przed lustrem, jak malowałam oczy.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Do pracy.

Odstawił kubek z kawą i patrzył na mnie z bezgranicznym zdumieniem.

- Przecież uzgodniliśmy - zaczął z wymówką.

- Tak, tak - nie pozwoliłam mu skończyć. Później żałowałam, ale to inna sprawa. - Pójdę powiedzieć Witkowi, że rezygnuję - powiedziałam.

Chwycił mnie za ramiona i pociągnął ku sobie, kubek się przechylił, kawa pociekła na podłogę.

- Więc jednak...

Znów były zapewnienia, obietnice, przysięgi, błaganie o wyrozumiałość, klęczał przede mną, całował po rękach. Zaczęło mnie to krępować, więc także uklękałam...

Odwiózł mnie do Ośrodka i czekał, aż rozmówię się z Witkiem.

Niedługo to trwało. Witek wysłuchał mnie z uwagą, nie przerywając, a kiedy skończyłam, uśmiechnął się smutno jedną stroną twarzy i unikając mego wzroku powiedział:

- Bardzo żałuję, ale nie mam prawa namawiać cię do zmiany decyzji. Kto wie, czy właśnie nie postępujesz słusznie.

Zadzwoił telefon. Podałam mu rękę.

- Będziemy w kontakcie - rzucił za mną, gdy naciskałam klamkę.

Sekretarka popijając kawę uśmiechała się do mnie.

- Koledzy czekają na panią, drugie drzwi na lewo.

- Nie mam czasu, bardzo się śpieszę - umknęłam z pokoju i zbiegłam na dół.

Bałam się z nimi spotkać, sądziłam, że wykpią mnie i wyśmieją. Bożena z pogardliwo - kwaśną miną nawymyśla mi

od zakochanych idiotek, Jacek niczego nie powie wprost, ale kręcąc i klucząc po manowcach książkowej wiedzy wykaże mi, że straciłam osobowość. I miałby rację, gdyby mi to powiedział, ale nie dałam mu tej szansy.

W domu pokazałam książeczkę oszczędnościową, z której podjęłam ostatnie pieniądze.

- Z czego będziemy żyli? - spytałam.

- Napiszesz do matki.

- Nie. Nic od niej nie chcę.

- W takim razie zadzwonię do Karola. Może znajdzie dla mnie jakąś chałturę.

Nie zadzwonił, a ja nie nalegałam. Ponieważ pracował, nie pozostawało mi nic innego jak wziąć ciężar utrzymania domu na siebie. Zaczęłam od tego, że wynajęłam mieszkanie parze francuskich naukowców i wzięłam za dwa miesiące z góry. W kilka dni potem Marek sprzedał obraz, jedną ze swoich pierwszych abstrakcji, której nie lubiłam. Kupiło ją jakieś prowincjonalne muzeum, chcąc prawdopodobnie uchodzić za nowoczesne.

Marek był w siódmym niebie, kupił mi róże, zaprosił na kolację pod „Kamienne Schodki”, ale moja radość nie trwała długo, przy zastawionym stole nawiedzały mnie jakieś koszmary, wizje nędzy i niedostatku, których nie zaznałam, nie widziałam żadnej przyszłości przed nim, przed sobą, lekkomyślnie straciłam etat w Ośrodku, a o pracę w Warszawie nie było łatwo. Na razie postanowiłam oszczędzać, nie wiedziałam jednak, od czego zacząć. Dawniej, kiedy nie musiałam liczyć się z każdym groszem, bez tylu rzeczy potrafiłam się obejść, teraz było to niemożliwe. Wydawałam ogromnie dużo na jedzenie, na kawę i na owoce, czasem na wino. Marek pracował i musiał się dobrze odżywiać. Wtedy, w kawiarni, rysował na serwetce dziewczynę pogrążoną w rozmowie ze starszym panem, który bawił się jej ręką. Ojciec

z córką? Zaczęłam się zastanawiać. Nie, to był inny rodzaj czułości. Przysunęłam się z krzesłem do nich i podsłuchiwałam. Rozmawiali o podróży poślubnej. Dziewczyna chciała jechać do Paryża, a on do Włoch, żadne nie chciało ustąpić, sprzeczali się łagodnie, bez gniewu, wreszcie on zdecydował. „Najpierw do Paryża, a potem do Włoch”. Dziewczyna podziękowała mu uśmiechem odwzajemniając czuły uścisk dłoni. Marek wstał. Poszeptał chwilę z kelnerką i wrócił z kawałkiem papieru. Kaczka, której prawie nie tknął, już dawno ostygła, ale jego to nie interesowało. Pił wino i rysował.

Dziewczyna zajęta planami podróży nie wiedziała, że jest obserwowana, dopiero gdy Marek do niej podszedł, wyrwała rękę z dłoni mężczyzny i spojrzała na Marka zaskoczona.

- Co to? - zauważyła kawałek papieru. - Mój portret?

Starszy pan wyciągnął szyję, oczy nabiegły mu krwią.

- Wypraszam sobie - wysapał. Marek dał mi znak, żebym podeszła.

- Państwo pozwolą, moja żona - wypchnął mnie przed groźne oblicze starszego mężczyzny.

Dziewczyna podała mi rękę, drobną, bez wagi, jak liść. Mężczyzna wydusił z siebie coś na kształt uśmiechu.

- Chwedczuk jestem, bardzo mi miło - suchymi wargami dotknął mej ręki.

Dziewczyna wpatrywała się w swój portret.

- To jestem ja? Naprawdę? Misiuniu! Spójrz! - jej wąska ręka spoczęła na ramieniu Chwedczuka. - Taka jestem ładna - przechyliła głowę do przodu. - Dlaczego nigdy nie mówisz, że jestem ładna?

- Mówiłem ci nieraz. Nie bądź dziecinna.

Chwedczuk skulił się z lekka speszony. Dziewczyna ocierała się twarzą o jego ramię. Miała w sobie coś z kota,

żółte niespokojne oczy i miękkie drapieżne ruchy. Jej głos przypominał miauczenie.

Marek położył papier na stół i zaczął wycofywać się do drzwi.

- Do widzenia! - uśmiechnął się do dziewczyny.

- Niech pan zaczeka - Chwedczuk zerwał się z krzesła. - Może namaluje pan portret Elżbiety, duży, olejny? - wciskał Markowi wizytówkę. - Niech pan do nas zadzwoni. Ubijemy interes.

Dziewczyna uczepiona jego ramienia potakiwała głową z zachwytem.

- To niemożliwe - wtrąciłam. - Mąż przygotowuje wystawę. Jest bardzo zajęty.

- No, nie tak bardzo - zaprzeczył. - Zostały mi jakieś retusze, uzupełnienia - popatrzył na dziewczynę, ona na niego.

- To może po wystawie? - spytała mrużąc kocie oczy.

- Zadzwonię - pośpieszył z odpowiedzią Marek. Dziewczyna podziękowała mu uśmiechem.

- Zadzwonię na pewno - już w drzwiach pomachał jej ręką.

W drodze do domu nie odzywał się do mnie, palił papierosy jednego za drugim, ja liczyłam płyty chodnika, latarnie, rzadkich przechodniów i milicjantów odmierzających krokami swój własny czas. To uspokajało, pozwalało zapomnieć o nurtującym mnie niepokojem. Nie trwało jednak długo. W domu znowu był tylko on, jego nie dokończony obraz, milczenie, którego nie mogłam przełamać. Chodząc po pracowni mówiłam po raz nie wiem który o swej miłości, jakbym recytowała wyuczoną lekcję: „kocham cię, kocham” i tak bez końca, potem o tej dziewczynie z kocimi oczami.

- Czy ona go kocha? - zwróciłam się z pytaniem do Marka, a ponieważ milczał, sama sobie odpowiedziałam. - Nie, chyba nie. Kochać takiego faceta? A swoją drogą -

zmieniłam nagle temat, - Skoro ten Chwedczuk wyglądający na gbura docenił twoją rękę, to cóż dopiero inni. Szkoda, że się od razu nie umówiłeś. Przydałoby się kilka złotych. Zresztą nic straconego. Można zadzwonić.

- Czy ty oszalałaś? - wykrzyknął z najświętszym oburzeniem. - Mam malować kurwę, która sprzedaje się facetowi za jego pozycję i pieniądze? Oczywiście, on chętnie zapłaci za portret tej dziwki.

- Rysowałaś ją jednak - zauważyłam.

- Jej profil wydał mi się ciekawy, dopóki nie otworzyła ust. Skrzeczy jak żaba.

- Ale ma ładną twarz, nieduży foremny nos i żółte oczy.

- Najpierw ustalmy - przerwał szorstko. - Chodzi ci o nos czy o pieniądze?

- O jedno i o drugie. Skoro już zdecydowałeś się zostać portrecistą, potrzebne ci modele.

- Jak ty nic nie rozumiesz! - oburzał się nadal. - Jestem twoim portrecistą, twoim... O Boże! - chwycił się za głowę. - To niemożliwe, żebyś nie rozumiała! Czy ty naprawdę sądzisz, że mógłbym malować inne kobiety? Nie, to niemożliwe - mówił raczej do siebie. - Rozumiesz, prawda? - ścisnął mnie za ramię.

- Tak - potwierdziłam bezwiednie. Uspokoił się po chwili.

- Kocham cię - gładził moją rękę. - Nie wiesz nawet, jak wiele dla mnie znaczysz i czym było moje życie bez ciebie, ciszą, wiesz, a twoje?

- Czekałem na ciebie.

Wzięłam go za rękę i podprowadziłam do okna. Ostatnie autobusy zjeżdżały do zajezdni. W świetle nielicznych latarni widać było drzewa, które traciły liście w środku lata.

- Słuchaj! - przytuliłam się do niego. - Teraz kiedy mamy trochę pieniędzy, moglibyśmy wyjechać na wieś.



- Teraz? W sezonie? Wszędzie tłumy. Pojedziemy we wrześniu do Kamionki. Pokażę ci prawdziwą polską wieś.

A jednak malował tę dziewczynę i krył się z tym przede mną. Wyjeżdżał w plener, mówił, że z Karolem (ciągle ten Karol), mnie nie zabierał, ja się nie napraszałam. Oczywiście brał samochód, sztalugi, jedzenie na cały dzień, kanapki albo kurczaka - wszystko, co mu przyszykowałam, papier, serwetki. Raz upiekłam ciasto ze śliwkami według przepisu z „Przekroju”. Podobno udało mi się nad podziw, tak mi powiedział, bo ja go nawet nie spróbowałam, zabrał całą tortownicę, nie przywiózł z powrotem nawet kawałeczka. Powiedział: Karol zajadał się tym ciastem, bardzo mu smakowało.

Wszystko byłoby dobrze, Karol, nie Karol, czasem przecież w niego wierzyłam, cóż, kiedy Marek nie potrafił nic ukryć przede mną, chociaż bardzo się starał. Nie zapominaj, że był roztargniony, bardziej niż Jacek i Krzysiek, chociaż mogłoby się wydawać, że oni biją wszystkie rekordy.

Kiedyś korzystając z tego, że Marek pracował w do - mu, wzięłam samochód i pojechałam do Supersamu. Chyba nie dotarło do niego, że wychodzę i biorę samochód, powiedziałam mu to, a on swoim zwyczajem pokiwał głową machinalnie, jak automat. Coraz częściej to się zdarzało. „Wychodzę” - mówiłam. - „Tak, tak”. „Wróciłam”. „Cudownie”.

Zrobiłam zakupy, dwie ogromne siatki i torbę, otworzyłam bagażnik. Do dzisiaj nie wiem, po co. Mogłam przecież postawić siatki i torbę na tylnym siedzeniu, nieraz to robiłam, ale wówczas nic bym nie wiedziała o tym portrecie, a tak od razu natknęłam się na niego. Malował go w innej konwencji niż moje, niewielki format, twarz, włosy krzyczące barwami, żeby nie powiedzieć pstrokate. Znalazłam też szkice tej dziewczyny na zwykłym kartonie z bloku nr 1, siedziała na

trawie pod drzewem, uśmiechała się na tych szkicach mrużąc kocie oczy. Oczywiście, rysował ją w ubraniu, spodnie, jakaś luźna koszula. Nic nie wskazywało na to, że doszło między nimi do zbliżenia, ale ponieważ ukrywał to pozowanie przede mną, przypuszczam, że tak.

Z Supersamu wróciłam prosto do domu.

- Malowałeś ją jednak! - krzyknęłam od progu.
- Kogo? - zapytał ze szczerym zdumieniem.
- Tę dziewczynę o kocich oczach.
- Którą?
- No, tę od Chwedczuka.
- Ach tę! Tak. Malowaliśmy ją razem z Karolem. Jurek też próbował. Nie mówiłem ci o tym?
- Mówiłeś, że nie będziesz jej malował.
- Nie chciałem, ale jej bardzo zależało na tym portrecie.
- Tak bardzo, że do tej pory trzymasz go w bagażniku?
- Nie skończyłem jeszcze.
- Kiedy skończysz?
- Nie wiem. Ona wyjechała.
- Masz pecha.

Śmiałam się schodząc na dół. Szczęście czy pech?

Matka wyjechała do Jugosławii na trzy tygodnie. Przesłała stamtąd kartkę z widokiem skalistej plaży i lakmusowego morza, teraz tamta do Paryża i do Włoch. Bardzo dobrze, niech wyjeżdżają jak najdalej, byłoby cudownie, gdyby w ogóle nie wracały.

Lato minęło niepostrzeżenie, ochłodziło się nagle. Temperatura w nocy spadła do pięciu stopni. Przypięłam podpinkę do kurtki, jeszcze rzadziej niż przedtem wychodziłam z domu. Wyjazd do Kamionki został odłożony na październik. Marek przygotowywał wystawę, a ja łamałam sobie głowę, skąd zdobyć forszę. Do matki nie napisałam, jakoś nie mogłam się przemóc, ona zaś, dotąd hojna ponad miarę,

nie dawała znaku życia. Pozostał więc Witek, on jeden z kolegów miał jakieś możliwości. Zadzwoiłam do niego i umówiłam się z nim w kawiarni „Nowy Świat”. Markowi powiedziałam, że idę w sprawie doktoratu. Właściwie niepotrzebnie mówiłam. I tak nie słuchał, kiwał głową i uśmiechał się do blejtramu. Kilka dni temu zdjął ze sztalug mój nie dokończony portret i wrócił do swoich abstrakcji - symboli. O tamtej dziewczynie jakby zapomniał, znów nie wychodził z domu, malował od świtu do nocy, a do mnie odnosił się niezwykle czule.

Witek wiedział już, o co chodzi. Powiedziałam przez telefon, że jednak głupio zrobiłam rezygnując z etatu. Teraz nie wiem, od czego zacząć, muszę pracować, reszty się domyślił.

- Świetnie wyglądasz - powiedział na powitanie i jak to on uśmiechnął się szybko połową twarzy.

Przywołał kelnerkę i mimo protestów z mojej strony zamówił dla mnie kawę i krem.

- Co ty właściwie robisz? - przyjrzał mi się uważnie.

- Można powiedzieć, że nic. Wstaję wcześnie, robię zakupy, gotuję...

- Potrafisz?

- Chcesz się przekonać? To przyjdź do nas na obiad, jutro albo w niedzielę.

- Wolałbym w niedzielę.

- O drugiej. Dobrze?

- Świetnie. Do tego czasu opracujesz ankiety, które ci przyniosłem, według załączonego wzoru. Tu jest umowa - zlecenie. Chcę ci zaproponować również analizę protokołów badań. Znasz ten test?

- Tak, oczywiście, dziękuję - schowałam ankiety do torby.

- Nie wiem, doprawdy, jak ci się odwdzięczę.

- Nie gadaj głupstw! - ofuknął mnie ostro. - Daję ci tę robotę, ponieważ wiem, że wykonasz ją najlepiej.

Zamyślił się i zapalił.

- Jestem cholernie zapracowany - westchnął. - Chciałem wyskoczyć w góry przynajmniej na dwa tygodnie, a zalegam z odpowiedziami na listy...

Słuchając go uśmiechałam się niepewnie, nie wiedziałam, do czego zmierza.

- Chodzi mi o odpowiedzi na listy do tygodnika „Młodość” - pośpieszył z wyjaśnieniem. - Miałem odpowiadać tylko na niektóre w formie felietonów. Nagromadziło się tego sporo. Czy mogłabyś to za mnie zrobić?

- Nie wiem, czy potrafię.

- Ale ja wiem - odparł z przekonaniem. - Jest tylko jeden problem, będziemy musieli z początku udawać, że to ja jestem autorem tych odpowiedzi... Rozumiesz? Podpisuj je pseudonimem. Na kopercie podawaj mój adres. Przepraszam, ale nie można inaczej, przynajmniej na razie. Po kilku odpowiedziach powiem redaktorowi, że to ty...

- Nie mogę się zgodzić. Nie potrafię. To nie fair.

- W takim razie ja nie wyjadę.

- Szantaż?

- Coś w tym rodzaju.

Zgodziłam się, wiedząc, że działam przeciwko sobie, wbrew swoim zasadom. Witek też miał zasady i dla mnie je łamał, bo w żadną z wersji podanych przez niego nie uwierzyłam ani przez chwilę. Wymyślał preteksty, żeby mi pomóc.

- A więc nie mam wyboru? - uśmiechnęłam się do niego.

Podsunał mi paczkę listów.

- Rzeczywiście nazbierało się tego sporo.

Przeglądałam listy pisane odręcznie, na kratkowanym papierze: „Kochana Redakcjo! Znalazłam się w ciężkiej sytuacji życiowej. Pomóż mi, bo umieram...”

Czując na sobie wzrok Witka przerwałam czytanie, spuściłam oczy. W spojrzeniu Witka była jakaś natarczywość, coś czego nigdy przedtem nie widziałam.

- Jak twoje sprawy? - spytałam podnosząc papierosa do ust.

- Kończę zbierać materiały do pracy habilitacyjnej.

- Nie o to pytam.

- Ach tak? - udał zdziwienie. - W porządku - westchnął z uśmiechem. - W całkowitym porządku.

Wyszliśmy na ulicę, ciężkie popielate niebo przelewało się nad miastem, suche liście skakały po jezdni, wiatr całymi garściami strącał je z drzew i rzucał przechodniom pod nogi. Siąpił deszcz, a Witek wybierał się na urlop.

- Dziwną porę wybrałeś na wyjazd. No to, szczęśliwej podróży - rzuciłam wskakując do autobusu.

Wieczorem, gdy wrócił Marek, kończyłam pisać odpowiedź na list czytelniczki porzuconej przez męża. Napisałam trzy strony i byłam z siebie ogromnie dumna, jakbym dokonała jakiegoś odkrycia.

Posłuchaj, co napisałam - zwróciłam się do Marka.

Zapaliłam górne światło i z wielkim przejęciem zaczęłam czytać:

„Miłość nigdy nie była sprawą łatwą, a przecież zajmuje w życiu człowieka, w jego marzeniach i działalności poczesne miejsce. Chodzi tu o oddziaływania, które mają fundamentalne znaczenie dla naszego losu...”

Przerwałam czekając na komplementy. Marek nie poruszył się nawet. Przez cały czas, gdy czytałam, wpatrywał się w obraz. Skończył go przed dwoma dniami i nie zdejmował ze sztalug, ciągle mu się przyglądał. Obraz różnił

się od wszystkiego, co do tej pory malował. U góry na płótnie było przerażająco czyste niebo, taki błękit z zagranicznych pocztówek, niżej wzniesienie z trzema krzyżami, w dole wśród świeżej zieleni wieża strażnicza obwiedziona drutem kolczastym, z boku piaszczysta droga, na niej samotna postać, raczej cień niewidocznego człowieka.

- Mnie się nie podoba - wyraziłam swoją opinię, zupełnie niepotrzebnie. Marek zdjął obraz ze sztalug i odwrócił do ściany.

- Zjesz coś? - spytałam, bo właśnie zmierzał do kuchni.

Napił się wody z kranu, a na moje pytanie nie odpowiedział. Mijając go w drzwiach poczułam zapach alkoholu. Tym razem ja nic nie powiedziałam. Udając, że wszystko w porządku, zabrałam się do szykowania kolacji. Marek chodził po pracowni i palił. Kiedy nakryłam do stołu i poprosiłam go, żeby usiadł, opadł ciężko na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

- Co ci jest? - objęłam go za szyję.

Szorstkim ruchem strącił moją rękę i zapalił papierosa.

Powstrzymując łkanie usiadłam i zaczęłam jeść parówki z sałatą nie czując smaku. Potem sprzątnęłam ze stołu i zabrałam się do pisania na maszynie. Odpowiedź na list, z której przed chwilą byłam dumna, przestała mi się podobać, przepisałam ją jednak do końca i przygotowałam do wysłania, potem wzięłam prysznic i położyłam się spać nie mówiąc mu nawet dobranoc". Nie mogłam jednak zasnąć, wstałam i zajrzałam do pracowni.

Marek siedział z książką przy stole i palił. Skłębiony dym zwisał z sufitu. Otworzyłam okno i wyszłam bez słowa. W końcu gdzieś koło północy udało mi się zasnąć, ale nie spałam długo. Marek zbudził mnie tarmosząc za ramię, zapalił światło i wymachiwał kartkami z moją odpowiedzią. Śmiał się przy tym głośno i nieprzyjemnie.

- To twój szef wypichcił na mnie ten paszkwil? - zapytał podchodząc do mnie z maszynopisem.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co chodzi, usiadłam na tapczanie i tarłam palcami oczy.

- Od razu wiedziałem, że to on - dodał z naciskiem.

- Co ty wygadujesz? To ja napisałam odpowiedź na list. Nikt mi niczego nie sugerował - tłumaczyłam się, jakbym popełniła przestępstwo.

- Odpowiedź! - krzyknął. - Nędzny kamuflaż! Szarada dla pierwszoklasistów. Nietrudno zgadnąć, o kogo chodzi. Słuchaj! - zaczął czytać: - „W sytuacji, gdy jest się niepewnym, czy partner odwzajemnia uczucia, co przeważnie wypływa z braku wiary w siebie, w swoją urodę, intelekt, pozycję społeczną itp., zazdrość przybiera na sile. Wszystkie ważne i błahe sprawy zamykają się w jednym kręgu, zanika granica między faktami a przypuszczeniami. Każdy ruch, każde słowo budzi podejrzenie...” No, o kim tu jest mowa? Odpowiedz!

Co za idiotyzm! - odwróciłam się do ściany. I nagle zdrętwiałam z przerażenia.

- Jesteś chory! - krzyknęłam. Zaśmiał się w odpowiedzi.

- Jesteś chory - powtórzyłam.

- Jeżeli tak - odparł z triumfem - to twoja wina. Ty mnie do tego doprowadziłaś, ty ze swoją anielską twarzą i sercem żmii. Ty! Ty! - tarmosił mnie za ramię.

- Przestań! - podniosłam głos. - Przestań, bo wyjdę stąd.

Wstałam i zaczęłam się ubierać. Rzeczywiście chciałam wyjść, ale straciłam panowanie nad sobą i rozpłakałam się.

Marek na widok łez stracił głowę; wybiegł po krople. Gdy je odmierzał, drżały mu ręce, rozsypując cukier przytknął mi łyżeczkę do ust. Nie chciałam żadnych kropli, odwróciłam się do ściany i płakałam, a on chodził po pokoju i mówił coś

zduszonym głosem, czego nie rozumiałam, w końcu usiadł przy mnie i błagał o przebaczenie.

- O co ci chodzi? - wyszeptałam przez łyżę. - Witek dał mi robotę, ponieważ go poprosiłam. Muszę coś robić, zrozum! To dla mnie ważne.

O pieniądzech nie wspomniałam, temat należał do drażliwych.

- Nie chodzi o Witka.

- A o kogo?

Machnął ręką, jak gdyby to, co chciał powiedzieć, przestało być ważne.

- Czy zastanowiłaś się - zapytał już spokojnie - dlaczego on akurat tobie daje tę pracę?

- Mówię, że go prosiłam.

- Nie bądź naiwna. W Warszawie trudno o pracę, a on trzyma dla ciebie etat, ty rezygnujesz, on nie ma o to pretensji i jeszcze daje ci zarobić.

- Jest moim kolegą.

- Nieprawda. Skończył studia przed tobą.

- Znasz go?

Nie potwierdził i nie zaprzeczył.

- Nie chcesz, żebym się z nim spotykała?

- Nie jestem twoim aniołem stróżem. Spotykaj się, proszę bardzo. Pamiętaj jednak, że Witek niczego nie robi bezinteresownie, nie robił i nie robi - dodał po krótkim namyśle.

- Tak, tak - potwierdziłam bezwiednie.

O nic już nie pytałam. Zasnęłam z głową na jego ramieniu.

Musiałam jednak zadzwonić do Witka i odwołać zaproszenie na obiad. Zwlekałam z tym telefonem, nie mogłam wymyślić żadnego pretekstu. Na szczęście sam Witek wybawił mnie z kłopotu. Zadzwonił i powiedział, że bardzo



mu przykro, ale nie może przyjść. Jedzie do Żelazowej Woli z delegacją francuską.

W domu na jakiś czas zapanował spokój. Z Witkiem przestałam się widywać, on jakby wyczuł, co się święci, i nie proponował spotkań, w ogóle o nic nie pytał, wszystkie sprawy dotyczące umów załatwiał przez telefon, listy, ankiety i kwestionariusze przysyłał pocztą. Odnosiłam je do Ośrodka i zostawiałam w portierni. W sumie bardzo byłam zajęta, pracę traktowałam poważnie i oddawałam ją w ściśle oznaczonych terminach, systematycznie odpowiadałam na listy. Witek twierdził, że moje odpowiedzi podobają się redaktorowi, czytelnikom chyba też, ponieważ zwiększyła się ilość listów napływających do redakcji. Prowadzenie domu zajmowało wiele czasu i wymagało coraz większych umiejętności, trzeba się było nieźle natrudzić, żeby przygotować obiad czy kolację. Marek nie był wybredny, ale czasem i on, jak każdy normalny człowiek, miał ochotę na zjedzenie czegoś lepszego.

Ciągle to samo - krzywił się widząc, jak stawiam przed nim talerz z jajecznicą w pomidorach.

A kiedy skończyły się pomidory, robiłam kiełbasę na gorąco, z wody, smażoną w cebuli i z rusztu. Nie żałowałam przypraw, ale była to ciągle kiełbasa zwyczajna. Marek zarzucał mi brak inwencji i sam brał się do gotowania. Wychodziło mu nieco lepiej, ale on też nie był cudotwórcą i nie mógł z kiełbasy zwyczajnej przyrządzić befsztyka. Były to jednak drobiazgi, nieistotne sprawy, które tylko chwilami psuły nam humor. Żyliśmy właściwie wystawą, stawialiśmy na nią, bardziej ja niż on, bo ja ciągle patrzyłam na życie przez pryzmat filmów i książek, i swoje wyobrażenia o wernisażu opierałam na nich. Marzyła mi się wielka gala, tłum reporterów, radio, tv, recenzje, wywiady, tłok w dziale zakupów, kwiaty, gratulacje i takie tam bzdury.

Rzeczywistość w starciu z wyobraźnią przeważnie przegrywa. Tak było i tym razem. Wernisaż nie spełnił naszych oczekiwań. Odczułam to boleśnie jak własną klęskę. Za bardzo wierzyłam w sukces, w urzeczywistnienie rzeczy niemożliwych, to musiało się skończyć źle, zwłaszcza jeśli chodzi o matkę - liczyłam na cud, a cud się nie zdarzył. Matka nie przyjechała, mimo że Marek wysłał jej zaproszenie, do którego ja dołączyłam list niezbyt czuły, to prawda, ale za to długi, na trzy strony, pełen szczegółów o przygotowaniach do wernisażu, o nowych obrazach Marka i o mojej pracy. Nareszcie miałam się czym pochwalić. Tygodnik „Młodość” zamieszcza moje felietony, płacą niewiele, ale też moja praca nie ogranicza się tylko do pisania, robię i inne rzeczy, analizy ankiet, opracowuję protokoły badań, a od stycznia - mam dostać pół etatu w Ośrodku. Matkę z pewnością zdziwiła moja wylewność, mnie samej po przeczytaniu listu zrobiło się głupio. Napisałam tyle, jakbym miała coś do ukrycia a przecież nie miałam, chociaż jeżeli się dobrze zastanowić to miałam.

Matka odpisała szybko, podziękowała za zaproszenie, nie pofatygowała się jednak, by nas powiadomić, czy przyjedzie. Przysłała 5 tys. złotych z wyraźnym przeznaczeniem: na kupno przyzwoitej sukni. „Powinnaś ładnie wyglądać w tak uroczystej chwili”, to zdanie podkreśliła dwa razy.

Licząc się z jej przyjazdem kupiłam aksamit w drobne kwiatki i uszyłam z niego spódnicę, do której dobrałam beżową bluzkę z haftem i zieloną chustę z frędzlami. Wiedziałam, że matce nie spodoba się ten strój, ale nie przejmowałam się, zawsze miała odmienny gust. Ubierała się raczej skromnie, bez zbytejnej ekstrawagancji, w stylu dystyngowanej pani w średnim wieku; spokojne kolory, granat, zgaszona zieleń, różne odcienie brązu, pantofle na niezbyt wysokich obcasach z miękkiej skóry. W zimie

kożuszek obszyty futrem, czapka mohairowa lub z lisa, ma jakieś futra, ale ich nie nosi, zresztą nie wiem, ostatniej zimy widziałyśmy się tylko raz, na Boże Narodzenie u wujostwa. W drugi dzień świąt wyjeżdżałam na obóz, a matka nie zatrzymywała mnie. Jedyne ciotka podniosła lament: „Kto to widział tułać się po świecie. Jechać w tłoku taki szmat drogi! Dokąd cię niesie?” „Na narty” - odpowiedziałam. Matka patrzyła w okno, przószył śnieg, duże gwiazdziste płatki osiadały na szybach. Ogień trzaskał w piecu. Nie chciało mi się wyjeżdżać. „Zostań - prosiła ciotka - usmażę ci placków ziemniaczanych. Obejrzymy telewizję”. „Muszę jechać. Jestem umówiona”. „Dlaczego ty jej nie powiesz, żeby została?” - ostrym tonem zwróciła się do matki. „Nikt jej nie wygania” - mruknęła matka nie odrywając oczu od okna. „Właśnie - uśmiechnęłam się do ciotki, wstałam i poszłam po walizkę do drugiego pokoju. "Odwiozę cię na dworzec" - matka oderwała się wreszcie od okna. „Pojadę PKS - em”. „Dzisiaj? Czyś ty zwariowała?” - przeraziła się ciotka. - „Zamarzniesz na przystanku. Zresztą żaden autobus się tu nie zatrzyma. To przecież drugi dzień świąt”.

Wyszłyśmy przed dom. Śnieg sypał garściami, było cicho i uroczyście. Ciotka stojąc na progu żegnała nas znakiem krzyża, wujek machał ręką, Halina w samej sukience wybiegła otworzyć bramę.

Przed dworcem matka zahamowała gwałtownie, nie wyszła jednak z samochodu, by się ze mną pożegnać. Zdjęłam walizkę z tylnego siedzenia i wysiadłam. „Mam nadzieję, że nie złamiesz nogi” - powiedziała patrząc na wycieraczki. „Nie, nie zrobię ci tej przyjemności” - odparłam ze śmiechem i zatrasnęłam drzwiczki. Stojąc w kolejce po bilet połykałam łzy.

Na wernisazu do ostatniej chwili łudziłam się, że przyjedzie. Myślałam, że tego dnia coś się wreszcie wyjaśni.

Markowi zależało na jej przyjeździe bardziej niż mnie. Przed otwarciem wystawy, widząc, że matki nie ma, dzwonił do Lublina. Nie mógł się dodzwonić, w mieszkaniu nikt nie odbierał telefonu, w pracowni było zajęte.

- Coś się musiało stać - strzelał palcami. - Zaspy, gołoledź, może ugrzęzła gdzieś w drodze. Idź, teraz ty zadzwoń - popchnął mnie ku drzwiom, sam witał nowo przybyłą parę. Ona rzuciła mu się na szyję. On z wielkim hałasem i pompą wręczał Markowi jakiś pakunek.

- Bukiet południa - potrząsał butelką Remy Martin.

Dziewczyna przyglądała mi się krowimi oczami. Marek ruchem głowy pokazywał telefon w szatni. Wyszłam z ociąganiem. Nie miałam ochoty rozmawiać z matką. Wiedziałam, że nie przyjedzie. Wyszłam jednak i wykręciłam jakiś numer, odczekałam parę sekund i odłożyłam słuchawkę, po chwili znów wykręciłam byle jaki numer i wróciłam na salę. Marek jednym skokiem znalazł się przy mnie. Dziewczyna o krowich oczach przesunęła się za nim.

- No i co? - spytał z nadzieją w głosie.

- Nie ma jej ani w pracowni, ani w domu.

Chwycił się palcami za brodę. Bure cienie przesłoniły mu oczy.

- Boli cię ząb? - uśmiechnęłam się krzywo.

Nie odpowiedział. Ręka opadła mu w dół. Po chwili spoczęła na ramieniu tej dziewczyny.

- Musisz poznać moją żonę - nachylił się do niej, szybko odwrócił głowę i pospieszył ku drzwiom. Znów kogoś witał.

- Kaśka Szatkowska - dziewczyna podała mi rękę - a to mój mąż - pociągnęła za rękaw mężczyznę z brodą, który schylił przede mną kudłatą głowę. Przyniosłam im wino. Szatkowska nie spuszczała ze mnie wodnistych oczu.

Podeszliśmy razem do ściany, na której wisiały moje portrety.

- Kopie wyglądają nieco lepiej - powiedziała jakby do siebie.

Po chwili trąciła mnie w ramię.

- Masz mi za złe, że jestem szczerą?

- Można być szczerą i taktowną - stwierdziłam sucho.

- O, ja jestem znana z nietaktów - roześmiała się, popatrzyła na mnie i spoważniała. - To dziwne - westchnęła. - Nigdy nie malował swoich dziewczyn.

- Ciebie też nie?

Pokręciła głową z uśmiechem i odeszła do męża, a ja szukałam wzrokiem Marka. Nie było go na sali, znalazłam go w szatni, znów dzwonił.

Ogarnęła mnie wściekłość. Lawirując między grupkami ludzi wybiegłam do szatni, wyrwałam mu słuchawkę.

- Nie ośmieszaj się! Ona nie przyjedzie. Ma gdzieś twoje malarstwo i twoją wystawę.

- Ale wczoraj mówiła... dzwoniłem do niej... - z trudem wymawiał słowa.

- Zajmij się gośćmi - wepchnęłam go na salę i podałam mu wino, które wypił duszkiem, i od razu zatopił się w rozmowie z jakimś starszym panem, a ja jak wierny pies stałam w pobliżu łowiąc szeptem wypowiedane uwagi.

- To ona.

Ludzie pokazywali na mnie.

- Prawda, że podobna?

- Niebrzydka nawet, ale gdzie jej tam do Alicji. Osaczały mnie zewsząd te szeptaki, spojrzenia, nie miałam odwagi się ruszyć.

Alicja! Marek opowiadał mi o niej. Zaczynałam żałować, że nie słuchałam. Byłam ciekawa, czy przyszła na wernisaż, czy wysłał jej zaproszenie? Na sali roiło się od ładnych dziewcząt, brunetki, rude, blondynki i płowe, podchodziły do portretów, oglądały dziewczynę z cieniem na twarzy, w

okularach, dziewczynę z jabłkiem, w lustrze, pochyloną nad książką, palącą papierosa, uśmiechniętą i smutną, płaczącą nawet, aniołkowato - naiwną i złego potwora o zimnych oczach, mściwym uśmiechu na twarzy zdeformowanej gniewem. Przed portretami utworzyła się spora grupa dziewcząt, szeptały spoglądając na mnie, a ja myślałam, że striptease to głupstwo, niewinna igraszka w porównaniu z tym, co zrobił Marek, wystawił na widok publiczny nie tylko moje ciało, oczy, usta, włosy, ale i duszę, zabrał mi wszystkie sekrety i pokazywał je obcym ludziom.

Kaśka Szatkowska kursowała między grupkami wykrzykując:

- To geniusz! Widzicie te linie, te oczy, owal twarzy? Kto dzisiaj potrafi tak malować? Na kolana przed nim! - wysunęła ręce do przodu, jakby rzeczywiście chciała uklęknąć.

Dziewczyny zastąpiły jej drogę. Wysoka brunetka niebieskich oczach podbiegła do niej z lampką wina. Kaśka rzuciła się w bok do grupy studentów.

- Na kolana przed nim! To geniusz! - krzyczała.

Ludzie rozstępowali się, a ona powtarzała: - Na kolana! Na kolana!

- Wariatka - powiedziała niebieskooka brunetka.

Mnie też udzielił się obłęd Kaśki. „Na kolana. Na kolana!” - powtarzałam szeptem. Na szczęście nikt nie słyszał. A Kaśka rzeczywiście uklękła, trzech studentów z ASP poszło w jej ślady. Marek zmieszał się i zaczerwienił, jednak nie stracił głowy, pochylił się szybko, podniósł ją z klęczek i pocałował, studentom uściskał dłonie. Nastrój na sali od razu się zmienił, do Marka zaczęli podchodzić ludzie, zwłaszcza dziewczyny, obściskowały go i całowały, jakaś egzaltowana nastolatka podbiegła do niego i pocałowała go w rękę, Marek znowu spiekł raka, ktoś zaczął bić brawo, nie wiadomo, Markowi czy tej smarkuli, która wpatrywała się w niego z ciętym

zachwytem. Zjawił się fotograf z aparatem i fleszem, plątał się w sieci sznurów, które ciągnęły się za nim po podłodze, przesuwał się wzdłuż ściany i pstrykał zdjęcia.

- Och! To pani? - zdziwił się celując we mnie obiektywem. - Proszę się uśmiechnąć!

Oślepił mnie i zostawił na środku sali z głupawym uśmiechem.

- Idziemy! - Marek wziął mnie pod rękę. - Rozboliła mnie głowa.

Fotograf strzelił w nas strumieniem światła. Marek zasłonił oczy.

- Jeszcze chwileczkę - poprosił. - Niech się pan nie rusza. Proszę o uśmiech dla naszych czytelników.

Marek skrzywił się i odskoczył do tyłu, jakby chciał skryć się za mnie, i tak został uchwycony. Na zdjęciu widać tylko część twarzy, zmrużone oko, zmarszczka na czole, wykrzywione usta, broda odcięta moim ramieniem. Fotograf zatrzymał nas w drzwiach, udało mu się ująć Marka z profilu w chwili, gdy zapraszał Kaśkę z mężem na kolację. Właśnie to zdjęcie ukazało się w „Przeglądzie” z podpisem „Pozdrowienia dla Czytelników...”

W ciągu godziny zrobiła się prawdziwa zima, ostry wiatr od strony Saskiego Ogrodu sypał w oczy suchym śniegiem. Nie mogłam zapalić! Marek z Szatkowskim pchali samochód, a Kaśka w długim furmańskim kożuchu i w chuście zarzuconej na ramiona stojąc twarzą do wiatru pisała coś w notatniku. W pobliżu Kredytowej silnik kichnął i zaczął pracować, Szatkowski pobiegł po żonę i prawie siłą wciągnął ją do samochodu. Przy Senatorskiej utworzył się korek. Minęło sporo czasu, zanim udało nam się dotrzeć do domu. Marek się niecierpliwił, zaprosił gości, czekają pewnie na schodach. Rzeczywiście czekali. Karol i Kuba Korzycki

jechali taksówką inną trasą i mieli więcej szczęścia. Po nich przyjechały dwie dziewczyny.

- To chyba wszyscy - stwierdziła Kaśka.

Weszliśmy z hałasem na górę. W pracowni dziewczyny zaczęły myszkować po kątach szukając nowych obrazów, ciągle nienasycone tym, co widziały.

Marek częstował wódką rozcieńczoną sokiem grejpfrutowym, ja podawałam zakąski, ryby z puszek, mule, płetwy rekina, pasztety, parę plasterków szynki, kurczaka w galarecie. Pomagali mi Szatkowscy, on kroił chleb, Kaśka roznosiła talerze. Oboje nie przestawali zachwycać się malarstwem Marka, używali przy tym takich zwrotów, jak: epokowe wydarzenie, własne widzenie świata, głębia spojrzenia, klasyczna czystość linii. Dziękowałam im i kiwałam głową.

A jednak czułam się zawiedziona. Nie na to liczyłam. W pracowni miały być tłumy, reporterzy, profesorowie, dyrektorzy muzeów, prywatni kolekcjonerzy, a byli koledzy i egzaltowane dziewczyny, te zawsze dopisują.

Kaśka nadała przez telefon notatkę o wernisazu do swojej gazety, usiadła na podłodze i smutnym wzrokiem wodziła za Markiem, jakby czekając na podziękowanie, a on zamiast jej dziękować wpadał co chwila do kuchni i pytał, w czym pomóc. Szatkowski pomagał mi przyrządzać sałatkę, ucierał sos i zalecał się do mnie. Marek pogroził mu palcem.

- Nie próbuj uwodzić mi żony.

- Chętnie bym spróbował - roześmiał się Szatkowski - ale nie mam szans. Dzisiaj przy tobie nikt nie ma szans.

W pracowni nic się nie działo. Mężczyźni stłoczeni przy stole omawiali jakiś mecz, dziewczyny śmiały się piskliwie. Kaśka ze szklanką w ręku przesuwiała się wzdłuż ścian jak lunatyczka. Marek dolał jej bladożółtego płynu. Podziękowała mu smutnym uśmiechem.



- Strasznie tu pusto... - zaczęła szeptem, nachylając się do niego - a kiedyś obiecałeś... pamiętasz, co mówiłeś...

Wyteżyłam słuch, ale nic nie mogłam zrozumieć.

- Dotrzymam słowa - odparł śmiejąc się Marek.

- Zawsze w ciebie wierzyłam.

- Potrzebowałam tej wiary.

- A teraz?

Uniosłam szklankę do góry.

- Twoje zdrowie.

Kaśka wypila duszkiem i objęła mnie. Podeszliśmy razem do okna.

Z dachów pokrytych śniegiem biła zimna poświata.

- Nie ciągnie cię w dół? - Kaśka pokazywała ręką ulicę.

Ośnieżony tramwaj posuwał się szybko po szynach.

- Nie mam powodów.

- Ludzie umierają ze szczęścia.

- Ja nie umrę.

- Jesteś zbyt pewna siebie.

- Nieprawda. Jestem nieśmiała, boję się ludzi.

- To dobrze. Ludzi trzeba się bać. Wiesz - oparła ręce o parapet i spoglądała w dół. W jej nieforemnych oczach, rozlanych w twarzy jak dwie wodniste plamy, pojawił się bizantyjski spokój. - Kocham się w nim od lat... - Uśmiechnęła się oczami, które zszarzały nagle zlewając się z kolorem jej włosów, poskręcanych w drobne spiralki.

- A śnieg ciągle pada - Kaśka przymknęła oczy. „Usta twoje zgorzkniały

W oczach zastygły krople księżycowej poświaty...”

- Improwizujesz? - spytałam.

Kaśka otworzyła oczy, które nabrały od nowa wodnistej barwy, dotknęła palcami twarzy i prawie nie rozchylając ust rzekła:

- Cisza w środku miasta. Jakie to straszne. Marek zbliżył się do nas z dzbankiem.

- Dolać? - uśmiechnął się do mnie.

Skinęłam głową. Kaśka patrzyła na niego ze smutkiem.

- Świetny napój. Uderza powoli do głowy - upiła parę łyków. - Cicho tu i strasznie - odwróciła się ode mnie i przywarła plecami do ściany.

Marek odszedł w drugi koniec pracowni do dziewczyn znudzonych sobą i jedzeniem. Mężczyźni nie interesowali się nimi, pijąc przekrzykiwali się nawzajem. Drgnęłam.

- Ktoś dzwoni - rzuciłam się przed siebie. Kaśka przytrzymała mnie za ramię.

- Aleś ty nerwowa. Nikt nie dzwoni.

- Dzwoni.

- Marek otworzy. To przecież jego goście - puściła moje ramię.

- Masz rację - upiłam łyk z dużej szklanki.

Marek poszedł otworzyć. Kaśka spod przymkniętych powiek obserwowała, kto wchodzi.

- . Alicja? - uniosła powieki, jej oczy zadrgały bladą zielenią storczyków.

Usłyszawszy to imię ruszyłam do drzwi. Chciałam być na początku przy jej wejściu, ale nie zdążyłam. Kiedy dotarłam do przedpokoju, Marek wieszał kożuszek, Alicja otrzepywała ze śniegu futrzaną czapkę, powiesiła ją właśnie na kołku i odwróciła głowę. Uśmiechnęła się do mnie, wyciągnęłam rękę, przywitałyśmy się. Marek objął nas i wprowadził do pracowni. Zrobiło się nagle cicho, wszystkie oczy zwróciły się ku nam.

- Alicja! - Kaśka oderwała się od ściany i odpychając dziewczyny wyściskała ją. - Kopę lat! Pięknie wyglądasz. Podobno byłaś w Paryżu? Kiedy wróciłaś? Co z wystawą? Duży sukces? Byłaś na wernisażu? Tak? Nie zauważyłam cię.

Odstawiłam szklankę i zaczęłam sprzątać brudne talerze. Szatkowski przytrzymując się stołu wstał z krzesła.

- Pomóc ci?

- Nie, dziękuję. Masz, napij się wody - podsunęłam mu butelkę mazowszanki.

Alicja usiadła w kręgu żółtego światła, jej gładka cera lśniła złocistym światłem, podłużne niebieskie oczy w ciemnej oprawie błyszcząły niepokojąco. Już na wernisazu zwróciłam na nią uwagę, brunetka ostrzyżona a la Liza Minelli, ładniejsza od niej, ma zgrabny nos, pełne zmysłowe usta powleczone beżową szminką, uśmiecha się z wdziękiem, szeroko, mężczyźni otoczyli ją kołem, Karol, Jurek i Marcin, który przyszedł zaraz po niej. Marek nalewał jej wino, Egri Bikawer, jeździł po nie specjalnie aż na Żoliborz. Usiadłam obok Szatkowskiego.

- Wszystko jasne - powiedziałam do siebie. Szatkowski skinął głową.

- Dlaczego kiwasz głową, przecież nie wiesz, o co chodzi? - naskoczyłam na niego.

- To nie ma znaczenia. Ja zawsze potakuję. Nalej ani wódki.

- Jesteś pijany.

- To co z tego? Lubię być pijany. Nalałam mu wody.

- Podoba ci się Alicja? - spytałam.

- A tobie?

- Owszem.

- To mnie też.

- Nie masz swojego zdania?

- A kogo obchodzi moje zdanie?

- Chciałby mnie.

- Nie udawaj, masz mnie w dupie. Wszyscy mają mnie w dupie, nawet własna żona. A ja piję i będę pił.

Odwróciłam się. Marek stał przy mnie i uśmiechał się niepewnie.

- Zrób Alicji coś na gorąco, nie jadła obiadu.

- Nic nie mam.

- To odgrzej bigos.

- Za wcześnie. Dopiero podałam zakąski.

- Proszę - zacisnęła palce na moim ramieniu, zabrzmiało to jak rozkaz.

Spełniłam go natychmiast. Odgrzewając bigos zastanowiłam się, co zrobię, jeżeli Marek wróci do niej. Zajrzałam przez uchylone drzwi do pracowni, żeby sprawdzić, co robią. Marek siedział przy niej na podłodze jak paż. Rozmawiali. Mężczyźni zostawili ich mych i powrócili do stołu. Karol rozlewał wódkę. Kaśka przyszła do kuchni.

- Odgrzewasz bigos? Cudownie! Pomóc ci?

- Wytrzymaj talerze.

- To dziwne, że przyszła, prawda?

- Nie wiem, nie znam waszych obyczajów. O czym rozmawiają?

- O wystawie. Zaraz się pokłóca, zobaczysz. Zawsze się kłócili. Teraz też, zarzuca mu literackość, epigonizm. „Przestałeś być sobą - mówi. - Jesteś tylko cieniem wielkich portrecistów”.

- Idiotka! Zaraz się z nią rozprawię.

- Jesteś gospodynią. Nie wypada.

- Gwiżdżę na to, co wypada - nabrałam bigosu na łyżkę, podsunęłam go Kaśce.

- Dobry?

- Wspaniały.

- Marek gotował go trzy dni.

- Nigdy bym go nie posądzała o zdolności kulinarne - Kaśka oblizwała wąskie wargi. - Po co on ją zaprosił? -

zastanawiała się jedząc bigos. - Zdradzała go, z kim popadło. Potem wyjechała. Wyglądało na to, że zerwali ze sobą.

- Czy to takie ważne? Było, minęło.

- Nie obchodzi cię jego przeszłość?

- Nie.

Kłamałam. I to w pełni świadomie, ponieważ już na wernisażu zaczęła mnie obchodzić, a teraz, z chwilą przyjscia Alicji, obchodziła mnie jeszcze bardziej.

- Źle robisz.

- Możliwe. Zanieś im ten bigos - wetknęłam jej salaterkę do rąk. - Ja się przebiorę. Niewygodnie mi w tym stroju.

Przebrałam się w sypialni w długą dzinsową spódnicę i w białą bluzkę z haftem, zawiesiłam korale, a na rękę wcisnęłam kilka czerwonych kółek z drewna.

Poprawiłam makijaż i w lekkich sandałach na płaskim obcasie wkroczyłam do pokoju. Marek siedział na podłodze na wprost Alicji, palił papierosa i coś jej tłumaczył, wszyscy jedli bigos prócz Kaśki i Szatkowskiego, który powtarzał swój refren: „Lubię być pijany”. Kaśka podsuwała mu wodę mineralną. Wycofałam się z powrotem do sypialni. Mój plan był prosty, ale musiałam poczekać, aż się najedzą. Na razie paliłam papierosa w sypialni, nie chciałam patrzeć na niego i na nią, wołałam nie wiedzieć, o czym rozmawiają. Niewiedza chroni nieraz przed cierpieniem, ale bywa i tak, że jest jego przyczyną.

Chyba w odpowiednim momencie włączyłam Presleya. Marcin z Jurkiem odstawili talerze, dziewczyny przeglądały książki, jedna czytała wiersze Herberta. Kaśka wyglądała przez okno. Szatkowski drzemał w fotelu, ale gdy go pociągnęłam za rękę, oprzytomniał od razu, wstając jeszcze się chwiał, szybko jednak pochwycił rytm i zaczął podrygiwać wołając: „rock and roll”, przerzucił mnie do tyłu zwiększając tempo. Dziewczyny zostawiły książki i dołączyły do nas,

udało im się nawet wyciągnąć zza stołu Marcina i Jurka. Wszyscy tańczyli nalatując na siebie, odpychali się i przyciągali wśród spazmatycznych okrzyków: „rock and roll”, tylko Marek z Alicją nie poruszyli się nawet, ona paliła i wzdrygała się mimo woli, Marek szeptał jej coś do ucha. Staralam się nie patrzeć w ich stronę, ale było to niemożliwe. W pewnej chwili Karol odsunął Szatkowskiego i zarzucił mi ręce na szyję.

- Zatańczymy tango? - zapytał dziwnie zbolalym głosem.

Gdy zmieniałam kasetę, stał obok z ręką na moim ramieniu.

Zaczęliśmy tańczyć tango z przejściami jak w latach dwudziestych, dwa kroki do przodu, jeden w tył, przytulaliśmy się do siebie i zamieraliśmy w bezruchu.

Karol uśmiechał się tak jakoś melancholijnie i lepko, że zrobiło mi się nieprzyjemnie.

- Jesteś wspaniała - szeptał tuląc się do mnie. -

Chętnie bym zrobił dla ciebie jakieś świństwo, zdradził przyjaciela lub żonę. Zdaje się, że do wielu złych rzeczy mogłabyś mnie namówić.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wierzysz? No tak, ty w nic nie wierzysz. Zresztą, kto cię tam wie - rozzłościł się nagle. - Nosisz maskę, tak, tak. Nie zaprzeczaj - gorączkował się, chociaż ja nic nie mówiłam, nie wykonałam żadnego gestu, który by oznaczał przeczenie, przestałam się tylko uśmiechać - maskę niewinnego dziewczęcia, którym nie jesteś.

- Nie jestem.

- Więc co jest za tą maską?

- Nic nie ma - odparłam sucho.

- Nie opowiadaj! On wie - ruchem głowy wskazał Marka, który już wstał z podłogi, nalewał wino i podawał Alicji.

Pijany Szatkowski czulił się do niej. Alicja odsuwała go od siebie.

- Dlatego przy pomocy tych wszystkich sztuczek, które nam dziś zademonstrował, chciał zedrzyć z ciebie tę gładkość i pokazać, co jest w środku, ale mu się nie udało.

- Jeżeli chcesz źle mówić o jego malarstwie, wybierz sobie innego słuchacza - usiłowałam wyswobodzić się z jego ramion.

- Paradoks polega na tym - roześmiał się głośno - że jego malarstwo mnie urzeka, nie potrafię mówić o nim źle, nawet na ciebie patrzę poprzez jego portrety. Gdyby nie one, nie wiem, czybym cię aż tak pragnął - znowu się do mnie przytulił. - Umówisz się ze mną?

- Nie.

- Będę czekał na telefon 31 - 12...

- To ci wolno - usłyszałam głos Marka i w tej samej chwili znalazłam się w jego ramionach, ścisnął mnie mocno, aż zabolalo.

- Puść! - krzyknęłam.

Nikt poza Karolem nie usłyszał. On chyba też nie. Podszedł do Alicji i poprosił ją do tańca.

Stary sposób okazał się niezawodny. Alicja została wyeliminowana z gry, przestała się liczyć, przynajmniej na razie. Tańczyłam z Markiem do północy, pijąc w przerwach wódkę rozcieńczoną sokiem, Marek nie odstępował mnie na krok. Jeżeli siadał odpocząć na chwilę, pilnował, żebym usiadła przy nim i siedząc trzymał mnie za rękę.

O północy goście wyszli. Kaśka żegnała się ze mną z przesadną czułością.

- A jednak szkoda, że nie zrobiłaś skandalu - szeptała z zagadkowym uśmiechem. - Lubię, jak się coś dzieje.

- Prosiłaś, żeby nie robić.

- Nie bierz wszystkiego dosłownie - cmoknęła mnie w ucho. - Z moimi prośbami nikt się nie liczy - spojrzała na Szatkowskiego.

- Nie słuchaj jej! - Szatkowski podając żonie kozuch uśmiechał się do mnie. - Wypiła za dużo i plecie głupstwa.

- Co ty opowiadasz - oburzyłam się szczerze. - Przecież to...

- No, śmiało! Dokończ swoją myśl - zachęcał Szatkowski. Zamilkłam.

- Chciałaś powiedzieć, że to ja jestem pijany, prawda? No i co?

- Zmieniłam zdanie. Jesteś najtrzeźwiejszym z ludzi.

- I najniezwyklejszym, bo lubię być pijany, cholernie lubię.

- Powtarzasz się - Kaśka ujęła go pod ramię, podprowadziła do drzwi.

Wyszli. Alicja pierwsza, Szatkowscy za nią. Marek stał u szczytu schodów i żegnał ich ruchem ręki.

Przez otwarte drzwi wpadł do pracowni śmiech Alicji. Śmiejąc się mówiła do niego: „Zadzwonisz?” „Tak, tak” - odpowiedział Marek. „Zapomnisz, jesteś pijany”. „Nie”. „W Polskę idziemy, drodzy panowie, w Polskę idziemy” - śpiewał Szatkowski coraz słabiej. Po chwili wszystko ucichło, śpiew, kroki i ten drażniący śmiech. Poczulałam ulgę, poszli sobie, i dobrze. Jutro nie pozwolę mu zadzwonić, stanę na głowie i nie pozwolę, wyjedziemy z samego rana do Kamionki albo jeszcze dalej.

- Słuchaj! - wybiegłam mu na spotkanie. - Pojedziemy jutro...

Odepchnął mnie od siebie.

- Dziwka! - krzyknął. - Dziwka o twarzy anioła - stracił szklankę ze stołu i zmiażdżył butami odłamki szkła.



Szybko odwróciłam się do okna, żeby nie pokazać mu łez, oparłam się o parapet. Za oknem było przeraźliwie biało i cicho. Marek niespodziewanie zagwizdał fragment melodii z „Opery za trzy grosze”. Uśmiechnęłam się rada, że mija mu gniew. Tymczasem on, jakby odgadując tę myśl, natychmiast wyprowadził mnie z błędu odciągając ostrym szarpnięciem od okna. Odepchnęłam go z ogromną siłą, tak że poleciał na fotel, odbił się od oparcia jak od gumowej poduszki i znowu znalazł się przy mnie. Chwycił mnie za ramię.

- No i co teraz? - zapytał ze złośliwą satysfakcją.

Usiłowałam go kopnąć, ale on przewidując widocznie ten manewr natarł na mnie całym ciężarem, przygwoździł do ściany, wyrywałam się i krzyczałam, lecz on nie puszczał. W końcu upadliśmy na podłogę i walka się skończyła. Kochaliśmy się do rana.

Następnego dnia najpierw wstał Marek, potem ja. Przy śniadaniu nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Radio mówiło za nas natrętnie i głośno: „W zaspokojenie potrzeb żywnościowych kraju zostały wprzęgnięte wszystkie działy gospodarki narodowej. Ale pieniądze, maszyny i urządzenia rolnicze, środki ochrony roślin, nawozy sztuczne - to jednak nie wszystko...”

- Wyłącz radio! - poprosiłam słabym głosem.

Dolał sobie kawy i wyszedł z kuchni. Pod osłoną radiowych wrzasków telefonował z pokoju. Nie wiem, do kogo dzwonił, nie słyszałam też, co mówił, przestało mnie to interesować, nie poruszyłam się nawet, żeby uchylić drzwi do pokoju. Przytrzymałam dłonią zimny kompres pod okiem i rozcierałam palcami obolałe czoło.

Marek skończył rozmawiać, a z radia płynął wciąż ten sam monotony głos: „Warto się zastanowić, kto ma produkować więcej żywności...” Marek ubierał się bardzo wolno, długo sznurował buty i jeszcze dłużej oglądał się w lustrze. Wyszedł

nie mówiąc dokąd, ja nie pytałam, pewnie nie wróci - myślałam bez przerażenia, raczej z apatią - albo przyjdzie z nią na zasadniczą rozmowę. Niech przychodzi, nie odezwę się słowem ani do niej, ani do niego, ucieknę w milczenie jak bohaterka filmu Bergmana.

Słońce wydobyło się z za mglistego zawoju i zajrzało do kuchni. Wróciłam do pokoju i od razu wsunęłam się pod kołdrę. Nie chciało mi się myć, czytać, ubierać. Nienawidziłam jego i siebie, marzyłam o śmierci. Właściwie to nie chciałam umierać, wiedziałam jednak, że muszę umrzeć i umrę tylko po to, by go ukarać, żeby się obwiniał i cierpiał. Mówiłam, że nigdy mu nie wybaczę, w moim kodeksie etycznym nie ma pokuty i skruchy, żalu za grzechy i rozgrzeszenia, jest tylko zemsta. Zasnęłam powtarzając to słowo.

We śnie było jeszcze gorzej. Ojciec - nieboszczyk dzwonił do mnie i mówił głosem, który powinnam była znać, lecz nie znałam, słyszałam jego ponury oddech i groźbę wypowiedzianą z czułością. „Czas na spotkanie, córeczko”. „Gdzie?” „Tutaj”. „Nie mogę”. Włosy stanęły mi dęba, w jednej sekundzie urosły do sufitu. No więc, kiedy?” „Nie mogę. Mam tyle spraw na głowie. Kocham cię, ojczy, słyszysz, nigdy ci tego nie mówiłam, nie miałam okazji, matce też nie... Kocham twoje oczy, wysokie czoło z fotografii i uśmiech amanta”. „Musimy się spotkać”. „Poczekaj! Niech się wyjaśni z Markiem, niech się rozwikła”. „Nie mogę”. „Tatusiu”.

Obudziłam się ze słuchawką w ręku, mokra od potu, wśród gęstych cieni, odrętwiała i nieprzytomna, nie mogłam się zdobyć na żaden ruch. Nagle usłyszałam śmiech, głośny jak ryk klaksonu. Odrzuciłam kołdrę i dźwignęłam się z trudem. „A więc przyprowadził ją tutaj” - stwierdziłam dość obojętnie i nasłuchiwałam. Stłumione dźwięki dochodziły z

ulicy, natomiast w pracowni panowała martwa cisza, nikt się nie śmiał, nikt nie rozmawiał.

Czekałam na niego do siódmej wieczór, czułam, że zwariuję albo coś sobie zrobię. Dzwoniłam do matki, znów jej nie było w domu ani w pracowni.

- Wyjechała - oznajmiła pani Mirka.

- Dokąd?

- Nie wiem. Może do Chełma, a może do Zamościa. „Wyjechała, to ja też. Niech się pomartwi, niech za mną zatęskni”.

Mówiłam do siebie, już wtedy i później w pociągu, byłam sama w przedziale, sleeping, druga klasa i pięć osób w wagonie. Nic dziwnego, pierwsza połowa grudnia, do świątecznego szczytu zostało jeszcze kilka dni. schroniskach puchy, zajrzałam na Ornak, cztery wczasowiczki piły herbatę, poza tym nikogo. Miałam zamiar pójść do Chochołowskiej, bałam się jednak, że przed nocą nie dojdę. Zostałam. Zrobiłam tylko wycieczkę nad Czarny Staw. Następnego dnia dotarłam do Chochołowskiej. W nowym schronisku byli już narciarze, trochę młodzieży, krzyk, gwar, wieczorne śpiewanie. Wszyscy mnie denerwowali. Chodziłam po dolinach, śniegu napadało sporo i wyżej było niebezpiecznie. Nie szukałam śmierci, nic z tych rzeczy, chciałam się uspokoić, tylko o to mi szło, chodząc po górach często płakałam, nawet kiedy byłam wśród ludzi. Zdaje się, że tam, w Chochołowskiej, a później w pociągu wypłakałam wszystkie łzy, bo kiedy po trzech dniach wróciłam do domu, nie mogłam wykrzesać z siebie ani jednej. Nie uspokoiłam się wcale, wręcz przeciwnie, wróciłam jeszcze bardziej roztrzęsiona i smutna.

Nie zastałam go w domu, tym razem też nie. Była godzina dziewiąta rano, nic nie wskazywało na to, że wyszedł przed chwilą, tapczan był zasłany, w kuchni stopy brudnych talerzy, jeszcze po przyjęciu, kieliszki, szklanki... Po prostu nie

nocował w domu. Moja kartka, w której zawiadamiałam go, że wyjeżdżam, zniknęła ze stołu. Zabrałam się do zmywania, ale jakoś mi nie szło, stłukłam kilka szklanek, dwa talerze. Mimo wszystko doprowadziłam kuchnię do porządku i chciałam wyjść, wszystko jedno dokąd, byle wyjść. Na dobrą sprawę nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie Witek. Zadzwoił w odpowiednim momencie. Miotalam się między pokojem i kuchnią, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Kazał mi natychmiast przyjechać. W ważnej sprawie - zaznaczył. Ubrałam się w ciągu pięciu minut, ale jak na złość nie mogłam uruchomić samochodu.

Witek czekał już na mnie w sekretariacie, wybierał się na jakąś konferencję.

- Mam coś dla ciebie - zawołał na powitanie. -

Pół etatu od stycznia. Bierzesz?

- Choćby od dziś - uścisnęłam mu rękę.

Wypiliśmy kawę u niego w pokoju. Rozmowa się nie kleiła. Telefon dzwonił bez przerwy. W kadrach bez chwili wahania podpisałam umowę.

Bożena dogoniła mnie na korytarzu.

- Nareszcie! - wyściskałyśmy się bardzo serdecznie. - Będziemy się częściej widywać.

Oczy jej się śmiały. Z głosu przebijała nie ukrywana radość. Wybierała się na urlop z profesorem.

Prosto z Ośrodka pojechałam do Wilanowa. Długo chodziłam po parku przysłuchując się własnym krokom. W parku panowała przygnębiająca cisza, biel śniegu kłuła w oczy, poza parą studentów nikogo nie spotkałam. Ból wokół serca narastał. Nie wiedziałam, co robić, dokąd uciec przed nim, przed sobą. Sroka na pobliskim krzewie zaskrzeczała trwożliwie, poczytałam to za zły omen. Minęłam oranżerię i szybkim krokiem zmierzałam do wyjścia.

Wybiegłam przed bramę i machając ręką zatrzymywałam przejeżdżające samochody. Dopisało mi szczęście. Zatrzymał się biały fiat. Kierowca spragniony kontaktu z ludźmi wszczął rozmowę o pogodzie. Z drobiazgową dokładnością relacjonował komunikaty meteorologiczne. Jak dotąd wszystko się sprawdza, zapowiadają ostrą zimę. I proszę, dopiero grudzień, a ile śniegu i ciągle pada, znów zaskoczenie dla MPO. Zamiast uprzątać śnieg - solą. Drzewa usychają. Zauważyła pani? Na głównych ulicach nie ma już drzew. Na Sobieskiego pousychały topole, nie lubię tamtędy jeździć, zwłaszcza latem. Widzi pani? Kamienna pustynia, a ludzie się cieszą, standard lepszy, mówią, większe pokoje, widne kuchnie. Koniec świata. Świadkowie Jehowy nazywają to Armagedon. Lubię z nimi pogadać. Da pani wiarę, chcą poprawić świat i zaczynają od ludzi, tak właśnie trzeba, od ludzi...

Potakiwałam. Kierowca nie zrażony moim milczeniem wciąż gadał. Przed domem położyłam na siedzeniu 50 złotych.

- Nie za mało? - spytałam.

- Dziękuję. Wystarczy. Pani nie w humorze? Taka młoda! I po cóż się martwić. Trzeba korzystać z życia, za kilka lat będzie za późno.

Skinęłam głową i zatrzęsnęłam drzwi. Korzystać z życia. Mój Boże. Dla mnie życie zamknęło się w jednym wymiarze i obraca się wokół tej samej osi, a ja drepczę w kółko bojąc się wypaść z orbity i niczego więcej nie pragnę.

W kuchni paliło się światło, chociaż był jeszcze dzień, wbiegłam na górę opanowując wzruszenie. Nie zadzwoniłam. Otworzyłam drzwi własnym kluczem.

Nie zdejmując kożucha wpadłam do pracowni. Marek nakrywał do stołu na dwie osoby. Na oknie stała butelka wina Egri Bikawer, a więc to dla niej, obiad z winem. Zamarłam w

pół kroku, chciałam się cofnąć i wybiec, ale było za późno, Marek już mnie przytulał, całował.

- Nareszcie! Gdzie byłaś?
- W Zakopanem.
- Dlaczego chodzisz bez rękawiczek?
- Nie wiem, chyba zgubiłam.
- Chcesz grzanego wina?

Od pieśczoł i pocałunków zakręciło mi się w głowie. Z trudem dotarłam do fotela. Usiadłam. Marek wybiegł z kozuchem do przedpokoju, a ja siedziałam bez ruchu z zamkniętymi oczami i zdawało mi się, że drzemie, słyszałam jednak, jak zapalał gaz i pobrzękiwał garnkami. Przyniósł wino w żaroodpornej filiżance.

- Pij! Dobrze ci zrobi.

Nie zapytał, z kim byłam ani dlaczego wyjechałam, wyjął z szuflady plik pięćsetzłotowych banknotów i położył mi na kolanach.

- Co to ma znaczyć? - zerwałam się przestraszona. - Skąd tyle forsy?

- Uspokój się - podniósł pieniądze, ujął mnie za ramię i posadził w fotelu. - Nie obrabowałem banku...

- Nie wiem. Może i obrabowałeś. Wszystkiego się można po tobie spodziewać.

- A tego, że cię kocham?

- Nie, tego już nie.

- Głuptasie! Przecież cię kocham - powiedział zdawkowo, na wpół obojętnie, z odrobiną pretensji, takim tonem, jakim się zwykło mówić: „przecież jem kaszę”.

- Naprawdę?

Usłyszałam swój głos nasiąknięty łzami i umilkłam.

- Napij się wina.

- Tak, tak - podniosłam filiżankę do ust. Teraz mój głos był matowy i suchy. - Sprzedałeś obraz?

- Dwa. >
- Komu?
- Nigdy byś nie zgadła.
- Mojej matce?

Skinął głową nieco zdziwiony.

- Kiedy tu była?
- Wczoraj. Nie, przedwczoraj... - Od niej masz te pieniądze?
- Nie tylko. Napatoczył się jakiś Holender i kupił drugi obraz.

- Gratuluję.
- Nie cieszysz się?
- Ależ tak. Bardzo się cieszę. Będziemy mogli nareszcie wyjechać.

- Wyjedziemy - odrzekł bez przekonania - za jakiś tydzień lub dwa. Na razie muszę trzymać rękę na pulsie. Dzisiaj dzwonił wicedyrektor muzeum, prawdopodobnie kupi u mnie obraz.

- Który obraz kupiła?
- Oceanię. Ona lubi moje picassy.
- A wiesz dlaczego?
- Jest wyrafinowana.
- Wybrała go dlatego, że mnie na nim nie ma.
- Robisz z niej potwora.
- Nie robię. Ona jest potworem.
- Nie jest, urodziła cię i wychowała.
- Gadasz od rzeczy - roześmiałam się nieprzyjemnie, dopiłam wino, odstawiając filiżankę. Patrzyłam na stół, lecz nic nie widziałam.

Marek podsunął mi rybę z puszki.

- Nie mogłem nic dostać - zaczął się usprawiedliwiać.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że od wczoraj nie miałam nic w ustach, zaczęłam jeść, smakowała mi ryba.

Jedząc czekałam na pytania, dlaczego wyjechałam nagle, bez uprzedzenia i co robiłam przez te trzy dni. O nic nie pytał. Uczepił się matki jak deski ratunku i cały czas mówił o niej, zachwycał się jej wyglądem, sposobem chodzenia, odmłodziła, obcięła włosy.

- Wariatka! - stwierdziłam sucho. - Takie piękne włosy.

- Wyglądała jak Liza Minelli.

- Liza Minelli - roześmiałam się, ponieważ kilka dni temu to samo pomyślałam o Alicji.

Odłożyłam widelec i śmiałam się coraz głośniejsze. Marek przerwał jedzenie i spojrzał na mnie zgorzony.

- Co ci jest? Z czego się śmiejesz? - chwycił mnie za rękę - zwariowałaś?

- Jeszcze nie, ale zwariuję. Przyrzekam. Jeżeli mnie zostawisz, zwariuję.

- O tym nie ma mowy - przysunął się do mnie.

- Zmieniłeś się.

Zaprzeczył bez przekonania i szybko odwrócił głowę, jakby się zląkł, że mogę wyczytać w jego oczach coś, co chciał ukryć przede mną.

- Zaprosiłem twoją matkę na święta.

- O nie! Tego już za wiele - zerwałam się od stołu. - Wyjazdy, motele, spotkania z nią poza moimi plecami, randki, dancingi i jeszcze święta. Nie! Nie!

Krzyczałam, waliłam pięścią w stół, a on nic, siedział naprzeciwko mnie nie przerywając jedzenia, tak, jadł cały czas, patrzył mi w oczy, a raczej na mnie i milczał, cały czas milczał.

A przecież gdyby powiedział, że to nieprawda, uwierzyłabym z miejsca, w gruncie rzeczy czekałam na to słowo, ale on go nie wypowiedział, w ogóle nic nie mówił, dopił wina, ubrał się i wyszedł.



Znowu czekałam na niego przez cały dzień. Z trudem napisałam jedną odpowiedź na list, potem sprzątałam mieszkanie, prałam, usiłowałam coś czytać, ale nic nie rozumiałam, nie mogłam się skoncentrować nad niczym. Wieczorem niepokój o Marka wypędził mnie z domu. Gdybym znała adres Alicji, poszłabym do niej i wyjaśniła przynajmniej tę sprawę, a tak plątałam się po ulicach uciekając przed ludźmi na puste podwórka, rozboleła mnie głowa, zaczęłam mieć jakieś przywidzenia, chociaż nie jestem pewna, czy to były przywidzenia, czy też rzeczywiście spotkałam go u zbiegu Stawek i Marchlewskiego, jak przechodził z Alicją przez skrzyżowanie, podeszłam do nich, uśmiechnęłam się mi nie odpowiedział, jakiś mężczyzna obejrzał się za i powiedziałam: dobry wieczór. Zdziwiłam się, że nikt mną i pokręcił głową.

Wróciłam do domu, jego oczywiście nie było, wypiałam prawie całą butelkę wina, które zostało po wernisazu i wypaliłam paczkę papierosów. „Podróż poślubna” - śmiałam się do lustra. Jakieś rozczochrane widmo szczyrzyło do mnie zęby. Zasnęłam w ubraniu.

Kiedy się obudziłam, był dzień, pełen mlecznego światła. Termometr za oknem wskazywał minus dziesięć stopni. Na kanapie w pracowni spał Marek przykryty kożuchem. Usłyszał chyba trzaśnięcie drzwiami i moje kroki, bo zawołał mnie po imieniu, a gdy nie odpowiedziałam, przewrócił się na drugi bok i naciągnął kożuch na głowę.

Nie chciałam już z nim rozmawiać, nie chciałam wyznać, przyrzeczeń, niczego nie chciałam, wyszłam z domu do pobliskiej kawiarni, usiadłam w pustej sali i odpisywałam na listy. Czytelnicy potrzebowali moich rad i zapewnień, że przecież nie jest tak źle i będzie z pewnością lepiej, trzeba tylko pracować nad sobą, postępować uczciwie, zgodnie z

własnym sumieniem, mądrze, z rozwagą, nie ulegać emocjom, nie wpadać w panikę.

Witek nalegał, żeby skończyć z mistyfikacją. Nie miałam nic przeciwko temu. Koło południa poszliśmy do redaktora, ja z duszą na ramieniu, czułam się jak przestępca i było mi wstyd. Okazało się, że niepotrzebnie, Witek wszystko załatwił, chciał mnie tylko przedstawić redaktorowi. W czasie krótkiej rozmowy przy kawie nie padło pod moim adresem ani jedno złe słowo, przeciwnie, same pochwały, zdziwienie, skąd taka młoda i „pisze pani świetnie, świetnie”. Witek dorzucił kilka uwag o moim stylu, precyzyjna argumentacja, łatwość operowania słowem...

Słuchałam tych pochwał kiwając głową, panowie nie dopuszczali mnie do głosu, omawiali cykl artykułów Witka o rozwoju uczuć, a ja paliłam w milczeniu.

Żegnając się z Witkiem na ulicy spytałam:

- Dlaczego tyle dla mnie robisz?

- To proste - zaśmiał się Witek. - Podobasz mi się.

Głupio mi się zrobiło.

- Podwieźć cię? - spytałam.

- Nie. Dziękuję. Mam tu obok coś do załatwienia.

Nie odchodził jednak, patrzył na mnie zza swych okularów ze smutną powagą, wskazując ręką dom po przeciwnej stronie ulicy, w którym mieścił się klub aktora. Z grupki osób zdążających we wskazanym kierunku wyłowiłam dziecienną twarz Jolanty Olechnowicz.

- Nie kochasz jej?

W jego oczach za grubymi szklami pojawił się wyraz rozbawienia.

- Za dużo chcesz wiedzieć - cmoknął mnie w policzek. - Dzwon!

Marek nie odwołał zaproszenia. Matka przyjechała w Wigilię, tak jak to uzgodnili, punktualnie o trzeciej. Ku

z dumieniu Marka powitałam ją niezwykle serdecznie, lecz ona szybko wyswobodziła się z moich objęć, podeszła do lustra i poprawiła włosy obcięte a la Liza Minelli.

- Oszpeciłaś się - zauważyłam ze ściśniętym gardłem.

Chciałam jej powiedzieć coś bardzo przykrego, ale zabrakło mi odpowiednich słów. Matka wygładziła spiczaste pejsiki przy uszach i pokazując w uśmiechu perłową biel zębów skinęła głową.

- Tak, tak - powiedziała odchodząc od lustra i ukryła twarz w cieniu z niewyraźnym uśmiechem ni to kpiny, ni to zadowolenia, poprawiła spódnicę z zamszu w beżowozłotym odcieniu z taką samą kamizelką.

Moje oczy powędrowały ku matczynej szyi, szukając na niej niszczących śladów czasu, obwisłej skóry czy wystającej grdyki, znalazły nikłe zwiotczenia i dwie obręcze podobne do tych, jakie spotyka się nawet u bardzo młodych, ale otyłych dziewcząt. Matka nie przytyła nawet o centymetr, więc jednak... - uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Zauważyła ten uśmiech i moje spojrzenie wślizgujące się pod jej kołnierzyk.

- Wiesz - nachyliła się ku mnie. - Zaczęły mi wychodzić włosy. Musiałam je ściąć.

Kłamała, ale po co? Żeby mi sprawić przyjemność? Włosy miała gęste i lśniące, farbowane zapewne, ale bardzo dyskretnie. Na czubku głowy, skąd spływały gładko jak kask, nie było ani śladu siwizny.

- Czego się napijesz, Mariol - Marek ujął ją pod ramię i wprowadził do pracowni. W jego głosie, a zwłaszcza w tonie, jakim wymówił jej imię, wyczułam poufałość.

- Wódki. Macie może śledzie? Marek rzucił się do kuchni, ja za nim.

- Nie musisz już jej nadszkakiwać - stwierdziłam z przekąsem. - Kupiła przecież twój obraz.

Twarz Marka zszarzała z gniewu, pchnął mnie na ścianę i zamierzył się butelką.

- Zdumiewasz mnie - wychrypiał nie swoim głosem. Odstawił butelkę i sięgnął po papierosa.

Wręczyłam mu kieliszki i otworzyłam drzwi. Nic więcej nie powiedziałam.

Poruszałam się jak we mgle, rozlałam kompot, straciłam szklanekę.

- To dobry znak - ucieszyłam się zgarniając na szufelkę okruchy szkła.

Po kolacji piliśmy koniak. Kapało z dachów, mgła sięgała pierwszego piętra. W dole na różnych wysokościach tliły się kolorowe światła. Matka otoczyła się dymem. Niewyraźny uśmiech nie schodził z jej warg. W ciepłym półmroku, wśród pełgających świec wyglądała jak grecka bogini, którą chwilowy kaprys sprowadził na ziemię. Cienie i ostre błyski światła przelatowały po jej twarzy nie naruszając klasycznej harmonii rysów. Marek nie odrywał od niej oczu. W pewnej chwili wstał, wyjął z szafy aparat i błysnął fleszem, matka odchyliła głowę do tyłu, zmrużyła oczy, Marek skierował na nią snop światła, przekręcił taśmę, znów ją oświetlił, powtarzał tę czynność kilka razy, potem jakby z obowiązku zrobił zdjęcie i mnie.

Dopalały się świece, matka siedziała nieruchomo ściskając w palcach papierosa i łowiła wzrokiem cienie na ścianie.

- Zaśpiewajcie coś - popatrzyła na Marka.

Oczy jej pojaśniały, jakby wróciła z dalekiej wyprawy. W tej chwili wyglądała na swoją czterdziestkę, a może na więcej. Marek śpiewał, ja mu pomagałam, syczące iskry leciały z zimnych ogni, matka z cieniem na twarzy słuchała, pogrążona w zadumie albo też, co bardziej prawdopodobne, obliczała zyski i straty za miniony rok i przemyśliwała nad nowym sposobem pomnożenia dochodów, ale z jej

wpółprzymkniętych oczu i z nikłego uśmiechu trudno było cokolwiek odczytać.

Na drugi dzień wyjechała nie zważając na nasze prośby.

W domu po jej wyjeździe zrobiło się dziwnie pusto i smutno. Marek prawie się nie odzywał, przestał malować, zarzucił szkicowanie, chałtury, zaczął natomiast znikać z domu na długie godziny, wracał z obrzękłą twarzą i rozchwianymi rękami podnosił szklanekę do ust, pił wódkę rozcieńczoną coca - colą lub piwo. Gdy pytałam, gdzie był i co robił, tarł palcami skronie, jakby usiłował coś sobie przypomnieć, z reguły nic sobie nie przypominał, poprzestawał na tym bezradnym geście. Zasypiał na kanapie w ubraniu z butelką piwa obok na podłodze i spał ciężkim alkoholowym snem do południa. Po przebudzeniu wypijał piwo i wychodził bez słowa. Raz, kiedy wylałam piwo do zlewu, zrobił awanturę z krzykiem, tupaniem i tłuczeniem naczyń, potem przeproszał ze łzami w oczach i obiecywał poprawę, w którą już nie wierzyłam. Razem sprzątnęliśmy kuchnię, zrobiłam śniadanie, nastrój się nieco poprawił, a w pół godziny po tym akcie oczyszczenia i skruchy, kiedy już zaczynałam wierzyć, że wszystko wróci do normy, wyszedł z domu bez słowa, wrócił co prawda niezbyt późno i trzeźwy, ale z wyrazem twarzy, który mnie przeraził. Ujrzałam w jego oczach pustkę i obcość, którą widywałam tyle razy u Krzyśka, nieruchome źrenice, utkwione w jeden punkt, zaciśnięte usta i martwa twarz. Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby go spytać, gdzie był i co robił. Gdy zajrzałam do pracowni, siedział przy oknie zapatrzony w ulicę. Tym razem ja wyszłam bez słowa. Przez kilka godzin chodziłam po mieście w poczuciu osamotnienia. Na Krakowskim w „Bristolu” wypijałam kawę, zajrzałam do kilku sklepów nic nie kupując, przysłuchiwałam się kłótniom, grubiańskim wymysłom, pchałam się i byłam popychana. W jednym sklepie zwymyślałam ekspedientkę,

której nie chciało się zdjąć z półki jakiegoś blezeru. Dopiero późnym wieczorem dotarłam przed dom, nie miałam już siły wejść na piąte piętro, bolały mnie nogi i chciało mi się spać. Zmiotłam pokruszony lód z ławki i usiadłam. Padał śnieg, było cicho i ciepło, chyba zasnęłam.

- Joanno - usłyszałam nagle głos Marka. Dochodził z daleka, jak echo w górach.

- Co ty wyprawiasz? - pochylał się nade mną w samym swetrze i w rannych pantoflach. Śnieg sięgał mu do kostek.

- Przeziębisz się! - krzyknęłam.

Zarzuciłam mu szalik na szyję, a on wziął mnie na ręce i wniósł po schodach na górę.

- Co ty wyprawiasz? Zsunęłam się na ziemię.

- Chciałam umrzeć.

- Joanno!

- Boże! Zmiłuj się nade mną.

- Co mówisz?

- Kocham cię.

Nie wiem, czy mu to powiedziałam, czy tylko pomyślałam. Odwróciłam się do ściany i płakałam. Niepotrzebnie mnie zbudził, nie mogłam już zasnąć, chciało mi się spać i nie mogłam, przeszkadzały mi głosy i blask bijący z okna. W białej dolinie błędziło samotne echo: Joanno, anno, no, no...

Z góry toczyły się srebrzyste kule i muzyka, Czajkowski, pierwszy koncert fortepianowy, czyste uderzenia Małcużyńskiego, przerywane głosem spikerki: zima atakuje na wszystkich frontach... Krople dźwięków wpadały wprost do strumienia. „Jeszcze tylko sto metrów - mówił Staszek. - Daj plecak". „Nie, ja sama. Skąd ta muzyka?" „Nic nie słyszę." „To Brahms, drugi taniec węgierski. Och, kręci mi się w głowie". Oddałam plecak i narty, ale nie czułam ulgi,

grzęzłam w śniegu po kolana, pot zalewał mi oczy, niebo pęczniało od chmur, słycać było strzały...

- Chyba masz gorączkę - Marek położył mi rękę na czole.  
- Napij się? - postawił na stoliku szklankę herbaty.

Odsunęłam ją ze wstrętem.

- Daj mi wina.

Leżałam ze wzrokiem wbitym w sufit. Marek oglądał termometr przy lampie.

- 38,7. Wezwę lekarza. Pół szklanki wina nie powinno ci zaszkodzić. Piramidon i aspiryna. Popij herbatą.

Lekarz nie przyszedł. Jakoś udało mi się zasnąć. Marek czuwał przy mnie. Kiedy budziłam się w atakach suchego kaszlu, widziałam przy tapczanie jego twarz, napiętą i szarą, pełen winy, pokorny wzrok. Odwracałam się do ściany, bolały jego czułe gesty i nadmierna troskliwość.

- Połóż się - prosiłam go. - Nic mi nie jest. Nie słuchał. Brał mnie za rękę, całował.

- Chcesz herbaty? A może wina?

- Dziękuję - uciekałam w sen od jego pieśczoł.

Rano temperatura spadła do 38 stopni. Marek uległ moim prośbom i położył się na kanapie w pracowni. Spał nie dłużej niż dwie godziny, zerwał się z krzykiem i z kocem narzuconym na ramiona wpadł do pokoju.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

Wypił duszkiem zimną herbatę.

- Dzisiaj sylwester, wiesz? Kaśka zaprosiła nas do siebie.

- To idź.

- Zwariowałaś?

- Dlaczego? Należy ci się jakaś rozrywka. Potańczysz, pogadasz z ludźmi.

- A ty?

- Posłucham radia, obejrzę telewizję.

Roześmiał się i poszedł do kuchni. Przyniósł na tacy mleko, grzanki z miodem, jajko na miękko i podał mi do łóżka, sam usiadł na brzegu tapczanu.

- A więc masz mnie już dość - chwycił moją rękę.

Grzanka z miodem upadła na kołdrę.

- Co ty wyprawiasz? - podniosłam bułkę, zlizalam miód z kołdry.

- Masz mnie dość? - powtórzył. Zaprzeczyłam ruchem głowy. Widocznie niezbyt przekonująco wypadł ten gest, bo Marek zeskoczył z tapczanu i zaczął przemierzać pokój olbrzymimi krokami.

- W takim razie - rzucił w przestrzeń - pójdę wieczorem do Kaśki.

- Pójdziemy razem - sięgnęłam po mleko. - Mam nadzieję, że mnie też zaprosiła.

- Tak, ale ty jesteś chora.

- Do wieczora wyzdrowieję.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Pójdę. Zrobię ci na złość i pójdę. Nie zatrzymasz mnie siłą.

- O co my się kłócimy? - roześmiał się nagle. -

Przecież dzwoniłem przed chwilą i powiedziałem Kaśce, że nie przyjdziemy. Podjąłem tę decyzję niezależnie od tego, czy coś do mnie czujesz.

- Co cię obchodzą moje uczucia, skoro przestałam dla ciebie istnieć.

- Istniejesz, ciągle istniejesz - ukląkł przede mną.

Rozśmieszył mnie ten gest. Odstawiłam tacę ze śniadaniem i nakryłam się kołdrą. Marek przylgnął ustami do mej ręki.

- Przez te dni żyłem jak w półśnie. Nie chciało mi się rozmawiać, kiepsko się czułem.

- Dlaczego nie jesteś szczery?



- Jestem. I kocham cię, więcej ode mnie nie wymagaj. Na nic więcej mnie nie stać.

- Zasłoń okna, chcę spać, ale boję się snów. Boję się, że ojciec zadzwoni i powie „czas na spotkanie”, boję się, że zostawisz mnie na przystanku, a sam odjedziesz.

Całował mnie pośpiesznie wśród łez, broniłam się coraz słabiej.

- Jestem przy tobie - szeptał. - Nigdy cię nie opuszczę. Jestem przy tobie. Kochaj mnie bez względu na to, co się stanie.

Wieczór sylwestrowy spędziliśmy w domu, poczułam się gorzej, wstałam jednak do kolacji, ubrałam się w długą spódnicę i czarną bluzkę z węgierskim haftem. Marek przygotował kolację i jadł z apetytem, ja wcale, miałam dość kurczaków i konserw rybnych. Dziobałam widelcem sałatkę jarzynową i piłam białe wino, które Marek kupił specjalnie dla mnie. Gdy wstałam, zakręciło mi się w głowie. Marek otwierał szampana. Stojąc czekaliśmy, aż zegar w radiu wybije dwunastą. Uśmiechałam się do swych myśli. Pierwszy wspólny sylwester. Nie tak go sobie wyobrażałam: miał być bal i tańce do białego dnia.

Znów były słowa, obietnice, przysięgi, dużo słów:

- Nie opuszczę cię nigdy.

Obiecywał mi miłość, ślub w starym modrzewiowym kościele, w górach...

- Przecież nie lubisz gór - przypomniałam mu.

- Lubię. Skąd ci to przyszło do głowy? Pojedziemy do Zakopanego.

- Kiedy?

- Za dwa, trzy dni.

- Dlaczego nie zaraz?

- Jesteś chora, na drogach zaspę, gołoledź.

- Masz rację, zawsze masz rację. Twoje zdrowie. Radio bryznęło rockiem. Tańczyłam przytrzymując się stołu.

Wkrótce opadłam z sił. Marek zmierzył mi puls i zaniósł do łóżka. Szumiało mi w głowie, z dachów zsuwały się śniegowe kołdry, jedna spadła na mnie lodowatym ciężarem. Zaczęło brakować mi tchu.

Gorączka wróciła, a z nią smutek, majaki, złe sny wywołujące dreszcze. Jadłam rosół z kury, pomarańcze, mus z jabłek, miód. Dni pomarszczone i ciężkie przesuwwały się bezszelestnie jak cienie. Na stoliku przy tapczanie osiadał kurz.

Zadzwoiłam do Witka z przeprosinami. „Głupio wyszło, ciągle choruję, zaczekasz na mnie?” „Tak, oczywiście. Czekaemy. Bożena pytała o ciebie. Jak się wykurujesz, daj znać. Nie wstawaj za wcześnie, to niebezpieczna grypa”.

Marek przysłuchiwał się obojętnie rozmowie, o nic nie pytał. Powiedziałam: „Mam załatwioną pracę na pół etatu. Podpisałam umowę”.

- To dobrze - uśmiechnął się. Jego cień powędrował ku oknu. - Twój zawód wymaga kontaktu z ludźmi.

Ukryłam twarz pod kołdrą.

- Przedtem jednak gdzieś wyjedziemy - cień przesunął się w stronę tapczanu.

Skinęłam głowę. Przestałam wierzyć w ten wyjazd i przestało mi na nim zależeć.

Wyjechałam jednak bez chęci i bez przygotowań, z dnia na dzień, sama, bez niego, na badania do zakładu wychowawczego z kolegami z Ośrodka. Marek pomagał mi się pakować, gwiżdżąc melodie z filmu, który dosyć dawno oglądaliśmy razem, nie pamiętałam nawet tytułu ani o czym była piosenka. Właśnie wtedy zadzwonił telefon i nim zdążyłam zeskoczyć z tapczanu, podniósł słuchawkę.

- Halo! - zawołał. - Tak, to ja. Dzień dobry - zaśpiewał prawie. - Tak, będę. Tak, do widzenia - odwrócił się i zatarł rękę. - Dzwonił Karol - wyjaśnił z uśmiechem. - Załatwił dla nas chałturę. Szykuje się grubsza forsa.

Pożegnaliśmy się na dole dość obojętnie. Marek biegł za samochodem, machał ręką, mówił coś, czego nie słyszałam, pokazywał na migi, żebym dzwoniła, wszystko było niepotrzebne.

Pochłoneła mnie praca, badania, problemy trudnej młodzieży. Prowadziłam długie rozmowy z dyrektorem, z wychowawcami, ale już po dwóch dniach ogarnęła mnie trwoga, chciałam wracać do domu, wstyd mi jednak było przed Witkiem. Dlatego zostałam. Do Marka dzwoniłam codziennie, rano i wieczorem, właściwie to nie dzwoniłam, tylko zamawiałam rozmowy i czekałam na połączenie, przeważnie bez skutku, telefonistka mówiła bezbarwnym głosem: „numer nie odpowiada” albo „uszkodzenie na linii”. Wreszcie trzeciego dnia uzyskałam połączenie. Marek zachrypiał w słuchawkę.

- Nareszcie, co u ciebie, co tam u ciebie? - powtarzał. - Jak dojechałaś?

- Dziękuję, a u ciebie?

- Bierzemy się z Karolem do roboty. Mówię ci, gigantyczne zamówienie. Plansze, wykresy, dwudziestopięciolecie zakładów „Fewa”. Pracujemy u niego, parter, rozumiesz, nie trzeba targać wszystkiego na górę.

- Kiedy skończycie?

- Dam ci znać, zadzwonię albo napiszę, Karol nie ma telefonu w pracowni.

- Źle mi bez ciebie...

- Mnie też nie jest dobrze, ale takie jest życie, trzeba się przyzwyczajać do rozstań.

- Ja nie chcę. Co ty mówisz, o Boże!

- Gdyby nie ta praca, rozumiesz...
- Tu jest okropnie, zimno, wilgotno...
- Ubieraj się ciepło, dbaj o siebie. - Powiedz jeszcze coś.
- Całuję, dobranoc. Jego głos brzmiał obco.

Zakład budził się wcześniej zgodnie z rytmem wyznaczonym od lat, apel, śniadanie, szkoła, warsztaty, krótkie przerwy wypełnione tupotem i wrzawą, ścisk w wąskich przejściach, smród papierosów. Bałam się wychodzić z pokoju, aby nie natknąć się na chłopców o płaskich, złych twarzach i obojętnych spojrzeniach. Przerzątał mnie ich chichot, uszczypliwe uwagi, dwuznaczność gestów, kiedy wchodziłam do klasy i wywoływałam jednego z nich, rozlegały się ciężkie westchnienia. Delikwent przeciągał się wstając, tarł oczy, ziewał i z bezczelnym uśmiechem ruszał za mną. W pokoju sam na sam z tym osobnikiem udającym obojętność, o oczach przebiegłych i chytrych, które z uporem obserwowały sikorki dziobiące słoninę za oknem, nabierałam powoli pewności siebie. Bawiąc się długopisem zadawałam pytania. - Czy miewasz bóle głowy lub inne dolegliwości?

- Nudzę się czasem.
- To nie jest dolegliwość, a sposób bycia.

Chyba nie zrozumiał, uśmiechnął się z wyższością i wzruszył ramionami.

- Czy łatwo zniechęcasz się do ludzi?
- Do ludzi? Nie.
- A do frajerów?
- Tych nie zauważam.
- Ale bijesz?
- Sami włożą pod rękę.
- Co cię w nich najbardziej denerwuje?
- Mokre ręce.
- Czy czujesz się skrzywdzony?
- Ja? Skąd?

- Jesteś przecież w zakładzie.  
- Zakłady też są dla ludzi.  
- Opowiedz swoje najprzyjemniejsze przeżycie.  
Opowiedz, z jakiego wydarzenia w twoim życiu najbardziej się cieszyłeś?

- Nigdy się nie cieszyłem, nie pamiętam - uciekał: wzrokiem do chmur.

- A jak byłeś dzieckiem? Przypomnij sobie!  
Jak dostałem bujanego konia, to się ucieszyłem.  
Całowałaś się z dziewczyną?

- Nie tylko.  
Nie było to dla ciebie przyjemne przeżycie? Nie za bardzo. Rozczarowałem się do dziewczyn i w ogóle. Myślałem, że to będzie tak jak w książkach, ale gdzie tam. Zwykła młócka - splunął na podłogę. - ' O przepraszam - starł ślinę czubkiem adidasa.

- Chyba się zgrywasz - zauważyłam z uśmiechem.  
Chłopak wzruszył ramionami i potarł kułakiem nos. Gest ten miał prawdopodobnie oznaczać, że i zgrywać się nie warto.

- Kim chciałbyś być w przyszłości?  
- Śmieciarzem.  
- Dlaczego?  
- Bo w śmieciach można znaleźć skarb.  
- Czytasz bardzo złe książki.  
- Bardzo możliwe, ale dobre mnie nudzą - ziewnął podkreślając w ten sposób swój stosunek do dobrej literatury, a może chodziło mu o rozmowę ze mną. Wyjrzałam przez okno. Wiatr chyżymi skokami przelatywał nad jeziorem i zmiatał cienką warstwę śniegu z połyskującej tafli.

Podaliśmy mu kwestionariusz, który zwrócił po chwili.

- Już to wypełniałem.  
- Gdzie?

- W poprzednim zakładzie.
- Nie szkodzi. Wypełnisz jeszcze raz.

Chłopak poczochnął się po głowie i ziewnął.

- Jak mus, to mus - westchnął i napisał u góry nazwisko, imię, datę urodzenia, klasę...

W miejscowej knajpie rozluźniło się nieco, ale intensywne zapachy mokrych ubrań, potu, wódki i piwa zostały. Kilku panów z orkiestry usiłowało przypomnieć z dość miernym skutkiem przebój sprzed lat: „Wszyscy święci idą do nieba”.

- Uciekła mi medytacja - stwierdził zbolalym głosem Jacek, bawiąc się ręką Bożeny. - Przyjechał facet z Indii i w tej chwili w Pałacu Kultury uczy ludzi, jak się to robi.

- Szkoda, że to akurat dziś - ożywiłam się. - Poszłabym z tobą.

- Ty? - z dziwnym uśmiechem zapytała Bożena.

- Tak, ja - potwierdziłam patrząc jej w oczy. Przed chwilą skończyłam pisać list, wsunęłam go do koperty i zakleiałam. W oczach Bożeny zadrgały szydercze błyski. Przysunęła się do Witka, wzięła go za rękę.

- Co byś zrobiła - uśmiechnęła się do niego, ale patrzyła na mnie - co byś zrobiła - powtórzyła z naciskiem - gdybyś się dowiedziała, że właśnie w tej chwili, gdy ty piszesz czułe listy i usychasz z tęsknoty, twój ukochany pławi się w rozkoszach cielesnych z jakąś blondyną?

- Pławi się konie w rzece. O Boże! Czego ja się czepiam, przepraszam - spojrzałam na nią w popłochu.

- Masz rację, tak mi się powiedziało, chodzi jednak o sedno sprawy, co byś zrobiła, gdybyś się dowiedziała, że on to robi?

- Nic.

- Nieprawda. Urządziłabyś mu awanturę z tłuczeniem talerzy.

- Po co pytasz, jak wiesz?

- Chciałam sprawdzić, czy jesteś szczerą.
- Trzeba było zapytać wprost. Nie jestem.
- Zwłaszcza w stosunku do mnie?
- Bardzo możliwe.
- Nie lubisz mnie?

Mówiliśmy o szczeroci, a nie o lubieniu.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.
- Nie muszę.
- Stara Maszkowska nie przestaje zachwycać się tobą - szybko zmieniła temat.

- O ile pamiętam, jeszcze nie tak dawno zachwycała się tobą i zachwycałaby się do dziś, gdybyś nie uwiodła jej męża.

- Och! - pokiwała głową i wcale się nie obraziła. - Dałam się nabrać na jego charme... Tak, dałam się nabrać - popatrzyła na Witka, a potem na Jacka. - On ma wdzięk, nie da się ukryć. Nie chodzi o to, że całuje w rękę, prawi dusery, wy to także robicie... Przy nim czułam się kobietą. Trudno to wytłumaczyć, ale tak było. Tak - patrzyła na Witka, a zwracała się przede wszystkim do Jacka - macie bicepsy, wąskie biodra i jesteście cholernie męscy, a jednak czegoś wam brak, może wiedzy o kobiecie albo zwyczajnej delikatności. No, dzieci - zmieniła ton z sentymentalnego na rzeczowy. - Wypijemy po jednym i do domu. Ja stawiam - potrząsnęła głową jakby odganiając od siebie złe myśli.

Witek ponurym wzrokiem wpatrywał się w biust bufetowej. Jacek, na którym gadanie Bożeny nie zrobiło żadnego wrażenia, przywołał kelnerkę. Zrobiło się cicho. Panowie z orkiestry zginęli za ciężką kotarą. Samotny mężczyzna w kącie sali popijał z olbrzymiego kufła i rozmawiał ze sobą.

- Ja im jeszcze pokażę! - krzyczał uderzając w stół. - Jeszcze przyjdą do mnie i będą skamleć, żebym wrócił, ale mam swój honor, nie wrócę, mowy nie ma.

- To nieszkodliwy wariat - wyjaśniła kelnerka. - Żona z teściową wyrzucają go z domu. Przychodzi tutaj po pracy i siedzi nieraz aż do zamknięcia. Nikt nie chce z nim rozmawiać, więc gada do siebie. Nieraz nic nawet nie pije, siedzi tylko i gada. Jak jest tłok, to zwalnia stolik, ale dzisiaj pustawo. Taki dzień, mecz w telewizji. Państwo nietutejsi? No tak. U nas to wszyscy siedzą przed telewizorami.

- A nie możecie tu wstawić telewizora? - uśmiechnął się Witek.

- Kierowniczka nie chce. Mówi, że musi w pracy odpocząć. Dość ma napięć w domu. Trudno jej się dziwić mąż na stanowisku, ugania się za kobietami. Tak, to tak. Trzy wódki czy cztery? - Trzy - odrzekł pośpiesznie Jacek. - Kolega nie

pije.

- Chory? - pokiwała głową ze współczuciem. -

Taki młody i chory. Serce czy wątroba?

- Serce - odparł Witek z powagą. - A co z orkiestrą? Już nic nie zagrają?

- Oglądają mecz u sierżantowej na górze. Jak będzie przerwa - spojrzała na zegarek - za siedemnaście minut, to zagrają. Jeżeli panowie życzą sobie coś ekstra, to za dwie setki.

Witek podziękował za informację.

- Powiedziałaś, że dałaś się nabrać na jego wdzięk. Dlaczego? - zwróciłam się do Bożeny.

- Jesteś nieznośna z tą swoją dociekliwością. Zostawił mnie... Dlatego! Nie chciał odejść od żony. Kretyn! Idiota!

- Widocznie należy do ginącego gatunku ludzi odpowiedzialnych.

- Odpowiedzialność! - prychnęła Bożena. - W stosunku do niej? To za mało. Człowiek odpowiedzialny tak się nie zachowuje.



- Przeczysz sama sobie - odezwał się Jacek. - Człowiek wychwalany przed chwilą okazuje się nagle człowiekiem nieodpowiedzialnym. Ty go po prostu jeszcze kochasz.

- Jak można kochać faceta, który mógłby być twoim ojcem? - zaczęłam się oburzać.

Wiesz co? - Bożena popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami. - Pilnuj lepiej swojego artysty i nie wtrącaj się w cudze sprawy.

- Masz rację - zgodziłam się z nią. - No, co z ta wódką?

Witek przysłuchujący się dotąd w milczeniu rozmowie spojrział na mnie z zaciekawieniem.

- Zdenerwowałaś się jednak - powiedział.

- Ja? Raczej Bożena.

- Nie okłamujmy się. Obie jesteśmy porządnie zdenerwowane. Do diabła z wódką. Idziemy! - Bożena dźwignęła się z krzesła.

- Czym tu się denerwować? - zdziwił się Jacek. - Nic się przecież nie stało.

- Nic, no pewnie - ofuknęła go ostro Bożena. - Żeby ciebie wyprowadzić z równowagi, potrzeba trzęsienia ziemi. Chcesz? To będziesz je miał.

- Wyjdiesz za mnie?

- Bardzo możliwe.

W tym momencie zjawiała się kelnerka z wódką.

- Wasze zdrowie! - Bożena wzięła kieliszek i nie patrząc na nikogo wlała go sobie do ust, ja wzdrygając się wypłam, Jacek nawet się nie skrzywił, Bożena grzebała w torebce szukając portmonetki, chciała zapłacić, Witek odsunął łagodnie jej rękę i wcisnął pieniądze kelnerce.

Bożena nie patrząc na nikogo podniosła się i ruszyła do wyjścia. Pobiegłam za nią, wzięłam ją pod rękę. Niespodziewanie przytuliliśmy się. I szliśmy tak przez ciemne uliczki, bez słowa, przekopując się przez mokry śnieg.

Powiedziałyśmy sobie za dużo i nie mogłyśmy już tego odwołać. Żałowałam swych pytań i coraz mocniej tuliłam się do niej.

Na korytarzu popatrzyłyśmy na siebie przyjaźnie.

- Bardzo cię lubię - powiedziała Bożena. Pocałowałam ją na dobranoc.

Czternastego dnia po naradzie zaczęłam szykować się do wyjazdu, oni zresztą też. Wieczorem zebraliśmy się u Bożeny w pokoju na pożegnalną herbatkę. Padał deszcz i nastrój nie był najlepszy. Bożena udawała wesołą, śmiała się hałaśliwie z dowcipów Jacka, który ścisnął ją na naszych oczach. Witek deklamował Wierzyńskiego i uśmiechał się do mnie, a gdy Jacek wyszedł po piwo, przysiadł się do Bożeny i też zaczął ją obściskiwac. Bożena mruczała jak kot poddając się biernie jego pieścizotom. W pewnej chwili ręka Witka zsunęła się pokonując przeszkodę w postaci guzika, zniknęła we wgłębieniu pod swetrem. Bożena poruszyła się i przyciągnęła Witka do siebie.

- Kocham cię - szepnęła mu do ucha. Usłyszałam jej szept, chociaż siedziałam na drugim łóżku i czytałam.

- Zgaś górne światło - zwróciła się do mnie.

Wstałam posłusznie jak automat i przekręciłam kontakt. Niewielka lampka z papierowym abażurem wtulona pomiędzy okna rzucała krąg światła na łóżko Bożeny oświetlając jej głowę i piersi z ręką Witka wciśniętą pod materiał. Zgasila tę lampkę.

- Kocham cię - usłyszałam szept Witka. Wstałam i przesunęłam się do wyjścia. W drzwiach zderzyłam się z Jackiem, który właśnie wrócił z piwem.

- Co tak ciemno? - zawołał i zapalił światło. Ręka Bożeny opadła na koc. Witek szybko odsunął się od niej.

Jacek opróżnił kieszenie z butelek i usiadł obok Witka na łóżku.

- Znacie dowcip o chłopie i księdzu? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Bożena. - Bądź tak dobry i otwórz butelkę. Chce mi się pić.

Jacek podał i mnie szklankę piwa, chociaż się wzbraniałam.

- Potraktuj to jako środek nasenny - powiedział. - Słyszałem, że źle sypiasz.

Zacząłam zaprzeczać z uporem, powtarzać: „śpię bardzo dobrze, tak, tak”. Wzięłam jednak szklankę i wypiliśmy.

Gdy wychodziłam, Jacek zgasił światło. Nie mam pojęcia, co się dalej działo. Gdzieś koło jedenastej usłyszałam pukanie do moich drzwi. Nie odezwałam się, udawałam, że śpię.

Jazda wbrew naszym oczekiwaniom nie była łatwa. Padał śnieg, tworząc na drodze ruchome zaspę. To cud, że udało się nam dotrzeć do Warszawy przed nocą. Wprawdzie w oknach zapalały się już pierwsze światła, ale było jeszcze dość widno. Bez pośpiechu wchodziłam na górę. O swoim powrocie powiadomiłam Marka, byłam więc pewna, że zastanę go w domu. Nacisnęłam dzwonek i czekałam sposobnie na powitanie.

Marek nie otwierał, pchnęłam więc drzwi i weszłam. W pracowni panował półmrok. Marek stał oparty plecami o stół i patrzył na mnie niewidzącymi oczami.

- Dlaczego siedzisz po ciemku? - nacisnęłam kontakt.

Marek pod wpływem światła skulił się i przymknął oczy. Rzuciłam się w jego stronę i zamarłam w półmroku. Dopiero po dłuższej chwili, gdy oczy przywykły do światła, dostrzegłam zmiany w jego wyglądzie, brudną koszulę wystającą spod swetra, zarost na brodzie, podpuchnięte oczy, fioletowe plamy na powiekach.

Na stole stała otwarta butelka wódki, puszka rybnych konserw, dwie popielniczki pełne niedopałków.

- Pomóż mi się rozebrać - powiedziałam głosem pełnym wyrozumiałości i bardzo powoli wysuptywałam się z kożucha chcąc zyskać na czasie i zorientować się w sytuacji.

Marek rzucił się ku mnie i w gorączkowym pośpiechu spełnił mą prośbę.

Gdy wrócił z przedpokoju, siedziałam przy stole i paliłam papierosa. Usiadł z dala ode mnie, w cieniu sztalug. Siadając potrącił szklankę i nie zauważył, jak woda spłynęła ze stołu.

- Napijesz się? - zapytał sięgając po butelkę.

- Nie.

Zmieszał wódkę z wodą mineralną i wypił.

- Może coca - coli? Jest w lodówce - poderwał się i ze szklanką w ręku chciał biec do kuchni, ale ja byłam tam pierwsza.

Zastałam względny porządek: umyte naczynia, talerze i szklanki na suszarce, obok kubła na śmieci naliczyłam pięć butelek po żytniówce, sześć po coca - coli, jedną po białym winie, w lodówce były jakieś zapasy, puszki, ser, masło, jajka i dużo butelek coca - coli, w szafce kawa, mięta, herbata, żadnych nadzwyczajności, wszystko na swoim miejscu. Zrobiłam parę kanapek z serem i z otwartą butelką coli wróciłam do pracowni. Marek siedział skulony na brzeżku krzesła i pił wódkę ze szklanki. Odstawiłam na moment talerz i zajrzałam do sypialni. Ciągle miałam nadzieję, że trafię na ślad czyjejś bytności, że znajdę jakiś „znak” w szafie, na ścianie, w kuchni albo w łazience. Ale nic nie znalazłam. Na stoliku przy tapczanie, na stercie czasopism leżały moje listy w zaklejonych kopertach, dwie nowe książki, pilnik do paznokci, ołówek. Wróciłam do pracowni i zaczęłam jeść chleb z serem. Marek pił wódkę rozcieńczoną wodą i popatrywał na mnie z wyraźnym przestrawem.

Zadzwoił telefon.

Marek podskoczył na krzesło, szybkim ruchem przechylił się do przodu, sięgnął po butelkę i dolał sobie wódki.

- Może jednak? - zwrócił się do mnie.

Podsunęłam mu szklankę.

Telefon wciąż dzwonił.

- Dlaczego nie odbierasz? - spytałam. Wzruszył ramionami i pochylił się nad szklanką. Wstałam raptownie i jednym rzutem skoczyłam do przedpokoju. Marek chciał mi przeszkodzić, nie zdążył, znowu przewrócił szklankę.

- Halo! - krzyknęłam do słuchawki. - Halo! Słucham! - powtórzyłam głośniej.

Nikt się nie odezwał.

Odwróciłam się od telefonu chcąc pochwycić wyraz jego twarzy. Nie udało mi się, uciekł w bezpieczną strefę cienia, za to ze sztalug patrzyły na mnie smutne oczy matki z zielonymi cieniami na powiekach, zarys twarzy niewyraźny, dwie seledynowe kropki zamiast nosa, i cienie, pełno zielonych cieni na szyi, na brodzie, lekko rozchylone wargi ukazywały nieskazitelną biel zębów.

Przyglądałam się portretowi z niedowierzaniem. To był ktoś obcy o twarzy matki, ktoś złamany cierpieniem i wzbudzający litość. Takiej matki nie znałam. Usiadłam tyłem do portretu, sięgnęłam po nadgryzioną kanapkę z serem i zaczęłam jeść.

- Dobry ten ser - stwierdziłam biorąc do ręki następny kawałek chleba. - Gdzie go kupiłeś?

Obrzucił mnie niespokojnym spojrzeniem.

- W sklepie na dole - odpowiedział cicho.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem.

- Szkoda, bo dobry.

- Jeżeli tak ci na tym zależy, pójdę i zapytam.

- Nie trzeba, a zresztą idź!

- Ty chyba oszalałaś? - zerwał się i podszedł do okna. - W tej sytuacji kazać mi iść pytać, jak się nazywa ser.

- W jakiej sytuacji? - zapytałam suchym głosem matki.

- Powinnaś się domyślić!

- Nie wymagaj ode mnie za wiele. Nigdy nie byłam zbyt inteligentna.

Zbliżył się do stołu i nie patrząc na mnie zaczął mówić.

- Słuchaj! Od pierwszej chwili, kiedy tu weszłaś, chciałem ci to powiedzieć, a ty wszystko komplikujesz. Nie dajesz mi dojść do słowa. - Ależ mów! Proszę - zrobiłam przyzwalający gest.

- Wyprowadzam się z domu - wyszeptał nie odrywając oczu od stołu.

- Dlaczego?

Milczał, więc starałam się przy pomocy pytań wyciągnąć coś od niego.

- Masz kogoś? - spytałam.

- Nie, to nie to.

- A co?

- Muszę być sam.

- Tak się tylko mówi. Jasne. Dokąd się chcesz wyprowadzić?

- Na razie do Karola.

- A potem?

- Nie wiem.

- Będzie o wiele prościej, jeżeli wyprowadzę się ja. Mam przecież mieszkanie. Dobrze, że chorowałam, w innym wypadku wynajęłabym je i byłby problem.

- A co z Francuzami?

- Wyjechali. Nie mówiłam ci o tym?

- Nie pamiętam.

- Chyba mówiłam. Wyjechali przed świętami - przeciągnęłam się wyprostowując ramiona. - Zmęczyła mnie

jazda, okropnie ślisko i zaspły. A śnieg ciągle pada. Nie wiesz, gdzie są moje welwetowe spodnie? Zmarzłam w tych dzinsach.

- W szafie.

- Ach tak - zajrzałam do przedpokoju. - Zabiorę magnetofon. Nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ proszę bardzo.

- I książki?

- Oczywiście. Zabierz też futrzak, pościel i dywan. Może chcesz obraz? Jeden z twoich portretów?

- Nie chcę wlec ze sobą żadnego bagażu, wspomnień też nie - dodałam łamiącym się głosem.

Nie dogałam do końca tej sceny, odwróciłam się, wyszłam do pokoju i tam się rozplakałam. Płacząc wyciągałam z szafy jakieś bluzki, letnie sukienki, swetry, niepotrzebne spódnice i wrzucałam je do walizki, cały czas myślałam o tym, żeby nie wyjść z formy, nie pokazać mu prawdziwej twarzy, nadrabiać miną i trzymać się, trzymać.

- Kiedy ona tu była? - spytałam przez drzwi.

- Kto? - przeraził się Marek.

- Matka.

- Nie było jej tu - odparł z ulgą w głosie.

- To jakim cudem namalowałaś jej portret?

- Ze zdjęcia.

- Pokaż to zdjęcie?

- Nie mam. Odesłałam jej.

- Dlaczego kłamiesz i to w takiej chwili?

- Mówię prawdę.

- Przypuśćmy.

- Dlaczego ty mi nie wierzysz?

- Nie wiem. Może i wierzę, jakie to ma w końcu znaczenie?

- Dla mnie ogromne.

- Więc wierzę.
- Pomóc ci przy pakowaniu?
- Dziękuję. Już skończyłam.

Nie było łez, ale skurcz całego ciała, porażenie mięśni i nerwów. Zamykając walizkę spojrzałam w okno. Dachy domów przyprószone gdzieś śniegiem szarzały w mroku. Ręce odmawiały mi posłuszeństwa, zamek przy walizce się zaciął, nie mogłam przesunąć ani do tyłu, ani do przodu, musiałam poprosić Marka o pomoc, przybiegł natychmiast. Przycupnęłam na tapczanie i patrzyłam, jak mocował się z zamkiem i nie mógł sobie z nim poradzić, wreszcie wyjął moje rzeczy i zaczął je układać z powrotem, niezbyt porządnie i bez żadnego planu. Udało mu się w końcu zaciągnąć zamek, podniósł walizkę i postawił przy drzwiach.

- Co jeszcze zrobić?
- Herbaty.

Zwlekałam z odejściem, mimo że chciałam jak najszybciej znaleźć się na Stegnach, na swojej ulicy, której nazwy nie mogłam sobie przypomnieć.

- Z cytryną czy bez?
- Bez.
- A może chcesz kieliszek rumu?
- Może, nie, nie. Muszę jechać.
- Nie musisz. Możesz tu zostać. Pojadę do Karola.

- Jesteś skurwysyn! Do tego idiota! - coś we mnie pękło. Nie miałam ochoty zachowywać się godnie. Krzyczałam. - Nie chcę herbaty ani rumu, nie chcę cię więcej widzieć! Gdzie są klucze? Podaj mi kozuch!

Wybiegł do przedpokoju z czajniczkiem do parzenia herbaty. Ręce mu drżały, rozlewał esencję.

- Klucze! Klucze! - pobiegł z czajniczkiem do pracowni i szukał gorączkowo w szufladach. - Są - zawołał radośnie i nie rozstając się z czajniczkiem ani na chwilę wrócił do



przedpokoju, podał mi klucze i sięgnął po kozuch trzymając wciąż w ręku czajniczek.

- Czyżbyś miał zamiar oblać mnie wrzątkiem? - skrzywiłam się w uśmiechu.

- O Boże! - strzelił się dłonią w czoło i odniósł wreszcie czajniczek do kuchni.

Podając mi kozuch, próbował pocałować mnie gdzieś za uszami, odskoczyłam od niego jak oparzona, podeszłam do lustra i bez żadnej potrzeby zaczęłam pudrować nos.

- Odprowadzę cię - narzucił na siebie kurtkę i szukał butów.

- Nie! - powstrzymałam go ostro. - Nie trzeba. Mam nadzieję, że się nigdy nie spotkamy. Cześć! Czuwaj! - nie podałam mu ręki. - Nie dzwoń do mnie. Nigdy i pod żadnym pozorem - trzasnęłam drzwiami.

Jednak wybiegł za mną na schody i przechylony przez poręcz mówił bełkotliwie banały rodem z filmu, który kiedyś widzieliśmy razem. Utkwiła mi w pamięci twarz aktorki zalana łzami, kiedy schodziła z walizką po schodach chwiejąc się i potykając o stopnie, a mężczyzna, tak jak on teraz, stał w drzwiach na którymś tam piętrze i salwował się słowami, ale nie dogonił jej i nie zatrzymał.

Zanim przekręciłam kluczyk w stacyjce, spojrzałam do góry, w oknie na V piętrze zarzył się papieros, twarz Marka pokrywał mrok, czekałam sądząc, że zbiegnie na dół, pomoże mi wyjść z samochodu i zaprowadzi z powrotem na górę. Niestety, papieros zgasł, jego twarz rozmyła się w mroku. W pustym oknie wiatr poruszał firanką. Nacisnęłam sprzęgło i ruszyłam. Jechałam dość wolno trzymając się krawężnika, nadal nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywa ta ulica na Stegnach, na której miałam zamieszkać... Strunowa, Smyczkowa, Skrzypkowa. Nie pamiętałam. Przestało mnie to w końcu obchodzić. Wjechałam na chodnik i zahamowałam.

Nie mogłam jechać dalej, płakałam i trwało to długo. Nie wiem, skąd brały się łzy. Zagubiło się gdzieś poczucie czasu, nic mnie nie obchodził Ósrodek ani listy do tygodnika „Młodość”. Wszystko straciło sens, myślałam, że nie przeżyję tej nocy, nie miałam po prostu siły. Jutro było odległe i nie obiecywało niczego prócz cierpienia i bólu. Nie warto było czekać. Znowu te myśli, ruszyć przed siebie, nacisnąć gaz, nabrać rozpędu i uderzyć w latarnię. Śmierć na miejscu! Gdybym miała tę pewność! Śmierć, a nie kalectwo.

I naraz oślepiające światło prosto w oczy. Przechyliłam się do tyłu i zobaczyłam dwóch milicjantów, coś do mnie mówili, zadawali mi jakieś pytania, których nie rozumiałam. Odkręciłam szybę i podałam im dokumenty.

Jeden z milicjantów wsunął głowę do środka, znów coś powiedział podnosząc głos, potrząsał mną, a gdy nie zareagowałam, zrezygnowany podszedł do kolegi i coś mu tłumaczył. Z natłoku słów wychwyciłam jedno: „Pogotowie”.

- Pojadę do domu - wychyliłam się przez okienko.

- W takim stanie nie może pani prowadzić. Naradzali się szeptem.

- Odwieziemy panią - zdecydował starszy rangą, sierżant czy plutonowy. Poprosili o adres.

- Paganiniego 8 - przypomniałam sobie bez trudu.

- To na Stegnach?

- Tak.

Zwolniłam miejsce za kierownicą dla milicjanta starszego rangą, drugi usadowił się z tyłu. Dochodziła dwunasta. Ruch na ulicach ustawał. Zaczęłam się zastanawiać, co robi Marek: wsuwa się pod kołdrę, zapomniał o telefonie, przenosi go z przedpokoju, ustawia przy tapczanie i włącza, jeszcze wraca do pracowni po papier i ołówek, lubi je mieć pod ręką. Gasi światło. Nie może czytać, wypił za dużo i bołą go oczy. Nie zadzwoni do niej, chociaż powinien, waha się przez moment,

znowu zapala światło i wykręca numer kierunkowy do Lublina, nie, dzwoni do Alicji, żeby powiedzieć dobranoc.

Samochód zatrzymał się przed ścianą wysokościowca wyłożoną liliowobrazowym lastrykiem.

- Proszę pani! - milicjant potrząsał mnie za ramię.

- Tak, to tu - potwierdziłam. - Mieszkam na X piętrze.

Milicjanci bez pośpiechu wysunęli się z wozu.

- Odprowadzimy panią na górę - zaproponował ten z jedną belką.

- Nie trzeba. Dziękuję - usiłowałam się uśmiechnąć.

- A jednak - zaproponował starszy rangą. - Wygląda pani na ciężko chorą.

- Nic mi nie jest, naprawdę, dziękuję.

Na wszelki wypadek zapisali nazwisko i numer telefonu.

- Mieszka pani sama?

- Nie. Z mężem.

- Jest w domu?

- Nie wiem. Wracam z wczasów. Wysłałam telegram.

Uśmiechnęli się ze zrozumieniem i zasalutowali. Kiedy sięgnęłam po walizkę, odeszli w łoskocie własnych kroków.

Mieszkanie na Paganiniego było sprzątnięte. W lodówce znalazłam jakieś puszki, masło, trochę sera. Ktoś jednak tu był, matka albo on, trudno ustalić, oboje mieli klucze.

Matka! Odstawiłam walizkę i wykręciłam numer kierunkowy do Lublina. Z szumów i trzasków wyłowiłam ledwie uchwytny sygnał centrali, jakby w splątanej sieci kabli powstała nagle wyrwa. Wykręciłam dwie cyfry i odłożyłam słuchawkę. Nie miałam jej nic do powiedzenia. Chciałam jednak z kimś porozmawiać. Witek odpadał, zrozumie to jednoznacznie, jako zachętę. Nie mogłam więc dzwonić do niego, do Bożeny też nie, u niej w domu chodzi się wcześniej spać. O tobie nie pomyślałam, nie wiedziałam, że jesteś w Warszawie. Gdybyś nie przyszła do szpitala sądziłabym, że

wyjechałaś. Nie pozostawało mi nic innego tylko wykąpać się i wziąć proszek nasenny.

W chwili gdy nachylałam się nad wanną, żeby odkręcić kran, rozległ się dzwonek, zdawało mi się, że to do drzwi. Wybiegłam do przedpokoju.

- Kto tam? - przylgnęłam okiem do wizjera. - Kto? - powtórzyłam głośniej.

Na korytarzu nikogo nie było. Dzwonek wciąż dzwonił. Zdyszana wpadłam do pokoju, chwyciłam słuchawkę i zamarłam słysząc głos Marka.

- Gdzie ty się podziewasz? Dzwonię od dwóch godzin. Myślałem, że ci się coś stało.

- Mówiłam, żebyś do mnie nie dzwonił - rzuciłam słuchawkę.

Po relanium udało mi się zasnąć i spałam twardo snem bez majaczeń i zwidów. Gdzieś koło dziewiątej zerwałam się przerażona, że zasnęłam, a tu tyle spraw nie cierpiących zwłoki. Zaczęłam od kawy, piłam ją krzywiąc się z obrzydzenia, kawa była zwietrzała, grubo zmielona i pachniała stęchlizną, żadnego porównania z tą, którą parzył Marek.

- Och! Nie ma czego żałować - powiedziałam głośno. - Kupię ekspres i młynek do kawy. O Boże! mówię do siebie - pobiegłam do lustra. - No tak - mówiłam dalej nie bacząc na odruch zdumienia wywołany tym faktem. - Oczy wariatki, ciemne od wilgoci, włosy potargane, napięte mięśnie, zaciśnięte usta. Więc jak to jest!? - krzyczałam do lustra - zmysły obumierają, źrenice przestają reagować na światło, człowiek nie słyszy ani wyznań miłosnych, ani słów Potępienia, ani IX Patetycznej, a jednak widzi więcej i więcej czuje. Nie! Jeszcze nie zwariowałam! Widzę przecież niebo przesłonięte ruchomą watą chmur, ramię dźwigu z prawej strony, bliźniaczo podobne do siebie bryły bloków mieszkalnych nowego osiedla, zminiaturyzowaną sylwetkę

kobiety, która zmagając się z wiatrem przesuwa się między tymi blokami, przy niej podskakuje pies, nie większy od muchy. Więc widzę i słyszę - włączyłam radio. - „Dzisiaj gościmy w studio pana inżyniera Stefczuka, który ma pod swoją opieką część Parku Białowieskiego. Panie inżynierze, może nam pan powie, jakie zwierzęta mają w puszczy liczebną przewagę...”

- W porządku, w porządku - nie przestawałam mówić - teraz kąpiel, makijaż bardzo staranny, żadnego niechlujstwa w ubraniu, czysta bluzka, sweter, welwetowe spodnie. Jest zimno, minus dwa, nie tak strasznie, wiatr ze wschodu wciska się przez nieszczelne okna, nie rozgrzała mnie nawet kąpiel, wczoraj przemarzłam siedząc w samochodzie, gdyby nie milicjanci, zamarzałabym na śmierć.

Napisałam do matki kilka słów: „Wyprowadziłam się od Marka. Mieszkam u siebie. Niedawno wróciłam z Baniewa. Bardzo możliwe, że pojedę tam znowu. Serdecznie pozdrawiam”.

Po napisaniu tego listu wiedziałam już, że się nie załamie. Trzeba trzymać się konkretów - mówiłam - sprzątać, zmywać, pisać, robić na drutach, jeszcze dziś kupię włóczkę, przywiozę maszynę do pisania, włączę się w prace Ośrodka, doprowadzę do porządku mieszkanie.

Rzeczowość, konkrety - powtarzałam pisząc ogłoszenie do „Życia Warszawy”.

Lista spraw do załatwienia urwała się na tym ogłoszeniu. Zawiozłam je zaraz na Marszałkowską. Okazało się, że nie mam już nic do roboty i ogarnęło mnie przerażenie. Mimo że miałam dzień wolny, pojechało Ośrodka z paczką ankiet z Baniewa. Chciałam porozmawiać z Bożeną, ale jej nie zastałam.

Co ty tu robisz? - zdziwił się Witek. Pisał coś w pośpiechu.

- Przyniosłam ankiety.  
- Masz przecież wolne.  
- Co z tego? - wzruszyłam ramionami. - W samochodzie zostały jeszcze testy, zaraz je przyniosę.

Nie ruszył się, żeby mi pomóc. Dopiero gdy wniosłam do pokoju dwie paczki, zaczął się sumitować.

- Czemu nie powiedziałaś, żeby ci pomóc?  
- Widocznie nie potrzebo wałam pomocy.  
- Co się stało? Jesteś nie w humorze?  
- Mój humor nie ma tu nic do rzeczy. Przyszłam z propozycją. Interesuje mnie końcowy etap badań w Baniewie. Kiedy planujesz wyjazd? Chciałabym pojechać.

- Ty? - nie mógł ukryć zdziwienia. - Czemu nie? Możesz jechać, jak tylko wydrukują nam testy wiadomości.

- Dziękuję.  
- A tu jest spis książek - pochylił się nad otwartą szufladą  
- które należy przedtem przeczytać.

Przerwał pisanie i patrzył na mnie z uwagą.

- Może byś poszła wieczorem do kina?  
- Nie, nie - cofnęłam się do okna, jakby w jego propozycji było coś niestosownego. - Nie mogę - odparłam.  
- Szkoda - westchnął Witek, podniósł się zza biurka i długo ścisnął mi rękę.

Próbowałam uśmiechnąć się, ale wyszedł z tego ściśnięty grymas, drgnął mi podbródek. Zasłoniłam usta ręką i wyszłam. Witek chyba niczego nie zauważył.

Na korytarzu, gdy usiłowałam zapalić papierosa, trzęsły mi się ręce, zapalki wypadły na podłogę. Podeszłam do automatu, wykręciłam numer i odwiesiłam słuchawkę. Nie miałam siły z nim rozmawiać. W bibliotece zbierało mi się na mdłości, nie otworzyłam nawet książki, którą polecił Witek. Postanowienia poczynione rano okazały się niemożliwe do zrealizowania. Nie byłam w stanie nic zrobić. „Rzeczowość,

konkrety" - uśmiechnęłam się i oddałam książkę, znowu zbliżyłam się do automatu. Po kilku dzwonekach, gdy chciałam odwiesić słuchawkę, usłyszałam jego zmęczony głos.

- Dzień dobry - powiedziałam całkiem zwyczajnie - chciałam przyjechać po rzeczy.

- Kiedy?

- Zaraz.

- Nie możesz tego odłożyć do jutra?

- Nie. Potrzebna mi maszyna do pisania. Wyjdź z domu. Spakuję się sama. Klucze odeślę ci pocztą. Magnetofon możesz sobie zatrzymać. Nie będzie mi potrzebny. Wyjeżdżam.

- Dokąd?

- Do Grecji.

- O tej porze roku? Czy ty dobrze się czujesz? Może byłoby lepiej, gdybym zaczekał na ciebie i pomógł ci znieść rzeczy do samochodu? To piąte piętro.

- Dziękuję. Nie trzeba.

Gdy odwiesiłam słuchawkę, znowu chwyciły mnie mdłości. - To z głodu - skonstatowałam z ulgą. Przypomniałam sobie, że oprócz kawy nie miałam nic w ustach. Wypiłam więc następną w barku obok i zjadłam dwa ciastka. Jedzenie nie sprawiało mi przykrości, wręcz przeciwnie, ciastka były bardzo smaczne.

Wieczorem zamiast pójść z Witkiem do kina układałam w szafie swetry, bieliznę, wieszałam ubrania, jedynie z książkami nie mogłam sobie poradzić i zostawiłam je w paczkach na podłodze. Zresztą niewiele ich było. Miałam zamiar kupić regał albo półki w Cepelii i zrobić porządek. W niedzielnym „Życiu” miało się ukazać moje ogłoszenie: „Simmler - salonik, szafę biblioteczną, komodę i serwantkę sprzedam”. Chciałam się pozbyć tych gratów, do których wzdychają wszyscy snobi, urządzić mieszkanie po swojemu, a

resztę pieniędzy przeznaczyć na wycieczkę do Grecji. - Z czasem wszystko wróci do normy - powiedziałam głośno podchodząc do lustra i zaraz zaprzeczyłam. - Głupie gadanie! Nic nie wróci, żadna norma nie istnieje. Z głośnych rozważań wyrwał mnie dzwonek do drzwi.

- To on.

Biegłam potykając się o walizki.

- Ach! To ty? - odwróciłam się od Bożeny starając się ukryć rozczarowanie.

- Czekaaś na kogoś?

- Nie, nie - podniosłam ręce do twarzy, z których każda ważyła sto kilo.

- Bolą cię zęby?

- Nie. Skąd?

- Jesteś sama? - Bożena rozejrzała się niespokojnie.

- Sama. Dlaczego pytasz?

- Słyszałam, jak rozmawiałaś.

- Dzwoniłam do matki.

- Ach tak? - uspokoiła się. - Bałam się, że mówisz do siebie.

- To mi się też zdarza. Często mówię do siebie - odpowiedziałam z powagą, ale Bożena potraktowała to jako żart.

- Słuchaj! Mam kłopoty - zaczęła bez wstępów. - Musisz mi pomóc.

- Dlaczego ja?

- Bo ty też masz kłopoty.

- Ja? Nie.

- To jeszcze lepiej.

- Proszę, wejdź do pokoju i siadaj! Czego się napijesz? Zaraz zobaczę, co mam. Może być wódka z colą?

- Wszystko jedno - odpowiedziała ospale. Wtulona w fotelssała papierosa, ale go nie paliła.



Postawiłam przed nią wódkę i colę.

- Od kiedy ty palisz? - zdumiałam się.

- Nie palę. Bawię się papierosem. Czy ci to przeszkadza?  
- spytała zaczepnie.

- Nie. Ale skoro przez tyle lat nie wpadłaś w nałóg, nie powinnaś zaczynać.

- Widzisz, ja z tym skończyłam. Paliłam dwa lata jako bardzo młoda dziewczyna, raczej podłotek, ale oficjalnie, bez krycia się po kątach. Nie lubię nic robić w ukryciu.

- Nie musisz mówić, wiem.

- Masz mi to za złe?

- Jeżeli nawet miałam, chociaż tego nie jestem pewna, to teraz już nie.

Bożena naląła sobie wódki i zmieszała ją z coca - colą, ale nie piła, wystarczał jej papieros, paliła spokojnie kontrolując każdy swój ruch.

- Dzwoniłam do twojego męża - odezwała się po chwili.

Chyba zbladłam, ale tego nie wiem, pamiętam, że napiłam się wódki, zgmiotłam papierosa, którego nie zdążyłam wypalić, i sięgnęłam po następnego do paczki.

- Rozeszliście się?

- Nie.

- Telefon odebrała jakaś kobieta. Myślałam, że to ty. „Joanna?” - spytałam. Kazała mi poczekać i zawołała twojego męża. Od niego dostałam ten adres. Co to za dziewczyna?

- Modelka.

- Ładna?

- Czy ja wiem? Brunetka po czterdziestce, uczesana a la Liza Minelli, dobrze zbudowana.

- Po czterdziestce? - zdziwiła się Bożena. - Zawsze myślałam, że modelki są młode? - On nie lubi młodych. Mówi, że mają twarze bez wyrazu...

- Ale mają ciało - przerwała śmiejąc się. - Popatrz na mnie. Czy jakaś czterdziestolatka może ze mną konkurować?

- Konkurowała pięćdziesięciolatka i wygrała.

- Ale z jakich powodów? Wzięła go na litość?

- Co tam powody! Ważne są fakty. Wygrała.

- Kochał mnie, zrozum - uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - I mówił o tym, a tego nikt już prawie nie robi, mówił, że myśli o mnie bez przerwy, że tęskni, widywaliśmy się codziennie. Odmłodził przy mnie, śmiał się jak młody chłopiec. A teraz chodzi zgarbiony, wygląda jak starzec, a ma dopiero 55 lat. Spotkałam ich oboje na Nowym Świecie. Maszkowska w karakułach i on z jej torebką na rękę, wyobrażasz sobie? Torebka z metalowym zamkiem, staroświecka,, niemodna, z okuciami po brzegach. Pęknać można ze śmiechu.

- Ty go jeszcze kochasz? - spytałam.

- Już nie. Wyleczyła mnie ta torebka. Wyglądał śmiesznie. I tego mu nie mogę wybaczyć. Taki facet jak on nie powinien śmiesznie wyglądać.

- Nie powinien - powtórzyłam machinalnie. Bożena piła wódkę wybuchając co chwila krótkim śmiechem, nagle odstawiła szklanę, jakby zmęczona tym śmiechem i piciem.

- Potrzebuję forsy - powiedziała odwrócona twarzą do okna.

- Ile?

- Dwa tysiące, gdybyś mogła...

- Ależ oczywiście - wstałam raptownie, prawie nie piłam, a jednak zakręciło mi się w głowie. - Otwórz okno! Strasznie nadymiałam - trzymając się ściany wyszłam do przedpokoju po torebkę, wyjęłam pieniądze. - Może chcesz więcej?

- Nie, dziękuję, wystarczy. Nie wiem, kiedy będę mogła ci oddać.

- Nie musisz się śpieszyć, spodziewam się grubszej forsy.  
- To dobrze, bo moja sytuacja finansowa...  
- Nie ma o czym mówić.  
- To jeszcze nie wszystko - dołała sobie wódki. - W piątek mam być u lekarza, po to forsa. Chciałabym, żebyś pojechała ze mną. Trochę się boję.  
- Pojadę, oczywiście. Co za problem?  
- Właśnie jest problem. Moja matka nic o tym nie wie i nie chcę, żeby wiedziała. Jest wierząca. Rozumiesz? Dlatego nie mogę wrócić po zabiegu do domu.  
- Przywiozę cię tutaj. Możesz zostać tak długo, jak długo będziesz chciała.  
- Och! Jesteś cudowna! - Bożena oplótła mnie ciepłym ramieniem, pocałowała.  
Siedziałam bez ruchu w pozie myślącego Buddy.  
- Źle się czujesz? - zaniepokoiła się.  
- Nie.  
- Chwilami odnoszę wrażenie, że mówię do ściany.  
- Przecież ci odpowiadam.  
- Tak, ale jesteś nieobecna. Zmieniłaś się od powrotu z Baniewa.  
- Nieprawda. Zawsze taka byłam.  
- Chcesz, żebym sobie poszła?  
- Zostań. Zjemy razem kolację. Otworzymy jakąś puszkę albo usmażymy jajecznicę.  
- Ja się tym zajmę, lubię gotować.  
Zostałam w tej samej pozie: nogi podwinęte pod siebie, w rękę papieros. Z kuchni dochodził stłumiony głos radia, nadawali ostatnie przeboje. Powtarzałam słowa dziwiąc się, skąd je znam. Czułam jakąś podwójność w tym, co się działo, jakbym traciła kontakt z rzeczywistością: w tym samym czasie chodziłam uliczkami Starego Miasta, które przypominały labirynt ze snu i siedziałam w fotelu patrząc na siebie z

pewnego oddalenia, widziałam każdy swój ruch, a nawet drgnienie powiek, ciemne niebo za oknem i księżyc zawieszony między chmurami.

- Dlaczego siedzisz po ciemku? - Bożena pojawiła się w drzwiach i zapaliła światło. - Trzeba jeść, póki gorące - rozstawiła talerze.

- Nie przeszkadza ci to, że jesteś cieniem? - spytałam.

Bożena nie zrozumiała, więc usiłowałam jej wyjaśnić.

- Poruszasz się wśród ludzi, których nie znasz, którzy ciebie nie znają...

- O to ci chodzi - odetchnęła. - Widzisz, ja lubię błąkać się po ulicach bez celu - powiedziała na odczepnego, jej oczy powędrowały w bok. - Nie mogę doczekać się piątku. Chciałabym mieć to z głowy i zacząć wszystko od nowa.

- Uważasz, że to możliwe?

- Oczywiście.

- Zostań ze mną na noc. Dobrze się z tobą gada.

- Nie mogę. Ze względu na matkę. Nie uprzedziłam jej wcześniej.

- Możesz zadzwonić.

- Nie chcę jej denerwować, pomyśli, że jestem z Maszkowskim. Spotkamy się w piątek. Matce powiedziałam, że wyjeżdżam do Baniewa. Pokazałam jej nawet lipną delegację.

- Skoro nie możesz - uśmiechnęłam się z przymusem. Już żałowałam swej prośby. - Twoje zdrowie.

- Dziękuję - Bożena przytuliła się do mnie. - Jestem ci bardzo wdzięczna. A więc do piątku. - Tak. Tak.

A tu są moje nie wysłane listy.

Trudno uwierzyć, że przestałeś mnie kochać. Czy rzeczywiście tak jest? To pytanie dręczy mnie jak choroba, objawy znane, diagnoza też, brak jednak lekarstwa, wszystkie metody zawodzą, a może za wcześnie na wyniki leczenia.

Może gdybyś powiedział dlaczego, byłoby mi lżej? Chcesz istnieć z dala ode mnie, ale czy to możliwe, czy to naprawdę możliwe? Przecież nasze życia zrosły się razem, jesteśmy jednością... Przekonasz się o tym, jestem pewna, właśnie ta pewność pozwala mi żyć. Nie każ mi jednak czekać zbyt długo, jestem słaba, bezradna, przeraża mnie każdy dzień. Błąkam się po mieście, wymyślam jakieś sprawy, staram się żyć. Dziś pojechałam do ciebie, zaparkowałam samochód na podwórzu. Miałam wielką ochotę wejść na górę, nie wiem po co, po prostu wejść, popatrzeć na portret mamy, byłam ciekawa, czy trzymasz go jeszcze na sztalugach, czy też jego miejsce zajęła inna modelka. Zobaczyłam ciemne okna i odechciało mi się wszystkiego. Wyjechałeś z Warszawy, bo w twoją przeprowadzkę nie wierzę, nie mógłbyś rozstać się z pracownią, polubiłeś te ściany i przywiązałeś się do nich bardziej niż do mnie. Nie robię ci wymówek, o nic cię nie oskarżam, niczego nie żądam, nie wymagam, chociaż mam do tego formalne prawo, pieczęć w dowodzie, twoje nazwisko. Jeszcze nie zdążyłam się do niego przyzwyczaić, a już będę musiała się z nim rozstać.

Dziś stwierdziłam z całą pewnością, że wyjechałeś. Zajrzałam do skrzynki, puchnie od listów. Przyszły jakieś pisma urzędowe ze związku i z „Desy”, zaproszenia na wystawy, kartki z pozdrowieniami i mój list z Baniewa. Poczta teraz tak działa, ekspresy po tygodniu nie dochodzą z Zakopanego, mój list wysłany ekspresem pobił wszystkie rekordy, szedł 10 dni. Lepiej, że go nie dostałeś, chociaż to nie ma znaczenia, prawdopodobnie spotkałby go ten sam los, co poprzednie. Zabrałam go, do innych nie zaglądałam. Nie bój się, więcej tego nie zrobię, nie mam zamiaru otwierać twoich listów. Zrobiłam to z jakichś irracjonalnych pobudek. Ciągłe nie mogę pozbyć się złudzeń, głupich złudzeń nie opartych na żadnych przesłankach. Buduję zamki na lodzie, bo jest to jakiś

sposób na przetrwanie. Powiadają, że okłamywanie samego siebie to zwykłe tchórzostwo, ja też tak myślałam, dziś sędzę inaczej, to mądre zagranie nie pozbawione znamion wielkości, więc się okłamuję, kłamstwo pozwala funkcjonować, nie mówię żyć, to całkiem inna sprawa. No więc, funkcjonuję, dosyć normalnie, bezszelestnie i cicho, za cicho nawet. Jeżeli ta cisza jest zwiastunem burzy, to strzeż się mnie.

Jeszcze wczoraj chciałam cię zabić. Z tą myślą wchodziłam na górę, miałam w zanadrzu kilka sposobów zadania ci śmierci. Gdy otworzyłam drzwi, duszne powietrze owiało mnie nieprzyjemnie, farby, terpentyna, wszystko się pomieszało. Nie wyrzuciłeś śmieci, w tej temperaturze proces gnicia postępuje szybko, przydałam się jednak na coś, zawinęłam śmieci w gazety i wystawiłam na korytarz, śmierdziało jednak nadal, w rozmrożonej lodówce fermentował ser, zsiadłe mleko przelewało się z butelki. Wyjeżdzałeś w pośpiechu, stąd ten bałagan i drobne niedopatrzzenia, zaschnięta farba na pędzlach, ledwie widoczny zarys czyjejś twarzy na płótnie, przestałeś być sobą, zaczynasz naśladować Paul Gauguina. Kto cię do tego namawia i kto ma na ciebie taki wpływ?

Nie wiem. To tylko przypuszczenia, jak wszystko, co ciebie dotyczy. Chciałabym znaleźć jeden pewnik, coś, co nie wyslizgiwałoby się z rąk, jak dotąd trafiam na dziury i wpadam w nie.

Portret matki zniknął ze sztalug, nie znalazłam go też pod ścianą wśród innych obrazów ani za kotarą, gdzie umieściłeś swoje abstrakcje. Co z nim zrobiłeś? Oddałeś go jej czy sprzedałeś?

Uciekłeś w popłochu, jakbyś się bał, że pojedę za tobą. Nie, nie pojedę.

Skończyło się na tym, że zamiotłam pracownię, wytarłam kurze i jakoś oprzytomniałam. Twoja i moja śmierć nie

rozwiązałyby niczego. Na wszystko było za późno, na zazdrość też. Nie, nie jestem zazdrosna, kiedyś byłam, bolały mnie uśmiechy skierowane do mojej matki, do tej dziewczyny z kawiarni, a nawet do Kaśki, mimo jej zapewnień, że nic was nie łączyło. To normalne, zazdrość pojawia się wtedy, gdy się coś ma do stracenia, natomiast po klęsce zostaje gorycz, udręka i rozpacz, ale zazdrości nie ma.

Wychodząc nie pragnęłam już twojej śmierci, chciałam, żebyś wrócił do mnie, o tym marzyłam, na to czekałam i czekam nadal. Dużo pracuję. Witek jest niezmordowany w wynajdywaniu zajęć, zarzuca mnie zestawieniami, projektami ankiet, kwestionariuszy, ja się podporządkowuję, piszę swoje uwagi, on je skreśla, poprawia, ale w gruncie rzeczy zgadza się ze mną. Chodzę do Ośrodka codziennie, chociaż nie muszę, pracuję przecież na pół etatu, przed wyjściem do domu Witek wpycha mi jakieś teksty do przepisywania na maszynie albo każe sprawdzić coś w bibliotece. Nigdy nie protestuję, odpowiada mi ten kołowrotek.

Po raz drugi proponował mi kino, znów odmówiłam, tym razem rzeczywiście nie mogłam, musiałam zabrać Bożenę od lekarza. O 18 - tej, tak jak byłam umówiona, pojechałam po nią na Wilczą. Czekałam na ulicy 15 minut. Ponieważ Bożena nie wychodziła, weszłam na górę. W poczekalni siedziały dwie kobiety, którym towarzyszyli mężowie, bardzo przejęci swoją rolą, tzn. z głupimi minami, udawali, że czytają gazety, a w gruncie rzeczy mieli większego pietra niż te panie. Usiadłam i wyjęłam papierosa, jeden z nich pokazał mi napis: „palenie wzbronione”. Bawiłam się papierosem, kobiety szeptały między sobą, patrzyły na mnie z ironicznym współczuciem: „Taka młoda i też. przyszła sama. Porzucił ją w takiej chwili, pewnie żonaty”.

Wyszła siostra i wezwała mnie po nazwisku. „Źle z nią?” - spytałam szeptem. Nie zrozumiała. Wciągnęła mnie za sobą

do wąskiego korytarzyka. Bożena siedziała na krześle i zapinała spódnicę. „Doktor Leszczyński zaraz cię zbada - wyjaśniła widząc moje zdziwienie. - Zdaje się, że ty też. W Baniewie ciągle cię mdliło”. „Masz rację. Też o tym myślałam”. „Proszę się rozebrać” - ponagliła pielęgniarka. Bożena wyszła do poczekalni. Nawet nie zapytałam, jak się czuje. Lekarz nie miał wątpliwości. Poprosiłam o zaświadczenie. Nie wiem, po co. Napisał. Leży teraz w szufladzie. Chciałam je mieć na wszelki wypadek, gdybyś nie wierzył, i mam. W każdej chwili mogę ci je pokazać. Chodzą mi po głowie kretyńskie myśli. Czyżbym do tego stopnia nie znała siebie? Lekarz zapytał jeszcze, czy to pierwsza ciąża i czy jestem mężatką. Miałam wrażenie, że odpowiedź go nie interesuje. Wziął 300 złotych za wizytę i kazał mi się zgłosić za miesiąc na kontrolę. Siostra wypisała kartę, dostałam skierowanie na badanie moczu. Wszystko było zwyczajne, normalne. Bożena czekała w fotelu, nieco bledsza niż zwykle, oczy miała z granitu, nieruchome, nic nie widzące. Na schodach zrobiło nam się trochę raźniej. W towarzystwie tych dwóch kobiet, a zwłaszcza ich mężów z minami konspiratorów, czułyśmy się jak przestępczynie. Powiedziałam to Bożenie. „Cóż chcesz - odparła przystając na półpiętrze - to jest przestępstwo, ale większość nie ma wyboru, jak ty i ja”. „Mnie wykreśl z tego rejestru”. „Naprawdę? - ucieszyła się. - Jesteś na medal”. Chciała mnie objąć, ale chwyciły ją bóle, oparła się o ścianę czekając, aż miną. Wjechałam na podwórko mimo zakazu. Bożena twierdziła, że czuje się dobrze, ale twarz miała zwiniętą i szarą, i zaciskała usta. W domu natychmiast zasnęła, obudziła się około dziesiątej, poprosiła o herbatę, jeść nie chciała. Położyłam się obok niej, na rozkładanym łóżku, wążąc argumenty za i przeciw. Wszystkie były przeciw, lecz ja zdecydowałam „za”. Tylko pozornie moja decyzja wyglądała



na szantaż, coś w rodzaju próby zniewolenia cię i przywiązania do siebie, a jeżeli nie do siebie, to do tej istoty, której nikt nie chce, ani ty, ani ja, zjawia się tak bardzo nie w porę, a mimo to albo wbrew temu pozwolę jej się urodzić, niezależnie od tego, czy chcesz, czy nie, zostanie zarejestrowana na twoje nazwisko, bo prawo jest za mną, przynajmniej w tym względzie. Na uzgodnienie decyzji z tobą jest już za późno, zresztą, co mi możesz powiedzieć: Tak albo nie? Jedno i drugie nie ma znaczenia. Prawdę mówiąc, nie chcę tego dziecka i moja decyzja nie wynika wcale z uczuć, jakie żywię do ciebie. Zdecydowała ta poczekalnia, te dwie kobiety, zażenowani mężczyźni, a nawet Bożena, nieświadoma swojego oddziaływania. Ona też miała oczy zaszczutego zwierzęcia, martwe, bezradne i puste. Tamte kobiety były do niej podobne, za pozornym spokojem ukrywały swój lęk, poczucie winy, wstyd i coś jeszcze gorszego. Tuszowały go śmiechem, słowami, obgadywały doktora i siostrę, przytulały się do swoich mężów czy narzeczonych, chcąc na nich przerzucić część winy.

W środku nocy Bożena się przebudziła, ja nie spałam.

- Jak ty sobie poradzisz sama z dzieckiem? - spytała.

- Nie jestem sama.

- Ach tak? - w martwych oczach Bożeny zadrgały szydercze błyski. - Jesteś jednak trochę szajbnięta - obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, jakby czekając na efekt tych słów.

- Bardzo możliwe - przyznałam.

- I mówisz to z takim spokojem? - zareagowała ostro.

- A co mam robić?

- Iść do lekarza, na psychoterapię. Niczego nie łykać.

Wziąć się w garść, skończyć z urojeniami.

- Nie mam ochoty. Lubię swoje urojenia.

- Przecież ci źle z nimi?

- Mnie? Wcale.

- Popatrz na siebie! Jak ty wyglądasz? Schudłaś, szerniałaś. Żyjesz papierosami i kawą.

- Od jutra zmieniam tryb życia. Ugotuję obiad. A teraz czas spać.

Zgasiałam światło.

W niedzielę ukazało się ogłoszenie, a w poniedziałek pozbyłam się mebli. Para nowobogackich dyplomatów uwolniła mnie od nich. Niech im będzie na zdrowie. Nie targowali się nawet, chociaż suma była niełicha, według cennika „Desy”, którą ustalił ekspert, przyjaciel Witka, prywatnie, po godzinach za sowitą opłatą. Skrupulatnie opisał każdy mebel. Dostałam plik pieniędzy w 1000 - złotych banknotach. „W życiu nie widziałem takiej forsy” - powiedział Witek licząc pieniądze. Odnieśliśmy je razem do PKO, założyłam dwie książeczki oszczędnościowe, chciałam upoważnić matkę do odbioru, ale nie znałam jej daty urodzenia. Upoważniłam więc Marka. Witek czekał na mnie na ulicy. Było - jeszcze dość wcześnie, piąta po południu, największy ruch w centrum, przepełnione tramwaje, podziemne przejście wyrzucało na chodnik zagonionych ludzi. Witek obserwował ten tłum z dużym zainteresowaniem.

„Załatwione” - pokazałam mu książeczki, sprawdził, czy wszystko w porządku, widocznie pod tym względem nie miał do mnie zaufania. „Lepiej ich nie noś przy sobie, poradził, ostatnio jesteś trochę roztargniona”. „Czy to rzuca się w oczy?” - spytałam. „Nie”. „Więc skąd wiesz?” „Widzę nie tylko to, co rzuca się w oczy”. Wzięłam go za rękę, pociągnęłam do samochodu. Jakaś dziewczyna z kolejki do automatu zawołała go po imieniu. Puścił moją rękę i rzucił się biegiem do tej dziewczyny. Pocałowali się. Ja zatrzasnęłam drzwiczki i ruszyłam. Zaparkowałam przed domem na wąskim podjeździe, w pobliżu którego latem kwitły róże. Liczyłam półgłosem: jeden, dwa, trzy. Kiedy doszłam do setki, uniosłam

głowę. I wtedy stał się cud. W pracowni na górze zapaliło się światło. Był więc w domu, wrócił! Radość naskoczyła na mnie gwałtownie jak ból. Zobaczę go za chwilę. Przeskakiwałam po trzy stopnie, żeby jak najszybciej znaleźć się na górze. Dopiero gdy zadzwoniłam, wpadłam w popłoch, co mu powiem, jak uzasadnię najście na jego dom. Och, wszystko mi jedno. Muszę z nim omówić sprawy rozwodowe, odbiorę książki, chyba jeszcze parę zostało. W głębi pracowni usłyszałam kroki nie jego, tylko dziewczyny, od razu wiedziałam, że to ona idzie otworzyć. Na ucieczkę było za późno, zresztą nie chciałam uciekać. „Proszę! Niech pani wejdzie!” - usłyszałam cienki dziewczęcy głos. „Marka nie ma, powiedział, że wróci za godzinę, ale to nic nie znaczy, może wróci za dwie albo za trzy” - popatrzyła na mnie bez zażenowania, prosto, spokojnie, a nawet dość obojętnie. „Proszę” - powtórzyła głosem jeszcze cieńszym. „Niech pani wchodzi. Nie będziemy stać na schodach. I proszę tak na mnie nie patrzeć, nie mam nic na sumieniu. Nie jestem tą dziewczyną, za którą mnie pani bierze”. „A co pani tu robi?” „Nic. Po prostu nic. I to mi odpowiada. Pozowałam do portretu, ale nic z tego nie wyszło.

Nie podoba mu się moja twarz. Mówi, że mam zbyt regularne rysy, a to niedobrze. Zamalował całe płótno na białe. Proszę, niech się pani rozgości. Chociaż to właściwie pani jest gospodynią”. „Skąd się tu wzięłaś?” Zaczęłam jej mówić ty. Była bardzo drobna i krucha, miała dziecienną twarz, lecz oczy dojrzałej kobiety, wszystkowidzące i mądre. „Z pociągu”. „Jak to?” „Siedzieliśmy naprzeciw siebie przy oknie. Poprosiłam go o ogień. Nie usłyszał. Dopiero jak trąciłam go w ramię, podał mi ogień, sam też zapalił, prawdę mówiąc zdawało mu się, że pali, bo papieros mu zgasł, a on trzymał go cały czas na wysokości ust. Roześmiałam się i podałam mu ogień. Miałam przy sobie zapałki, tylko

udawałam, że nie mam. Powiedziałam: niech się pan nie martwi. Zawsze może być gorzej, pociąg może się wykołować, możemy nie dojechać na miejsce, ktoś może zniechęca strzelić do pana albo wydłubać panu oczy. Chyba z pięć minut nawijałam w tym stylu, aż się ożywił, powiedział, że nie spotkał jeszcze takiej wariatki. I miał rację. Jestem wyjątkową wariatką, ale niegroźną, niech się pani nie boi, nikogo nie skrzywdziłam poza jednym zakochanym idiotą, który zaproponował mi małżeństwo, a kiedy odmówiłam, łąził i skamlał o moją miłość. Ja nikogo nie kocham. Nie mam zamiaru wylewać łez z powodu jakiegoś faceta. Nic mnie nie obchodzą zwierzęce odruchy. Człowiek powinien kierować świadomie swoim postępowaniem". „A co z tym zakochanym idiotą?" - przerwałam. „Och! Nic takiego. Na jego oczach przespałam się z jakimś bubkiem, a potem rzygałam. Zawsze po tym rzygam, tak jak po alkoholu. Zresztą nie piję. Chce pani kieliszek? Za tą kotarą odkryłam baterie butelek, wódki, wina, koniaki..." „Jestem samochodem. Poproszę jednak o szklankę wody". „Może herbaty? Przed chwilą parzyłam". "Niech będzie". Zapytałam ją, ile ma lat, roześmiała się ubawiona. „Dużo więcej, niż na to wskazuje mój wygląd. Przed rokiem zdałam maturę". „Co robisz?" „Nic. To już mówiłam, a zresztą nie lubię pytań, nie znoszę. Nie jesteśmy w urzędzie śledczym. Nie robię nic. Po prostu nic i to mi odpowiada". „A Marek?" Znowu pytanie. „Żal mi go". „Po co cię ściągnął do siebie?" „Nie wiem, nie siedzę w jego duszy. Miał namalować mój portret, szkoda, że mu się nie udało. Nudzi mnie już to pozowanie, ale chciałabym zobaczyć swój portret namalowany przez prawdziwego malarza. On jest chyba dobry? Więc jak już będę miała ten portret, to się wyniosę". „Myślisz, że on ci go da?" „Wcale na to nie liczę. Wystarczy, że go zobaczę, a potem machnę się gdzieś na południe, połażę po górach. W gruncie rzeczy najlepiej czuję

się w drodze". „Nie masz domu?" „Wielka rzecz, dom! Cztery ściany i obskurne meble. Nazywasz to domem?" „Tu był mój dom" - wyrwało mi się. „Złudzenia! Gdyby był, toby był. Nie straciłabyś go. Nie ma przecież wojny". „Ile ty masz właściwie lat?" „Dwadzieścia". „Nieprawda, jesteś stara jak świat". „Bardzo możliwe, ale idź już". Wypchnęła mnie do przedpokoju dodając otuchy wszystkim rozumiejącym spojrzeniem.

Dzisiaj długo chodziłam wokół domu na Stegnach, sama w tym kamiennym pustkowiu, w szarym zmierzchu ciężkim od spalin. Ciągłe mi duszno i słabo. Odpoczywam na wszystkich ławkach, i palę, choć nie powinnam. Urodzę twoje dziecko bez twojej wiedzy i zgody, być może wbrew tobie, wbrew pragnieniom mojej matki, wiem, ona nie pochwali mojej decyzji, ale to mnie już nie obchodzi. Wyzwoliłam się od niej i mam nadzieję, że przyjdzie taka chwila, kiedy wyzwolę się i od ciebie. A może nie? Może właśnie ty, choć wtargnąłeś w moje życie na krótko, zostaniesz w nim na zawsze? W tej chwili jeszcze nie wiem, czy chcę się wyzwolić, czy też pozostać w swoim odrealnionym świecie.

Przed chwilą zadzwonił Witek z propozycją wyjazdu w teren na badania, do Baniewa. Zgodziłam się z miejsca, chociaż on usiłował mnie odwieść od tego. Śmieszny facet! Najpierw coś proponuje, a potem robi wszystko, żeby z tej propozycji nie skorzystać. Bożena jednak umie trzymać język za zębami. Witek pojęcia nie ma, że jestem w ciąży. Gdyby wiedział, nie wyskoczyłby z tym wyjazdem.

W godzinę byłam gotowa do drogi, spakowałam tylko najpotrzebniejsze rzeczy: dwa swetry, spodnie, piżamę i druki: znowu kwestionariusze, ankiety. Nie miałam nic do roboty, wzięłam proszek, chociaż mi nie wolno. Staralam się tego nie robić, ale są chwile, kiedy nie panuję nad sobą. Zasnęłam dość szybko, a we śnie byłeś ty (jak prawie co noc), zamknięty w

jakiejś twierdzy, do której wstępu broniły gromady uzbrojonych kobiet.

Obudził mnie wiatr, taki sam jak we śnie, skrzypiało nie domknięte okno, w szyby zaglądał księżyc. Wstałam jak zaczadzona, proszek działał, ale nie tak, jak bym pragnęła, nie przyniósł ulgi, jedynie zamroczenie i miękką galaretowatość całego ciała. Niechęć do życia była taka sama jak przedtem. Otworzyłam okno, weszłam na parapet. Wiatr siekał mnie po twarzy, odpędzał od wyrwy w ścianie. Mimo to stałam w oknie dość długo, wybawienie było tuż, tuż, sekunda strachu, szybki lot w dół, głuche mlaśnięcie, chwila bólu, kałuża krwi i cisza...

Znów jestem w tym miasteczku ze starych pocztówek, robię badania, które mnie nic nie obchodzą, przesiaduję w zakładzie po 10 godzin. Wszystkich to dziwi: "Taka młoda i pracowita". Chłodny wiatr dmie od jeziora, lód stopniał, na drzewach nabrzmiałe pąki, wilgoć i mgła. Chodzę wokół rynku po dwadzieścia razy, niekiedy zaglądam do kościoła, ale nie umiem się modlić, drażni mnie cisza. Czekam na listy, które nie nadchodzą, piszę listy, których nie wysyłam, wciąż na coś czekam, na telefon, na depeszę, na koniec świata. Wiem, że to nie ma sensu, a jednak czekam, podsycam w sobie nadzieję, wychodzę na dworzec i piję herbatę w dworcowym bufecie.

Zdradziłam cię nawet, żeby wyrwać się z tego kręgu majaków i urojeń. Wszystko na nic. Czuję jeszcze na sobie pocałunki Witka, słyszę, co mówił, te same słowa co ty, „kocham cię, kocham”, ten refren brzęczy mi w uszach jak zła muzyka. Boli mnie głowa, wypaliłam za dużo, w nocy nie mogłam spać, wstawałam i paliłam. Witek też nie spał, budziło go każde moje westchnienie, zapalał światło, robił mi herbatę, masował skronie.

Myślisz pewnie, że umieram z obrzydzenia i teraz nawet w lustrze nie mam odwagi spojrzeć sobie w oczy? Otóż nic podobnego. Czuję się normalnie jak przedtem, to znaczy ani lepiej, ani gorzej. Liczyłam na wyzwolenie i przeliczyłam się.

Wracaliśmy do domu moim samochodem, Witek prowadził, ja nie byłam w stanie. Mdliło mnie bez przerwy, mimo że łykałam aviomarinę.

Błotniste niebo przelewało się nad nami, stukały wycieraczki. Zasnęłam i obudziłam się przed Warszawą. Witek przyglądał mi się z uwagą. „Zbladłaś” - powiedział, a ja, że nic mi nie jest, ale kiedy się poruszyłam, szarpnął mną ból w dole brzucha. Witek zjechał na pobocze i zahamował.

„Wstąpimy po drodze do lekarza albo na pogotowie” - denerwował się. „Ciekawe, w którym szpitalu jest ostry dyżur, kupimy po drodze gazetę”.

Otworzyłam drzwiczki i oddychałam głęboko. Ból minął tak samo nagle jak przyszedł, mimo to Witek upierał się przy szpitalu, co mnie napełniło jeszcze większym lękiem. Tłumaczyłam mu, że jestem pacjentką dra Leszczyńskiego, najlepiej będzie, jak do niego zadzwonię i poproszę o radę, w razie czego można przecież wstąpić na Wilczą. Nic mi nie jest, naprawdę, to jakiś nerwowy skurcz. Wezmę gorącą kąpiel, odpocznę, w domu czeka na mnie Bożena.

W końcu dał się przekonać i zawiózł mnie do domu. Przez cały czas odnosił się do mnie z wielką czułością, co mnie w jakimś stopniu zaskoczyło, nie byłam na to przygotowana. Jak tylko nadarzyła się okazja, bo przecież prowadził, obejmował mnie i ścisnął za ramię... W windzie to samo, całując się wjechaliśmy na górę, potem zjechaliśmy na dół i znowu do góry. Stałam jak kawałek drewna pozbawiony czucia i pozwalałam na wszystko. Mogłam się kochać w windzie, na schodach, w moim mieszkaniu w obecności Bożeny. Było mi wszystko jedno.

Skończyłam z jednym mitem, z wiernością tobie, ale nie czułam ulgi. Chciałam zignorować fakt twego istnienia i to mi się nie udało.

Bożena przygotowała obiad na mój powrót, kupiła kwiaty, zaprosiła też Jacka, który ocierał się o nią jak kot. Kochali się. Tak. Oczywiście. Wystarczyło jedno spojrzenie, by się o tym przekonać. Oboje mieli w oczach tę jasność, która wyróżnia ludzi szczęśliwych, ufność i wiarę nie tylko w siebie, ale w cały ten zapluty świat i chcieli coś z tego przekazać mnie i Witkowi. Nie wiem, czy im się udało, raczej nie. A jednak zostało coś z tego wieczoru. Jacek opowiadał dowcipy, niezłe zupełnie, śmiałam się razem z nimi, jadłam kaczkę z jabłkami i popijałam winem, smakowało mi jedzenie, po raz pierwszy od tyłu dni. Dość dużo piłam. Siedzieliśmy przy stole, przeniesionym z kuchni, w pustym pokoju bez mebli, na kuchennych krzesłach i taboretach. Bożena zapaliła świece, Jacek nastawił adapter, najpierw był Bartók, potem Liszt w wykonaniu Roberta Bentza i Chopin. Już nie pamiętam, kto grał Chopina, ale grał bardzo pięknie i nawet Bożena, która nie przestawała mnie pytać, co ja robiłam przez tyle dni w tej miejscinie zabitej deskami, umilkła.

Chopin brzmiał somnambulicznie i rozpaczliwie, a ja uśmiechałam się do ciebie. Złudzenie było zbyt silne, słyszałam twój głos, widziałam twoje oczy uciekające w popłochu przed moim spojrzeniem, siedziałeś na miejscu Witka, potem obok niego, a gdy pianista mocnym akordem skończył swój występ, nachyliłeś się ku mnie i powiedziałeś coś szeptem, czego nie dosłyszałam. „Wyłącz adapter - zwróciłam się do Witka. - Trzeszczy mi w uszach od tej muzyki”. Wszyscy spojrzeli na mnie zdumieni. Witek spełnił moją prośbę, zrobiło się przeraźliwie cicho.

„Pobieramy się z Jackiem” - oznajmiła Bożena, przysunęła się z krzesłem do niego, Jacek zaś z czułością, o którą go nie



podejrzewałam, ujął jej rękę i pocałował. Witek zrobił im zdjęcie. Podniosłam się i mimo zmęczenia sprzątnęłam ze stołu, chciałam, żeby Bożena jak najdłużej siedziała przytulona do Jacka, i żeby się uśmiechała oczami.

Witek przyszedł za mną do kuchni i pomagał mi zmywać. W pewnej chwili, sprowokowany prawdopodobnie wyznaniem Bożeny i tą hotelową nocą, o której i wspominać nie warto, zaproponował mi małżeństwo.

Odmówiłam, podając jakieś nieistotne powody. O tobie nie wspomniałam.

Znowu bezsenna noc. Wędrówka bez celu z jednego pokoju do drugiego, do kuchni i znów do pokoju, gonitwa myśli, niepokój, który rozrywa wnętrze. Dzwoniłam do ciebie, nie podniosłeś słuchawki, a może nie było cię w domu? Po północy ubrałam się i wsiałam w samochód, dojechałam do Wilanowa, a stamtąd już prosto pod twój dom. Zatrzymałam się na ulicy i spojrzałam w okna, były ciemne, co mnie niemile zdziwiło, a przecież o tej godzinie było to całkiem normalne. Wsiadłam z samochodu i obesłam cały dom płosząc koty myszkujące w śmietnikach. W kuchni też było ciemno. Zasnęłam nad ranem po dwóch tabletkach relanium i spałabym chyba do południa, gdyby nie telefon. Usłyszałam głos podobny do twojego i w pierwszej chwili sądziłam, że to ty. „Tak, słucham!” - zawołałam całkowicie rozbudzona. „To ja, Krzysiek, słyszysz mnie?” - omal nie wypuściłam słuchawki. „Tak” - opanowałam się z trudem. - Co słyhać?” „Ożeniłem się, dostałem mieszkanie. Dziś parapetówka. Przyjdiesz?” „Oczywiście. Podaj adres”. „To blisko mnie”. „O dziewiętnastej”. „W porządku. Przyjdę na pewno”.

Z radia dowiedziałam się, że jest wolna sobota. Nie musiałam więc iść do Ośrodka, rozmawiać z Witkiem ani też cieszyć się szczęściem Bożeny. Przeleżałam w łóżku do

południa nic nie jedząc, nie pijąc. Nagle uświadomiłam sobie, że jestem w ciąży (zapominałam o tym aż nazbyt często) i chociaż nie czułam głodu, ugotowałam kluski na mleku, zjadłam cały talerz, dwa jabłka i kawałek czekolady. Wyrzuciłam do śmieci wszystkie proszki nasenne. Znowu zadzwoniłam do ciebie. Krzyczałeś: „Halo, halo! Joanno, to ty? Odezwij się, proszę!” Odłożyłam słuchawkę. Byłeś tak blisko, 15 minut drogi samochodem, a ja nie mogłam cię zobaczyć. Wszystko zaczęło się od nowa, ból i tęsknota. Nie należało wracać do Warszawy, tam, w tym miasteczku na skraju ki, żyłam w zamroczeniu poddając się automatyzmowi spraw, godzin i obowiązków, i spałam bez prochów, całkiem zwyczajnie, nawet bez snów. Tutaj wszystko przypominało cię, nawet moje mieszkanie, w którym byliśmy razem zaledwie kilka razy. Bałam się wychodzić do miasta, wstępować do księgarni, do sklepu z płytami. Bałam się kina na Rynku Nowego Miasta, ulicy Starej, Brzozowej, Pałacu Kultury, Krakowskiego i Nowego Świata, tyle miejsc naznaczyłeś sobą, że dla mnie brakuje przestrzeni.

Wysiadając z windy w wieżowcu nie różniącym się prawie od tego, w którym mieszkałam, usiłowałam przypomnieć sobie twarz Krzyśka. Nie widziałam go od egzaminu. Stał wtedy przy oknie i wodził za mną smutnymi oczami. Potem rozmawiałam z nim przez telefon, zdał na piątkę, zaczął pracować, teraz ożenił się, dostał mieszkanie, takie samo jak moje, na dziesiątym piętrze. W tym przypadku to niebezpieczne, jego też, jak mówi Kaśka, ciągnie w dół i to bez żadnej przerośni, skakał już przecież z pociągu, łykał prochy, podcinał sobie żyły, tyle razy próbował i żyje.

Wygląda wspaniale. Wyszedł na korytarz.

- Jesteś nareszcie. Dlaczego tak późno? Popatrz, Małgosiu! To jest Joanna - ręka Krzycha opadła na moje ramię. - Po co tyle kwiatów? I wino! Joanno, jesteś szalona!

Małgosia ma piegi, dużo piegów na nosie, na szyi i na całej twarzy, i na powiekach. Niedużego wzrostu, pulchna, różowozłota, wciąż się uśmiecha. Biega po mieszkaniu, roznosi koktajle i dużo mówi.

- Co to za ludzie? - spytałam szeptem rozglądając się po pokoju.

Krzysiek uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Twoi koledzy.
- Ależ ja ich nie znam.
- Przyjrzyj im się uważnie.
- Masz rację.

Tam pod regałem stał prymus, śliski, giętki, robi karierę. Od dawna miał skłonności do tycia, ale jakoś się trzymał, teraz twarz mu się rozpełzła, zgrubiał podbródek.

- Zmieniłaś się - podał mi rękę.
- Bo się odchudzam.
- Przecież utyłaś?
- Widocznie źle się odchudzam.
- Co z twoją pracą? Podobno piszesz artykuły.
- Ja? Artykuły? To jakaś pomyłka.
- Kpisz sobie ze mnie. Zawsze sobie kpiłaś. Nawet wtedy u Bożeny, kiedy ci powiedziałem... Pamiętasz te imieniny? Maszkowski w roli głównej. Bożena dostała nagrodę rektorską. Tańczyłem z tobą, pamiętasz? I wtedy ci powiedziałem...

- Och! Nie czas na wspominki. Jesteśmy na to za młodzi.

- Masz rację. Póki co, jesteśmy młodzi. Zatańczysz? „Młodzi! Pęknać można ze śmiechu. Rozsiedli się na kanapie, sączą koktajle ze szklanek, rozmawiają półgłosem. Nastrój podniosły jak w kościele, tylko klęknać, złożyć ręce i odmawiać modlitwę”.

Właśnie to zrobiłam, uklękłam i zaczęłam mówić wiersz. Prymus, miał na imię Michał, przypomniałam sobie, też ukląkł.

- Dlaczego mówisz Norwida na klęczkach?

- Norwida nie można inaczej, tylko na klęczkach. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

- Ale teraz już wiesz.

- Tak - kiwnął głową z powagą. Nic z tego nie rozumiał, nie wiedział, że ja się zgrywam.

A więc ten wieczór. Tak. Tak. Dym. Okropnie go dużo. Zbija się w chmurę pod sufitem, wędruje ku oknu. Ktoś dzwoni do drzwi. Krzysztof otwiera.

Wita nowych gości, którzy też przynieśli wino i kwiaty, kłania się, dziękuje, nie wie, co zrobić z bukietem, po chwili wahania przekazuje go mnie, całuje w rękę dziewczynę, nie znam jej, to chyba nie od nas z roku, przedstawiam się. Dziewczyna mówi: „Przecież my się znamy”. Kiwam głową zamiast zaprzeczyć, nie znam jej, nigdy nie widziałam, a może nie pamiętam. Krzysztof z uśmiechem przyklejonym do warg roznosi koktajle, kanapki; cichy, układny i grzeczny aż do przesady, robi, co może, aby uchodzić za normalnego. Nie bardzo mu z tym do twarzy. Wolałam, kiedy był sobą, dziki, z kolcami, drapieżny i błyskotliwy, często nieznośny ze swoim nonkonformizmem, kłuł, rąbał prawdę w oczy, nikogo nie oszczędzał. Leczył się dosyć długo w Pruszkowie, chodził na psychoterapię do wszystkich ośrodków w Warszawie, wreszcie ożenił się i wynormalniał. Ale normalność źle przystaje do niego, jak sknocone ubranie, marszczy się, uwiera pod pachami. Zły model, forma też nie najlepsza. Długo w niej nie wytrzyma. Małgosia rozdaje uśmiechy i gada, gada. Krzych wodzi za nią oczami, w których jest zachwyt i duma. Wrócił do mnie.

- Chodźmy do kuchni - powiedziałam. - Męczą mnie ludzie. Po co to wszystko? Tyle gości!

- Dobrze się bawią.

- Chodźmy stąd. Boli mnie głowa. Chce mi się pić. Wyszliśmy.

Krzysiek częstował mnie parówkami w sosie pomidorowym.

- Dobrze. Małgosia świetnie gotuje.

- Tak - potwierdził skwapliwie - w ogóle jest bardzo zdolna. Przekonasz się o tym, gdy ją bliżej poznasz - przyglądał mi się dosyć natrętnie. - Chciałem cię zabić - rzekł po krótkim milczeniu i spojrzał na nóż, którym przed chwilą kroił chleb.

- Wiem - odpowiedziałam bezbarwnym głosem.

- Boisz się mnie?

- Teraz już nie.

- Dlaczego?

- Pewnie chciałabym, żebyś mnie zabił, ale instynktownie czuję, że nie zdobędziesz się na to.

- Nie.

- Dlaczego?

- Jesteś taka jak inne. Przestałaś się wyróżniać. Widzisz, to śmieszne, a może nie tak bardzo. Chciałem ci oszczędzić cierpienia i brudu, tak, przede wszystkim brudu, byłaś taka czysta, niewinna, zdawało mi się, że nie dotykasz ziemi. Kochałem się w tobie.

- A teraz?

- Kocham Małgosię.

Wszystko się zmienia, więc Krzysiek też musiał zrewidować swoje teorie, żeby znaleźć w nich miejsce dla Małgosi. Pamiętasz, czego on nie wygadywał o wielkości kobiety i o jej roli w życiu mężczyzny. „Kobieta - wołał z płonącymi oczami - jest motorem dziejów, dźwignią postępu,

nosicielką najszlachetniejszych idei i najbardziej humanitarnych. Sztuka, a przede wszystkim poezja od niej się wywodzą i dzięki niej istnieją. Kobieta pochodzi od Boga, którego zdradziła. Dlatego posiada urok i potęgę szatana".

- Kocham Małgosię - powtórzył nieco zdziwiony moim milczeniem. - Chcesz herbaty? - zapalił gaz.

- Nie. Dziękuję. Herbata była pretekstem. Chciałam z tobą pogadać. Inni mnie drażnią. Poza Małgością. Ona działa orzeźwiająco.

Na mnie też, chociaż męczy mnie czasem jej żywiołowość. - Przejdzie jej to z czasem.

- Mam nadzieję, że nie. Potrzebuję jej śmiechu, jej ruchliwości, ciągłego gadania, w ogóle jej świata, w którym ciągle coś się dzieje. Ten świat mnie wciąga. Muszę w nim być.

- Jesteś szczęśliwy?

- Tak... oczywiście - dodał z wahaniem. - Martwię się jednak o ciebie.

- Niepotrzebnie. U mnie wszystko w porządku.

- Masz smutne oczy. Uśmiechasz się z wyraźnym przymusem, a kiedyś śmiałaś się całą twarzą. Obserwowałem cię przez pięć lat, to wiem. Zmieniłaś się, inaczej chodzisz i mówisz, brak ci napędu, masz spowolnione ruchy...

- Myślisz, że to schizofrenia?

- Funkcjonujesz jednak normalnie.

- Ty też.

- Dzięki psychotropom.

- A może mój organizm sam wytwarza jakieś substancje o podobnym działaniu?

- Nie.

- Uważasz, że jestem w porządku?

- Jak najbardziej.

- Dziękuję za rozmowę. Idź do gości, a ja się ulatniam. Mam jeszcze coś do zrobienia.

- Odprowadziłbym cię, ale w tej sytuacji...

- Nie możesz, to jasne. Wpadnę innym razem, to sobie pogadamy.

W przedpokoju natknęłam się na Michała, który stał oparty o futrynę i palił papierosa. Wyglądało to tak, jakby specjalnie na mnie czekał.

- Już wychodzisz? - zajął mi w oczy szczerze zasmucony.

- Jeżeli cię to martwi, możesz iść ze mną.

- Naprawdę? A dokąd pójdziemy?

- Dokąd zechcesz - rzuciłam przez ramię.

Nie przywiązywałam wagi do słów, czasem ulegałam złudzeniu, że wypowiada je ktoś obok, posługując się moim głosem.

- No dokąd? - powtórzył Michał.

- Do mnie.

Podał mi kozuch, sięgnął szybko po swój i obejrzał się do tyłu, jakby sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. W pokoju światło było przyćmione, grała muzyka, nikt nie tańczył, goście stłoczeni na kanapie rozmawiali półgłosem.

Po wyjściu z windy, objął mnie i pocałował. W taksówce ścisnął mnie za rękę, a ja z wzrokiem wbitym w plecy kierowcy przyjmowałam jego pieszczoty.

- Tyle lat na to czekałem - szeptał mi do ucha. - Tyle lat.

Zrobiło mi się go żal. A więc znowu było łóżko, zgaszone światło, muzyka z radia, obok mężczyzna, z którym mnie nic nie łączyło, którego, owszem, znałam od dawna, nic więcej, znałam i niezbyt lubiłam, dużo niepotrzebnych słów o miłości, rozważań o szczęściu.

Powiedziałam:

- Na mnie nie licz w tej grze. Wycofam się z niej jak nie dziś, to jutro albo za parę dni. Zapomnę o tym, co było. Ty też zapomnij.

- Nie potrafię.

- Musisz. Nie chcę, żebyś cierpiał z mojego powodu, nie chcę, żebyś mnie nienawidził. Cierpienie rodzi nienawiść.

- I miłość.

- Nie. Cierpienie zabija miłość.

Wyłączył radio. Słowa odbijały się smutnym echem od ścian. Deszcz kląskwał o szyby i wiatr przelatywał z furkotem po dachu, dom trząsał się, kołysał jak okręt na pustym morzu. Chodziły słuchy, że ma odchylenia od pionu i pod naporem niesprzyjających wiatrów może się zawalić. Była w tym jakaś część prawdy, bo w kuchni i w przedpokoju poodpadały tynki. Michał snuł jakieś rozważania na temat uszczelek i żaluzji, martwił się, że będzie mi zimno, gdy przyjdą mrozy. Wysłałam go do kuchni po herbatę i zadzwoniłam do Marka. Podniósł od razu słuchawkę, jakby czekał na mój telefon.

- Halo! - zawołał. - Halo! - powtórzył po chwili wyczekiwania. - Kto mówi? Proszę się odezwać - słyszałam jego oddech. - Joanno, to ty? Odezwij się, proszę powiedz coś, Joanno! Nie bądź dziecinna - chrząknął i odłożył słuchawkę.

Kiedy Michał przyniósł herbatę, powitałam go uśmiechem, pod którym skrywałam łzy.

- Czy mogę zostać na noc? - zapytał. Uśmiechnęłam się do niego z przymusem i zasłoniłam oczy dymem.

- Zostań, oczywiście, ale pod jednym warunkiem. Traktujemy te sprawy po koleżeńsku. Dobrze?

- W takim razie będzie lepiej, jak sobie pójdę. Dziękuję za szczerłość. Chcesz, żebym zadzwonił?

- Wszystko mi jedno.

- Rozumiem.



Zwiesił głowę. Zrobiło mi się przykro, nie chciałam go okłamywać, więc postawiłam jasno sprawę, ale to go właśnie dotknęło. Ubierał się w pośpiechu nucąc melodię z filmu „Love story”. W przedpokoju pożegnaliśmy się krótko: „cześć, cześć”. Michał odwrócił się, nasunął czapkę na głowę i znikł za drzwiami.

Tym razem poszłam na Wilczą bez Bożeny, czekałam w poczekalni na swoją kolej skracając sobie czas czytaniem własnego artykułu, który z pewnymi skrótami zamieścił prowincjonalny tygodnik społeczno - kulturalny. Teraz po upływie miesiąca sprawy zakładu w Baniewie straciły swą ostrość. Wnioski były zbyt oczywiste, dziwiłam się, że chciało im się coś takiego drukować.

- Wszystko w porządku - powiedział doktor Leszczyński - położenie płodu prawidłowe. Nie powinno być żadnych komplikacji.

Katastrofa nastąpiła w parę dni po tej wizycie, przed południem, w Ośrodku, gdy siedziałam nad ankietami chłopców z zakładu. Pojawiły się bóle, krwotok. Półprzytomną przewieziono mnie na sygnale do szpitala. Nic się nie dało zrobić. Zabieg trwał około dwóch godzin. Straciłam dużo krwi, którą uzupełniano kroplówkami. Na szczęście spałam i nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje. Po paru dniach Bożena zabrała mnie ze szpitala i przywiozła do domu. Nie miałam siły nawet z nią rozmawiać. Zasnęłam siedząc na tapczanie. Pamiętam, że przyszedł Jacek i zmierzył mi puls. Pamiętam też jego oczy śledzące wskazówki zegarka, poruszał ustami licząc uderzenia.

- Puls normalny. Może zadzwonić do Witka? On ma znajomych lekarzy - powiedział do Bożeny.

- Nie - chwyciłam go za rękę.

- Ty nie śpisz? - ucieszył się Jacek.

- Drzemię. Jestem straszliwie osłabiona.

- No tak - cień Bożeny przemknął mi nad głową. - To zrozumiałe, ale żeby odzyskać siły, musisz coś zjeść - cień się oddalił.

- Wiesz, ile spałaś? - zapytał Jacek.

- Nie.

- Siedem godzin w dzień. To niebywałe. W szpitalu podobno też spałaś bez przerwy.

- Nie wiem, nie pamiętam.

- Wstawaj! Bożena niesie rosół. Nie masz pojęcia, jak ona świetnie gotuje.

Dźwignęłam się na rękach i otworzyłam oczy. Jacek siedział na krześle udając, że czyta, i obserwował każdy mój ruch.

- Uważasz, że to schi? - spytałam dziwiąc się, po co pytam, gdyż nie interesowała mnie odpowiedź.

- Bardzo możliwe - potwierdził Jacek. - Chociaż wygląda na depresję. Przeżyłaś szok...

- Nie było żadnego szoku, bierna rezygnacja, nic więcej. Jestem zmęczona, chcę spać.

Bożena zmusiła mnie do wypicia filiżanki rosółu i do zjedzenia kawałka mięsa, a potem zniknęła za zasłoną z waty. I była cisza, w której nic się nie działo, i ciemność aż do rozmowy z matką, którą chwilami uważałam za sen.

Matka siedziała z papierosem obok tapczanu. Przyglądałam jej się dość długo, ale dopiero po kilku minutach, gdy wstała i podeszła do okna, uznałam, że to nie sen, lecz jawa, którą lepiej uznać za sen. Stan zamroczenia nadal trwał, nawet gdy wstałam i ubrałam się, gdy parzyłam herbatę i jadłam nie wiedząc co. W każdym razie siedziałam w kuchni przy stole, a matka paliła chodząc.

- Usiądź wreszcie! - podsunęłam jej krzesło. Matka wykonała zabawne pas, zamarła w pół kroku,

zrobiła pół obrotu w lewo i cofnęła się, dopiero gdy powtórzyłam zaproszenie, usiadła.

- Dlaczego ty ciągle śpisz? - spytała z wyrzutem.

- Bo chce mi się spać.

- Już głupszej odpowiedzi nie mogłaś wymyślić?

- Nic nie wymyślam, po prostu mówię, jak jest.

- Nie można nawet z tobą porozmawiać. Cały czas ziewasz.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, tylko przestań ziewać.

- Nie mogę.

- Pójdiesz jutro do lekarza?

- Nigdzie nie pójdę.

- Chcesz spać przez całe życie?

- Dlaczegoż by nie?

- No i doczekałam się na stare lata - jęknęła.

- O jakich latach ty mówisz? Wyglądasz młodziej ode mnie. Zresztą nie tylko wyglądasz. Jesteś młodsza ode mnie - ziewnęłam pochylając się nad stołem.

- Bo się nie poddałam, nigdy się nie ugięłam.

- Ja też nie.

- Uciekasz w chorobę. - Bo jestem chora.

- Tak? To dlaczego nie chcesz iść do lekarza? I co ci jest, może mi wreszcie powiesz? Morfologia w porządku, OB również, analiza moczu nic nie wykazała.

- Jestem osłabiona. Nie mogę chodzić, nie mogę siedzieć. Czy przyjechałaś po to, żeby mnie dręczyć?

Roześmiała się nieprzyjemnie.

- To takie śmieszne, że nas poróżniłaś? - spytałam zaczepnie.

- Ja?

- Nie udawaj, wiem wszystko.

- Co?

- Spotykałaś się z nim. Wtedy, kiedy mi powiedział, że jedzie do Krakowa, był u ciebie.

- Nie.

- Mama! Nie kłam!

- Nie kłamię, chociaż nie muszę się przed tobą tłumaczyć,

- Oczywiście, że nie, ale mogłabyś raz zdobyć się na szczerłość i porozmawiać ze mną po ludzku?

- Co chcesz wiedzieć? Pytaj!

- Dlaczego rozeszłaś się z ojcem?

- Bo mnie zdradzał. W kilka miesięcy po ślubie zaczął mnie zdradzać.

- Przebaczyłaś mu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie prosił mnie nigdy o przebaczenie. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Już nic.

Granatowa chmura przesłoniła okno. Nagle zrobiło się prawie ciemno, a mnie znów ogarnęła senność, z trudem dotarłam do tapczanu, przykryłam się kocem. Zdawało mi się, że śpię. Słyszałam jednak, jak matka rozmawia z kimś przez telefon, jak się wyklóca o materiał narzekając na fakturę i kolor, a wreszcie jak ubiera się i wychodzi zostawiając włączone radio.

Po jej wyjściu leżałam na tapczanie i trzęsłam się z zimna. Była noc i mrok rozrzedzony ulicznym światłem, w tym brudnym świetle ujrzałam zarys postaci. Ktoś siedział obok i drzemał.

- Marek!

Ciemna postać oderwała się od krzesła. - Mówiłaś coś?

- Jak się tutaj dostałaś?

- Zostawiłaś klucze na półce z książkami. Nie pamiętasz?

- Tak, oczywiście. Pamiętam. Śniło mi się, że umarłam i to było cudowne. Niczego się nie bałam. Dlaczego tak ciemno? I radio przestało grać. Wyłączyli światło?

- Zgasilem.

- To zapal!

Jego twarz znów odplynęła w ciemność i ukazała się nagle w pełnym świetle sześćoświecowego żyrandola z orłami w koronach.

- Zapomniałam o żyrandolu, kiedy sprzedawałam meble. Trzeba go będzie wstawić do Desy.

- Co za pomysł z tymi meblami? Potrzebowałaś pieniędzy?

- Chciałam pojechać do Grecji.

- Ach tak!

- Pojadę. Dawno tu jesteś?

- Nie słyszałaś, jak wszedłem?

- Jestem trochę osłabiona.

- Masz prawo. Straciłaś dużo krwi.

- Nie, niedużo. Właściwie to nic mi nie jest. Chcesz herbaty? A może kawy?

- Dziękuję, nic nie chcę.

- Zrobię kolację. Która godzina? Zresztą nieważne. Co tam godzina. Jestem potwornie głodna. Ty chyba też?

Wstałam zdziwiona własną energią. W łazience przebrałam się w dzinsy i sweter. Zapinając pasek przy spodniach stwierdziłam, że schudłam, twarz mi zmaląła, cera nabrała ziemistej barwy. Szybko zrobiłam makijaż, położyłam na policzkach cienką warstewkę różu, przypudrowałam nos.

- Kurczę na zimno czy odgrzać? - stojąc w drzwiach uśmiechałam się uprzejmie.

- Nie rozumiem - odwrócił się od okna - dlaczego chcesz mnie czymś częstować? Połóż się, jesteś osłabiona.

- Jestem głodna. Już ci mówiłam, a nie lubię jeść sama.

- Dobrze. W czym ci pomóc?
- Dam sobie radę. Nastawić ci radio?
- Obejrzę coś w telewizji, jeżeli pozwolisz?
- Proszę bardzo. Telewizor jest w pierwszym pokoju.

Weź ze sobą krzesło.

- Tak to wygląda - uśmiechałam się do swych myśli płucząc sałatę. - Płaskie, nijakie spotkanie, banalne rozmowy, nic nas już nie łączy, zupełnie nic. Myślałam, jeśli go kiedyś spotkam, rzucę mu się na szyję i powiem: „Stęskniłam się za tobą”. Tymczasem nie podałam mu ręki...

Na ekranie galopowali jeźdźcy w meksykańskich sombrero. Weszłam bezszelestnie do pokoju. Marek drgnął.

- Zrobiłeś się bardzo nerwowy - zauważyłam z przekąsem.

Chrząknął w odpowiedzi i przetarł palcami czoło, patrzył na ekran, z którego zniknęli już jeźdźcy, samotny dyliżans wspinał się pod górę w oślepiającym blasku słońca.

- Kurczak ostygnie - wyłączyłam telewizor. Zerwał się jak na komendę i uderzył nogą o krzesło. W kuchni siedząc przy stole patrzył na moje ręce, gdy nakładałam na talerz sałatę i kurczaka.

- Zeszczupłały ci ręce - powiedział z trudem dobywając głos, jakby odzwyczaił się od mówienia.

- Zawsze takie były - odparłam z lekkim rozdrażnieniem. Uchwyciłam w jego głosie nutkę współczucia i postanowiłam mieć się na baczności. - Ostatnio nic nie robiłam, to dlatego. Twoje zdrowie - uniosłam kieliszek.

Podziękował i też się napił.

- Wygląda na to, że nie mamy sobie wiele do powiedzenia - uśmiechnęłam się w przestrzeń.

- Tak uważasz? - obrzucił mnie niepewnym spojrzeniem.

Potwierdziłam ruchem głowy.

- Widziałeś się z moją matką?

Teraz on kiwnął głową.

- Jak tylko cię zobaczyłam, pomyślałam, że to jej sprawka.

- Nie rozumiem, co masz na myśli? - odłożył widelec zręcznie udając zdziwienie albo też niczego nie udawał, a tylko ja każde jego słowo przyjmowałam nieufnie.

- Bardzo dobrze rozumiesz i wiesz, co mam na myśli, ale prawdopodobnie jest ci głupio przyznać się do tego, ułatwię ci więc zadanie i powiem: przyszedłeś tutaj, bo ci kazała. Naopowiadała ci różnych bredni, że umieram z miłości do ciebie itp., odwoływała się do twojego poczucia odpowiedzialności, bo ty w gruncie rzeczy jesteś człowiekiem odpowiedzialnym.

Poruszył się na krześle, strącił widelec, pochylił się, żeby go podnieść i zawadził ramieniem o stół. Za późno chwyciłam kieliszek, na granatowym obrusie wykwitła już ciemna plama.

- Trzeba posypać solą - Marek rzucił się do szafki. - Będzie plama.

- Niech będzie. Zachowam ją na pamiątkę po tobie.

- Możesz przecież wybrać sobie któryś z moich obrazów.

- Dziękuję. Wystarczy mi ta plama.

- Zachowujesz się bardzo dziwnie - zakrztusił się winem, kaszląc uśmiechał się przepraszająco.

Przestało mi smakować jedzenie, sięgnęłam po papierosa.

- Słuchaj! - chwycił mnie za rękę, gdy podniosłam się po zapalki. - Czy to dziecko to moje?

Wyrwałam rękę, podeszłam do szafki i długo grzebałam w szufladzie.

- Nie masz zapalek? - spytałam.

- Możesz zapalić od świecy.

- Racja. Wróciłam do stołu.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Bo nie wiem, co odpowiedzieć.

- Jak to nie wiesz?
  - Po prostu nie wiem.
  - Ach tak! - zaśmiał się głośno. - Ach tak! - powtórzył i zaśmiał się znowu. Nagle umilkł i ukrył twarz w dłoniach.
  - Przepraszam - wymówił cicho. - Zachowuję się idiotycznie - upił łyk wina i odstawivszy kieliszek zaczął oglądać swoje palce, drżały niezauważalnie prawie.
  - Miałem ci tyle do powiedzenia - w dalszym ciągu przyglądał się swoim palcom. - A teraz nic mi nie przychodzi do głowy. Zmieniłaś się.
  - Tak - ledwie poruszyłam ustami.
  - Często myślałem o tobie, nie było dnia, żebym nie myślał. A ty?
  - Nie wiem. Dużo pracowałam...
  - Dlaczego nie patrzysz mi w oczy, tylko mówisz do ściany?
  - Widocznie wolę ścianę od twoich oczu.
  - W takim razie nie mam tu nic do roboty. Pójdę już. Dziękuję za kolację. Była wspaniała - wstał. - Myślałem, że jestem ci potrzebny.
- Zwlekał z odejściem, jakby czekał na potwierdzenie bądź na zaprzeczenie z mej strony, a ja milczałam.
- Do widzenia - skłonił głowę. Nie podał mi ręki, chyba dlatego, że ja nie zrobiłam żadnego gestu, stałam bez ruchu z rękami skrzyżowanymi na piersiach i czekałam, aż sobie pójdzie.
  - Och! Byłbym zapomniał. Twoje klucze - sięgnął do kieszeni. - Zabrałaś swoje listy?
  - Tak.
  - Szkoda. Miałbym i ja jakąś pamiątkę.
  - Weź klucze.



- A wiesz, że wezmę - schował je z powrotem do kieszeni, przytknął rękę do czapki i opuścił ją szybko, jakby wstydzając się tego gestu.

Odprowadziłam go do windy. Po naciśnięciu guzika patrzyliśmy razem na drgającą linę.

- Cześć.

- Cześć.

Winda zgrzytnęła z sapaniem, trzasnęły drzwi, jego twarz za szybą opuszczała się w dół.

Żeby nie myśleć i zająć czymś ręce, pozmywałam naczynia, wypiąłam resztę wina prosto z butelki i zaczęłam chodzić po mieszkaniu gasząc i zapalając światło, zdziwiło mnie, że wszędzie jest bardzo czysto, podłogi wyfroterowane, nigdzie ani śladu kurzu, a przecież od tyłu dni nie miałam w rękę szczotki do zamiatania i ścierki. Ktoś musiał zadbać o porządek, matka albo

Bożena... „Bożena, tak - to ona - mówiłam. - Trzeba do niej zadzwonić, do niej i do Witka, wrócić do Ośrodka, podsumować badania, kupić wreszcie meble, przyzwycząić się od nowa do ранnego wstawania, nadchodzi wiosna, Wielkanoc, wkrótce wakacje, znów problem, dokąd wyjechać. Nie wiadomo, czy dostanę urlop. W tej sytuacji byłoby lepiej, gdybym nie dostała”.

Pustka ma też swój wymiar: cztery ściany, żółty księżyc w oknie, wiatr ślizgający się po dachu, odległe niebo, szelest własnych kroków w jednostajnym rytmie. Pozwoliłam ci odejść, teraz żałuję, a przecież wystarczyło jedno słowo, by cię zatrzymać, ale ja tego słowa nie mogłam wymówić, chciałam i nie mogłam.

Nie dzwonisz, jest noc, matka nie przychodzi, zatrzymała się chyba w hotelu, a może wyjechała?

Pustka jest martwa, gorsza od śmierci, boli, uciska mózg. Dlaczego nie dzwonisz, ciągle cię widzę, spadasz w dół,

znikasz jak wtedy we śnie. Spałam za długo, teraz chyba nie zasnę, nie wiem, jaki dziś dzień, właściwie noc, kwiecień czy marzec, kalendarze pozostają martwe, gdy się nie zrywa z nich kartek. Ja nie mam nawet kalendarza. Ktoś stuka w ścianę uporczywie od paru dni. Dziwne, skąd bierze tyle sił? Nikomu to nie przeszkadza, nikt nie interweniuje. Jedno mocne uderzenie, po nim kilka słabszych, chwila przerwy, może się uspokoi, nie, stuka dalej. Za namową matki pośpieszyłeś na ratunek z głęboką wiarą w sukces swej misji, a ja sprawiłam ci zawód, od razu, gdy cię ujrzałam w ciemnościach na krześle, wykryłam ten" spisek. Byłoby lepiej, gdybyś mnie nie odwiedzał albo zrobił to z własnej woli. Mogłabym ci wiele wybaczyć, być może, wybaczyłabym ci i to, że byłeś z nią, ale tego, że przyszedłeś do mnie za jej namową - nigdy, nigdy... Och! Gadam głupstwa, same głupstwa, już ci wybaczyłam.

Przed chwilą dzwoniłam do ciebie, telefon milczy, znów nie ma cię w domu, a może zmieniłeś mieszkanie? Boję się, że tym razem oszczędłeś naprawdę, a ja stałam na schodach przy windzie i nawet nie usiłowałam cię zatrzymać. A teraz nie ma cię w domu i ja nie mogę nic zrobić.

Przerwałam pisanie, uniosłam słuchawkę, nie, nie zadzwonię, już późno, dochodzi pierwsza, może jutro...

Krażyłam dalej po mieszkaniu. Wiedziałam, że nie wytrzymam dłużej w tej pustce, wśród czterech ścian, w pokoju bez mebli z odsłoniętym oknem, z rozbabraną pościelą, w kuchni pełnej jedzenia, papierosowego dymu, zapachu pracowni, mydła „konsul”, farb, terpentyny, które przyniósł ze sobą.

Kiedy przemarznięta doszczętnie wróciłam z balkonu, odezwał się telefon. Dzwonił przeciągle i długo, a ja sądząc, że to pomyłka, nie odbierałam... Jednak natarczywy dzwonek domagał się swoich praw. Podniosłam wreszcie słuchawkę.

- Halo!

- Joanna?
  - Tak.
  - Dzwoniłaś do mnie?
  - Nie.
  - Szkoda. Myślałem, że to ty. Byłem w łazience, kiedy dobiegłem do telefonu, ktoś się rozłączył.
  - Dzwoniłam dwa razy.
  - Słuchaj, może pojedziemy wreszcie do tej Kamionki?
  - Kiedy?
  - Jutro wieczorem. Trzeba rano zadzwonić do Małkowskich. Chcesz?
  - Tak.
- No i jedziemy. Jak widzisz, jestem już spakowana.